

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 22 (1470) ROK XXIX

31 MAJA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

- Czasy nadziei i rozczarowań
- Jak zdobyć 5 mln złotych
- Zakopane w oparach absurdu
- Kazik Trzeci, wielki i wesoly

Rzeka bez wody

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Czterotomowa Encyklopedia Powszechna PWN podaje, że Bzura, to rzeka na Nizinie Mazowieckiej, lewy dopływ Wisły, długość 166 km, powierzchnia dorzecza — 1796 km kw., źródła pod Łodzią, ujście naprzeciw Wyszogrodu.

Ekolodzy mówią, że Bzura, to największy kanał ściekowy w Polsce, w którym stężenie szkodliwych substancji wielokrotnie przekracza dopuszczalne normy, w którym od dawna nie ma już żadnych form życia biologicznego, którego istnienie w obecnej swej postaci jest jaskrawym przykładem, do czego zdolna jest nasza cywilizacja techniczna. I choć na ten temat już encyklopedia uparcie milczy, taką właśnie Bzurę widać na każdym kilometrze jej długości.

PIERWSZY TRUCIECIEM BZURY

Jest Specjalistyczny Zespół Opieki Zdrowotnej Gruzlicy i Chorób Płuc w Łodzi — Łąglawnikach, wytwarzający na dobę 216 metrów sześć, ścieków. W porównaniu z innymi nie jest to oczywiście wcale dużo i można by fakt ten nawet pominąć. Charakterystyczne jednak i godne uwagi, że placówka ta znajduje się niemal w bezpośrednim sąsiedztwie źródeł, co samo w sobie już musi dawać do myślenia. No i — że jest to placówka służby zdrowia!

Niewiele dalej od Bzury zrzucane swe ścieki nie mający dotąd żadnej oczyszczalni Zgierz oraz — położone na jego terenie Zakłady Przemysłu Barwników „Boruta”, które czynią to

nieprzerwanie od 1894 roku. Za parę lat będziemy więc mogli obchodzić „piękny” jubileusz stulecia zatruć Bzury. Ciekawe tylko, czy w „Borucie” będą chcieli o nim pamiętać? Bo chociaż jubileusze lubimy jak małą co, rzadko potrafimy zdobyć się na samokrytykę. Na ogół przychodzi nam to z wielkim trudem. Już słyszę jak wszyscy po kolei mówią, że to nie ich wina, że trudności obiektywne, że... I jeszcze — że najważniejsza jest produkcja.

A przecież „Boruta” to nie tylko najstarszy truciciel Bzury, ale i jeden z największych trucicieli wód i powietrza w kraju. Rocznie emituje do atmosfery 4674 tony szkodliwych pyłów i gazów, do rzeki zaś — 5 595 815 metrów sześć, niezwykle agresywnych ścieków. Znacznie więcej niż cały ponad 50-letni Zgierz. W efekcie poniżej miasta udział wód naturalnych stanowi zaledwie 62 proc. Innymi słowy, 93,8 proc. tego co płynie tam w Bzurze trudno właściwie nazwać wodą!

Oto skala degradacji środowiska, skala problemu, choć to dopiero początek. Pełnej listy trucicieli Bzury i jej dopływów nie sposób tu przedstawić. Prawdopodobnie zajęłoby więcej miejsca od całego artykułu. W samym tylko jakże przecież małym województwie łódzkim obejmują one jeszcze: tużarnie trzody, chlewnie Krogulec (153 metry sześć, ścieków na dobę), miasto Aleksandrów (3 018), Ozorkowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Morfeo” (2938), miasto Ozorków (2300), cukrownię Leśmierz (820), „Polgaz”

(104), miasto Stryków (160), strykowski oddział „Organiki-Argonu” (120), Głowieńskie Zakłady

6



Foto: Grzegorz Gałasiński

Dawniej to było dobrze. W takich razach wyszarpywało się szablę z pochew i wyzywało przeciwnika na ubitą ziemię. Następnie siekło się wroga na kawałki lub też wyrываło mu się dziurę w plecach przy pomocy pojedynkowego pistoletu. I był spokój. Zniechęcało się krwią. Obyczaj ów przetrwał jeszcze gdzieś, tyle że na odcinku szabel obserwuje się chwilowe trudności. Ich miejsce zajęły orczyki, kłonicie, sztachety z piórową oraz inna broń śleczna. Niestety, czasy współczesne mocno się skomplikowały i teraz trzeba angażować olbrzymi aparat dochodzeniowo-sądowy, co pomnaża koszty, mija czas i nie zawsze niestety daje spodziewane zadośćuczynienie.

Wszystko to zaś za przyczyną godności, honoru, dobrego imienia, autorytetu i prestiżu. Pojęć tyleż nieprecyzyjnych, co mocno tkwiących w potocznej świadomości. Niejedna znakomitość połała już sobie pióro próbując dociecć historycznych źródeł, rozstrząsać uwarunkowania, śledzić przeobrażenia mitów i zbitek myślowych rządzących świadomością społeczną. Różnice zdań można w zasadzie sprowadzić do pytania: jak dalece owe pojęcia przyczyniają się do wzmocnienia pozytywnych więzi społecznych i wzrostu poziomu kultury i etyki społeczeństwa, lub — jak pozytywne wartości przypisywane tym pojęciom mogą się wynaturzyć w myśleniu potocznym, działając ze szkodą dla tegoż społeczeństwa.

Nie zamierzam przeprowadzać tu solennej egzegezy „ab urbe condita” z przywołaniem licznych myślicieli zajmujących się psychologią społeczną. Pragnę natomiast zająć uwagę czytelnika zjawiskiem konkretnym i coraz bardziej powszechnym.

Jedni nazywają to nadwrażliwością „na ile honorowym”, profesor Andrzej Grzegorzeczyk nazwał je „nadgodnością”, a pewien znakomity znawca duszy polskiej mawiał, że u nas najłatwiej dostać po głębie za sprawy honorowe. Zdefraudować, nałgać, oszukaćomalże bardziej wypada, niż nadeptać na honor.

Przymam też, iż zabieram się do tego tematu z pełną świadomością wdeptywania na minię.

Najpierw istotne rozróżnienie. Nie chodzi mi o prawo do obrony niezawężonej jednostki. Każdy obywatel ma zagwarantowaną prawem ochronę swoich niezbywalnych dóbr osobistych, jak wizerunku, nietykalności cielesnej, immunitetu dla życia prywat-

nego (o ile nie łączy się ono ewidentnie z działalnością publiczną). Każdy człowiek cieszący się pełnią praw obywatelskich ma także zagwarantowane prawo dochodzenia swych krzywd przed sądami powszechnymi.

Te garść oczywistości przypominam jedynie dlatego, by jasno rozgraniczyć ochronę osoby prywatnej od — także przynależnego każdemu obywatelowi, prawa do krytyki wszystkich sfer życia społecznego. To zaś wiąże się z kwestią „rol publicznej” jaką każdy z nas spełnia w zbiorowości. Tam bowiem, gdzie człowiek występuje publicznie, tam — z zachowaniem nietykalności osobistej — zaczyna się osąd publiczny. W naszym wspólnym

JOLANTA WROŃSKA

Dobre imię

interesie leży, by nie było stref chronionych przed kontrolą opinii publicznej, zaklętych rewirów, nietykalnych państw w państwie.

Zjawisko zbiorowej nadgodności, grupowej delikatności „na honorze” szczególnie dobrze znają dziennikarze. Z charakteru i funkcji społecznej pracy dziennikarskiej, często zderzają się ze zbiorowym protestem przeciw „nadwrażeniu dobrego imienia”. Użyłam cudzytłowy świadomie. Twierdząc bowiem, że owa zbiorowa nadgodność przestała już być pokłosiem historycznych dzieł narodu (wyjaśniających i do pewnego stopnia usprawiedliwiających), a stała się nową jakością. Przybierającą w coraz większym stopniu cechy chorobliwe.

By trzymać się konkretnych, pozostanę w kręgu przykładów najbliższych, z jakimi miał do czynienia rodzony tygodnik „ODGŁOSY”. Oto felieton opisujący szpetne zachowanie się kierow-

cy nocnego autobusu miejskiego albo scenkę obrazującą skandaliczne maniery kontrolera biletów — wywołują lawinę protestów ze strony wszystkich ciał, gremiów kierowniczych i organizacji społeczno-politycznych działających w MPK. Absolutnie wszyscy poczuli się śmiertelnie obrażeni. Reportaż o pracy pogotowia ratunkowego, posilkujący się informacjami, jakich dziennikarstwo w udzielił pacjent, powoduje pozwanie dziennikarza przed oblicze sądu. Zarzuty są niezwykle ciężkie — zniesławienie (a więc świadome kłamstwo na szkodę powoda), zbrukanie dobrego imienia, zelżenie wszystkich bez wyjątku pracowników instytucji. Rezultat? — dziennikarz stawia się w sądzie z wielką teką udokumentowanych przykładów i zeznań, a obrażona instytucja proponuje ugody.

Opis mordu dokonanego na zwierzęciu w jednym z przedszkoli — wbrew wszelkim oczekiwaniom nie przynosi poparcia, solidarności ludzi przeciw potworom, lecz — święte oburzenie znieważonych pracowników oświaty i wychowania. Wszystkich.

Reportaż ujawniający fantastyczne kłębówisko prywatny, złodziejstwa, lekceważenia elementarnych zasad w jednej z większych szkół wywołuje zmasowane protesty. Zagrożona została godność i autorytet wszystkich pracowników szkolnictwa i działaczy. Opowieść mieszkańców świeżo zasiedlonego budynku o partacztwie i ogładanym na własne oczy złodziejstwie wykonawców — owocuje oburzeniem gromadnym. Wszyscy budowlańcy znieważeni, ofiarna praca wysmiana. Wreszcie ostatni przykład, reportaż z nocnej zmiany pracowników kolei. Efekt — obrażeni są wszyscy bez wyjątku pracownicy kolejowi, protesty kierują się bynajmniej nie do autora lecz do najwyższych władz państwowych i politycznych. Podobnych przykładów może dostarczyć każda gazeta.

Mamy tu do czynienia z kilkoma nakładającymi się na siebie zjawiskami, więc po kolei

ŻEBY BRONIĆ — TRZEBA MIEĆ

dobre imię, społeczny szacunek i prestiż — rzecz jasna. Tymczasem dzieje się jak w rosyjskiej anegdotce. Dwóch wieśniaków pomstowało na zbytek carskiej rodziny żywiący się niedolą poddanych. Zandarm interweniujący w obronie honoru imperatora słyszy wykręt, że

5

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Doroczyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wronska.

Grufik: Janusz Szumański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałęsiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Białejewski, Krzysztof Krzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Maros, Zenon J. Michalski, Jerzy Panaszewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucji i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Prenumeratę z zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceńodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceńodawców instytucji i zakładów pracy. Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zdania są podzielone. Jedni mówią, że reportaż rozwija się dobrze, inni narzekają, że ten dziennikarski gatunek zanika, że coraz trudniej o reportaże w piśmie, że coraz mniej młodych dziennikarzy chce zajmować się reportażem. Jedno jest niewątpliwie pewne: dokonuje się zmiana pokoleniowa wśród reporterów. Gwiazdy reportażu z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych odeszły od reportażu. Na łamach pojawiły się nowe nazwiska reporterów. Ale nie są to uczniowie tych, którzy od reportażu odeszli, a o których się mówi, że stworzyli „polską szkołę reportażu”.

Krystyna Goldbergowa, która od 30 lat zajmuje się wydawaniem reportaży, na łamach pisma Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL „PRASA POLSKA” (nr 5 z maja 1986 roku) w artykule pt. „Rozważania o polskiej szkole reportażu” dochodzi do wniosku, że trudno jest mówić o „polskiej szkole reportażu”, chociaż to właśnie dzięki tym, którzy dziś już od reportażu odeszli, powstała „szkoła reportażu”, która była kopciuskim czy gorszym bratem literatury”. A reportaż — „to po prostu indywidualność; nie do tweży im w jednolitych mundurkach, ciastno w szufladkach, do których chcieliby ich wtłoczyć teoretycy”. Dzięki tym indywidualnościom powstała „szkoła”, która „przekroczyła granice dzieląc rzemiosło dziennikarskie od literatury”. Pięknie to stwierdzenie i prawdziwe, ale analiza przeszłości reportażu nie posuwa sprawy jego teraźniejszości, nie daje odpowiedzi na pytanie:

KOMU POTRZEBNY DZIŚ REPORTAŻ?

Na to pytanie odpowiedzieć można — czytelnikowi. Ludzie chcą bowiem wiedzieć: co wydarzyło się, gdzie, kiedy, jakie były powody, skutki, kto brał w tym udział, dlaczego? Reporter powinien dać na te pytania odpowiedź. On albo był świadkiem wydarzenia, albo je odzwiercudlił na podstawie zebranego materiału. Jego zadaniem jest przedstawić ludziom to, co bez jego pomocy nigdy nie byłoby ich udziałem. I właśnie spełnienie tego zadania powoduje, że trudno mówić o „polskiej szkole reportażu”.

„Postawmy kropkę nad „i” — pisze Krystyna Goldbergowa — w reportażu forma jest służebna wobec treści. Reporter musi dobrać takie środki wyrazu, aby utworzył jak najlepiej spełniał swą funkcję podstawową — czyli by stał się:

1. udokumentowanym, sprawozdaniem z takiego czy innego wydarzenia, sprawy, wypadku, których podmiotem była jedna osoba, grupa ludzi, środowisko; lub też

2. równie wiarygodną relacją z samotnej podróży autora do różnych zakątków świata czy z wyprawy wieloosobowej, w której brał udział jako pełnomocny uczestnik bądź obserwator; albo wreszcie

3. reporterską analizą (a bywa, że i syntezą) wybranych problemów, ilustrowaną faktami znanymi autorowi z autopsji i opatrzoną jego własnym komentarzem”.

Są to jakby trzy gatunki reportażu: „fabularny” zwany często zupełnie błędnie „literackim”, podręczniczy i „problemowy” lub „publicystyczny”. Nasza wiedza o reportażu dzięki temu znacznie się powiększyła, ale nadal nie mamy pełnej odpowiedzi na pytanie: komu potrzebny dziś reportaż? Ze czytelnikowi — to już wiemy, ale wiemy też — najczęściej z reporterskiej praktyki — że reportażem nie są zainteresowane instytucje, instancje, urzędy, ludzie, środowiska, grupy zawodowe. — Po co o tym pisać? — najczęściej się mówi, a za tymi słowami kryje się obawa, że światło dzienne w gazecie, tygodniku, na telewizyjnym ekranie, w głośniku radiowym ujrzą sprawy, o których lepiej, żeby inni nie wiedzieli. Ale wierze, że natura reporterów jest silniejsza od wszelkich przeszkód, jakie im życie nie będzie szkodliwym i pokona te przeszkody. Jak słusznie pisze Krystyna Goldbergowa „przyszłość gatunku — jak zawsze i w każdej innej dziedzinie bywało — jest w rękach ludzi, nie teoretyków”.

te brzmi zbyt ogólnie, to wszyscy czuli. Każdy będzie się oglądał na drugiego, licząc się z tym, że „kolega” się tym zajmie. A „kolega” liczy na „kolegę” i koło niemożności zamyka się szczylnie.

Jednym z przykładów tego jest reportaż Witolda Gościńskiego w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM” (nr 21 z 25 maja 1986 roku) pt. „Drugi koniec kija”. Jest to opowieść o tym,

JAK LUDZIE ZRAZILI SIĘ DO REFORMY GOSPODARCZEJ

Można to też nazwać opowieścią o ściąganiu się stereotypów. Przez minione 40 lat wpajano ludziom, że wszystko jest dla nich, że się im należy. Sam pamiętam, jak w połowie lat siedemdziesiątych ktoś chwalił się oddziałami pracy chronionej, jako dużym osiągnięciem socjalnym, rezultatem daleko posuniętej troski o człowieka pracy. I to było piękne. Ale dziś w okresie wprowadzania reformy stało się niewygodne. W Toruńskiej Przędzalni Czesankowej „Merintexu” pracuje 4500 osób. Specjaliści twierdzą, że jest to więcej niż potrzeba. Zwolniono 111 osób z administracji, a pieniądze po nich rozdzielono między pozostałych. Teraz wytypowano 95 osób do kolejnego zwolnienia. Wśród nich są też kobiety. Są to kobiety z oddziału pracy chronionej. Decyzję tę odczuły jako krzywdę społeczną, niesprawiedliwość. — „Byliśmy młode, zdrowe, to i potrzebne. A teraz? Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść”. — Są to słowa Eweliny Rybarczyk, która 20 lat przepracowała przy maszynach, nabawiła się choroby serca i kręgosłupa. Są to gorzkie, a przecież prawdziwe słowa. Tak to wygląda w odczuciu tych, którzy muszą odejść.

„Zatrudnienie jest wyższe niż zakładaliśmy tworząc z Radą Pracowniczą plan finansowy przedsiębiorstwa na rok bieżący. Wydałem zarządzenie o konieczności zmniejszenia zatrudnienia do wielkości planowanej. Kierownicy wydziałów zrobili przegląd kadrowy i wytypowali osoby kwalifikujące się do zwolnienia. Na pierwszy ogień poszli bumelanci itp. Teraz przyszła kolej na pracowników niedyspozycyjnych, mało wydajnych”. — To są słowa dyrektora „Merintexu”, Jana Przebyłaka.

A sprawa kobiet?

„Chcemy jedynie — wyjaśnia Jan Przybylak, który dyrektorem został w 1981 roku, a w „Merintexie” pracuje 21 lat — żeby konfekt zarobila na siebie, żeby nie obciążała reszty wydziału. Przy obecnym zatrudnieniu oddział konfekcji jest po prostu nierentowny”.

Takie są racje obu stron. Pozornie sprzeczne. Na czym ta pozorność polega? Kwestie te dość jasno wyłożył Jan Przybylak: — „Zakład pracy nie może łączyć funkcji gospodarczej z funkcją opiekuńczą. Jeśli ich nie rozdzielimy — przegramy reformę”. Jest to racja obiektywna. Takie rozdzielenie funkcji musi dać pozytywne rezultaty w ożywieniu wielu często zaniedbanych organizacji społecznych, instytucji, stowarzyszeń. Powinno to wreszcie zwooczyć ożywieniem ciągle mało sprawnych usług. To są założenia teoretyczne.

Autor reportażu — Witold Gościński — posuwa się dalej. Pisze on: „Skoro przedsiębiorstwa płaciły podatki na Fundusz Aktywizacji Zawodowej, który w założeniu miał być przeznaczony na tworzenie nowych miejsc pracy i miał zachęcać do nabywania nowych kwalifikacji, na podatki od wynagrodzeń i podatki na ZUS — to niech teraz państwo spójrzy na te środki na pomoc dla pracowników, którzy z różnych względów stali się w zakładach zbędni. Można to zrobić odbudowując zniszczony przemysł terenowy, usługi dla ludności, popierając rozwój społeczności, głównie inwalidzkiej, umożliwiając wreszcie w takich przypadkach łatwiejsze uzyskanie renty”.

Słuszne to uwagi i podpisałbym się pod nimi z całą otwartością, gdyby nie jeden mankament. Kto ma to zrobić, kto ma się tym zająć? Do tej pory wszystkim było wygodnie, że musieli zajmować się tym fabryki. A teraz kto? Państwo —

te brzmi zbyt ogólnie, to wszyscy czuli. Każdy będzie się oglądał na drugiego, licząc się z tym, że „kolega” się tym zajmie. A „kolega” liczy na „kolegę” i koło niemożności zamyka się szczylnie.

— „My to wszystko wiemy i rozumiemy — mówią kobiety z „Merintexu”, którym grozi zwolnienie i pytają — ale... co będzie z nami?” — I tego pytania nie wolno zlekceważyć. Ekonomiści bowiem już teraz zwracają uwagę, że wprowadzenie ekonomicznego przymusu, jako metody działania, musi spowodować niezadowolenie ludzi pracy, którzy już dziś oczekują skutków pozytywnych reformy, a którzy stają wobec skutków negatywnych. To niezadowolenie może stać się prężeniem reformy gospodarczej. Sprawa nie jest więc taka znowu błaha. I nie dotyczy tylko i wyłącznie toruńskiego „Merintexu”.

„W KOLEJCE PO SZCZĘŚCIE”

wcale nie jest wesoły, choć z pozoru tak by się wydawało. Wacek Jackowski udaje się bowiem w kolejkę formującą się codziennie wieczorem po drugiej stronie ulicy przed Wydziałem Konsularnym Ambasady Stanów Zjednoczonych Ameryki w Warszawie, aby zobaczyć kto stoi w kolejce po szczęście. Tym szczęściem ma być wyjazd do USA. Tam — w przekonaniu ubiegających się o wizę — czeka na nich niewiarygodne szczęście. Ale pracownicy Wydziału Konsularnego Ambasady USA jakoś wcale nie kwapią się, aby im realizację tego szczęścia ułatwić. Oto niektóre rozmówki — przy wiernie zachowanej stylizacji rozmówców — zanotowane przez reporter „SM”:

— „Panowie dajcie dwa papirosy. Oddam w Ameryce.”

— Takis pan pewny. Proszę. Oddawać nie trzeba.

— A pan dokąd?

— Nowy Jork.

— Praca zatytułowana?

— Nie, tak tylko. Do rodziny.

— Rozumiem. Rekonesans.

— Można i tak powiedzieć?

(...)

— „Teraz to jeszcze nic. Najgorzej będzie nad ranem, jak przyjadą pociągi. O piątej, szóstej. Wtedy jak nikt nie pilnuje, to drugą listę zrobią”.

(...)

— „No zaraz otworzą. Kurcze denerwuje się, a i tak mi chyba dadzą. Wszystko mam.”

— A metrykę dziecka też?

— Nie. A to potrzeba?

— Możesz pan iść do domu. Wystarczy, że nie ma jednego papierka i nie chcą rozmawiać.

— Cholera, a ja wziąłem zwolnienie lekarskie tylko na dziś”.

(...)

— „Ale „Rudy” kosi równo. Jeszcze nikomu nie dał. Wszyscy w środę modlą się, żeby do niego nie trafił, bo wtedy mogła. Ma chyba dziś zły dzień”.

Wacek Jackowski zanotował te rozmowy 14 maja 1986 roku, po nocy spędzonej w kolejce. Tego dnia od 8.30 do 10.00 wydano 10 wiz. „Chętnych było trzy razy tyle”.

MIŁOŚNIKÓW TURYSTYKI INFORMUJE

„Biuletyn Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Łódzi WFEDROWNIK” ma już nie tylko 30 lat, ale też wydał 300. jubileuszowy numer. Gratulacje!

LUCJAN BOGUSZ

Z przegrzonym językiem

Doświadczeni ludzie zwykli radzić komuś, kto mógłby powiedzieć coś nierozważnego, że co grozi nieprzyjemności: „Najpierw ugryz się w języki”. Jak z tego wynika, człowiek piszący powinien najpierw pobbgrzyzać pióro, nim się odważy narazić tzw. opinią.

Czym innym u nas obecnie jest skrytykowanie jakiegoś posunięcia władz, do czego wcale nie potrzeba odwagi cywilnej, jest to bowiem nawet oczekiwane od obywateli, a co innego narażanie się środowiskom nastawionym opozytycznie wobec ustroju. To pierwsze wyraża się np. w spotkaniach przedwyborczych z kandydatami na posłów czy radnych, rozmaitych ankietach i innych sondażach opinii publicznej.

Szkoda zresztą, że nie wcześniej władze PRL doszły do wniosku, że dobrze jest zapoznawać się z opiniami obywateli przed podejmowaniem ważniejszych decyzji, co przecież nie znaczy, że nie może znaczyć, że poglądy najliczniejsze otrzymają zawsze pierwszeństwo przed innymi. Bo po pierwsze największe zwolenników mogą uzyskać poglądy skrajnie uproszczone, których formułowanie nie wymaga kompetencji i nie zmusza do myślowego wysiłku, a po drugie opinia publiczna bywa także kapryśna i zmienna (kiedyś mówiło się: jak primadonna).

Otóż narażać się dość dotkliwie można przede wszystkim opinii tzw. opozytywnej, bo choć nie jest ona dziś bezwzględnie dominująca, to przecież dostatecznie agresywna, zniechęcająca się niekiedy do obojętnych zachowań wobec adwersarzy, że poirafii nieraz zatrwać stosunki koleżeńskie, towarzyskie czy nawet rodzinne. Jest ona całkowitym przeciwieństwem taktu i tolerancji, które od dawna stały się stylem ludzi lewicy w Polsce, toteż nieustannie przeciwstawiając jej jej wymaga pewnego hartu ducha i własnie odwagi cywilnej. A ponadto wymaga silnej indywidualności, zdolnej oprzeć się instyngtowemu stadnemu, przejawiającemu się zawsze w uniformizacji poglądów społeczno-politycznych prawicy.

Otóż powiniennem być kilka razy zastanowić się najpierw, nim miałem napisać, to co już napisałem, a teraz zanim wypowiedziałem się dalej — na temat bulwersującego społeczeństwo i wyzwalającego w jego pewnej części niezbyt chlubne postawy i nie dość rozumnej oceny. Otóż uważam decyzję rządu o obdarowaniu amerykańskich bezdomnych pięcioma tysiącami spiworów i koców za akt humanitarny i bynajmniej nie zasługujący na zjadliwe komentarze.

Oczywiście, wiemy z prasy zachodniej, że tak skromna liczba darów zaspokoi potrzeby nie wszystkich, którym w najbogatszym kraju świata przypada w udziale los najpierw bezrobotnego a następnie — wcale nie tak rzadko — bezdomnego. Nie stanowi to żadnej sensacji dla ludzi pamiętających jeszcze przedwojenną Polskę, gdzie obok środowisk opływających we wszystko, węgłowały nagłemu, a krok od nich, ogromne rzesze niedojadających, licho odzianych (niezrądko w lachmanach), a nieraz bez dachu nad głową, ludzi spijających gdzie popadnie, np. w budkach skleconych na przestkach mostu Poniatowskiego w Warszawie.

Jedni dosłownie ocierali się o drugich, a jednak wymijali się jakby obojętnie, gdyż wielu, zarówno tych z „góry”, jak i z „dolu” uważało ten obraz za wpisany w normalny porządek świata, usankcjonowany zresztą — rzekomo — przez czynniki nadprzyrodzone.

Ale nie bardzo mogę pojąć, w imię jakich racji moralnych niektórzy moi współziomkowie ironicznie i zjadliwie odnoszą się do filantropijnej pomocy, którą władze niezbyt zasobnej Polski przekazują bezdomnym w USA. Czy bezrobocie, nędza, bezdomność są właśnie tym, co sympatycy opozycji chcieliby zoferować polskiemu społeczeństwu? Zapewne nie wszyscy są tak nikczemni, wycieli do cna z ludzkich uczuć. Podejrzewam raczej, że wchodzi w rachubę taka sama mentalność co u pewnej pani, która widząc w sklepie ledowo co zakupione przez rząd polski w zachodniej Europie mleko w proszku (co czym mogła dowiedzieć się ze środków przekazu) rozdarta buzią na całą kolejkę: „Trzeba nie mieć sumienia, żeby dary sprzedawać”.

Dość dawno doszedłem do wniosku, że istnieją w świecie postacie politycznego zaślepienia, na które nie można mieć wpływu. I tak np. skrajnie prawicowa amerykańska organizacja proklamuje walkę z „Murzynami, Żydami i liberalami”. Czyżby zapomniała o komunistach? Dla prawicy wszystko, co nią nie jest nieliczy się w tym samym worku (eo ipso są tam i komuniści), jak w przedwojennym hasle endecji: „Precz z żydokomuną i masonerią”. Antoni Słonimski pisał o „Anima naturaliter endeciana” (o duszy z natury endeckiej).

Publicyście, jak i politykowi nie wolno wyznawać takiego determinizmu, powinien ufać w przekonującą moc faktów i argumentów. Co pomyślałszy poczułem, że moje serce napelnia się znowu dobrotliwą wyrozumiałością...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosy” pisać będą:

- TADEUSZ MENDELSKI o hierarchii wartości w socjalizmie w cyklu „Chleb i idee”,
 - EDMUND LEWANDOWSKI o ewolucji doktryny chrześcijańskiej w artykule pt. „Od Jezusa do Jana Pawła II”,
 - EDMUND TULKO o aferze Ali Agcy i Siergieja I. Antonowa czyli o historii wielkiej kompromitacji,
 - RYSZARD NAKONIECZNY o miastach i wulkanach Meksyku,
 - DARIUSZ DOROŻYŃSKI o człowieku, dla którego stare zegary nie stanowiły tajemnicy,
 - JACEK GŁĘBSKI o dzielnicy mieszkaniowej Widzew Wschód,
 - ZENON J. MICHALSKI o pluciu we własne gniazdo czyli o nieumiejętności prezentowania własnej historii w filmie,
 - TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI o spotkaniach z Adolfem Nowaczynskim.
- Poza tym ukaza się kolejne odcinki książki MIECZYSLAWA F. RAKOWSKIEGO „Czasy nadziei i rozczarowań” część druga oraz powieść JACKA SAWASZKIEWICZA „Agonia w błysku stu słońc”.

Znaczące miejsce w projekcie „Programu PZPR” zajmuje problematyka tradycyjnie zwana ideologiczną. Poświęcony jest jej w gruncie rzeczy cały rozdział VI pt. „Kształtowanie socjalistycznych postaw i świadomości społecznej, rozwój oświaty, nauki i kultury”. Można by się spierać, czy jest on wystarczająco duży i reprezentatywny. Problem postawiony został na pewno w całej jego ostrości i wadze.

„Budowa ustroju sprawiedliwości społecznej jest rezultatem planowych działań ludzkich. Wymaga zespolonych przemian ekonomicznych, politycznych i świadomości. Socjalizm przechodzi ze świata idei do praktyki, gdy jego wartości przenikają treść stosunków społecznych, utrwalają się w myśleniu, postawach i zachowaniach. Stan świadomości może być bodźcem przyspieszenia socjalistycznego postępu, ale i jego hamulcem. Wyznacza to rangę pracy ideologicznej i wychowawczej wśród zadań partii”.

Czy rzeczywiście jednak rangę tę zawsze dostrzegamy? Czy nie dają o sobie znać zbyt często

STARE SCHEMATY MYŚLENIA

— najpierw załatwmy palące problemy ekonomiczne, różne sprawy polityczne, a potem, niejako na deser przyjdzie czas na zajęcie się sprawami ideologii. Lepiej zostawić w spokoju drażliwe problemy ideologiczne, niepotrzebnie nie emocjonować spragnionych spokoju i rozrywkę ludzką, a może jakoś same zrejda się po kościach. Wszak to byt określa świadomość — argumentują różni pseudomarksisci — jeżeli zapewnimy podniesienie poziomu warunków bytowych, to i sprawy świadomości „jakoś się ułożą”. Czy rzeczywiście z marksistowską ideologią czekać można „na lepsze czasy”, liczyć naiwnie, że nikt nas nie zastąpi, stwarzających próżnie brakiem naszej marksistowskiej analizy naszego socjalistycznego rozwoju i naszego świadomego kształtowania socjalistycznych wartości?

Nie miał takich złudzeń Wojciech Jaruzelski, gdy na I Ogólnopolskiej Konferencji Ideologiczno-Teoretycznej w październiku 1982 roku wypowiadał się krytycznie wobec praktyk przeciwstawiania ideologii i ekonomii i pomniejszania rangi świadomego kształtowania świadomości społeczeństwa:

„To, co stało się w Polsce potwierdza w całej rozciągłości tezę, że odeszliśmy od uniwersalnych zasad marksizmu-leninizmu i jednocześnie brak twórczego odpowiedzialnego podejścia do własnych narodowych warunków pociąga za sobą nieuchronne wypaczenia i trudności, że trudności te są skwapliwie wykorzystywane przez wewnętrznych i zewnętrznych przeciwników socjalizmu.”

Mimo to pojawiają się niekiedy głosy, iż cierpimy dziś nie tyle na deficyt teorii, ideologii, co towarów, a umownie nazywając — chleba! To nieprawda! Nie ma tu dyktanda „albo — albo”. Potrzebne jest i jedno, i drugie. Niedostatek chleba wziętą się m.in. właśnie z woluntaryzmu, złeczenia przynajmniej ideologicznego, co w ostatnich kilkunastu miesiącach pogłębiło zostało przez demagogię, ideologię destrukcyjną — obcą socjalizmowi i życiowym interesom narodu polskiego”.

Nie znam innego tekstu ostatnich lat, który by równie dobitnie przedstawił groźbę owego sztucznie stworzonego dylematu: albo chleb, produkcja towarów, albo teoria, ideologia. Który by jednocześnie wskazywał, że zaniedbanie sfery ideologii, nie tylko w czysto teoretycznej dziedzinie marksistowskich analiz współczesności, ale również kształtowania postaw ludzkich, natychmiast oddziałuje na sferę ekonomiczną. Tracimy wtedy podwójnie: nie tylko nie idziemy naprzód w dziele rozwijania socjalistycznych stosunków międzyludzkich, ale stwarzamy ze świadomości potężny czynnik hamujący procesy gospodarcze. Na możliwość dwójakiego działania — przyspieszającego i hamującego zwraca uwagę cytowany fragment projektu „Programu PZPR”.

Weźmy na początek sprawę najprostszej i najbardziej elementarnej. Wszelkie społeczne ludzkie wytwarzanie dóbr materialnych, wszelka

LUDZKA PRACA

jest działalnością świadomą, odbywającą się w konkretnych warunkach badanych przez ekonomię, socjologię i psychologię. Zawiera jeszcze przy tym jeden kluczowy element — stosunek wykonującego ją człowieka do celu i sensu jej wykonywania. Ludzka praca jest działalnością świadomą wykonywaną z chęcią, radością, entuzjazmem, dumą lub niechęcią, obrzydzeniem, wstrętem, obojętnością. I nie zależy to tylko od tego, czy „obiektywnie” jest przyjemna czy nieprzyjemna, ale przede wszystkim od stosunku do samej pracy i rangi jaką się jej nadaje wśród wszystkich zajęć człowieka. Innymi słowy, wiele zależy od tego, jak udało się wypracować i upowszechnić etos pracy.

Jego znaczenie objawia się szczególnie wobec klasy robotniczej. „Jako grupa społeczna — przypomina projekt „Programu PZPR” — robotnicy występują w podwójnej roli — klasy panującej i pracującej. Rodzi to złożone problemy, czasem i sprzeczności. Stąd programowa ranga zadań upowszechniania wśród żądań, z udziałem ich młodej części, tradycyjnych robotniczych cech, etosu pracy i gospodarstwa, wysokiej etyki zawodowej, poczucia odpowiedzialności za swój zakład pracy i swój kraj”. Sformułowanie to sugeruje jednak jak gdyby etos pracy odnosić się miał jedynie do procesu pracy i jej rzetelnego wykonywania, jak również zaważa oddziaływanie etosu pracy wyłącznie do klasy robotniczej. Etos pracy przenika natomiast wszystkie podstawowe elementy życia systemu socjalistycznego i jest głęboko zakorzeniony w najbardziej postępowych i dynamicznych epokach historii.

Bez rozbudowania prac nad wypracowaniem i rozpowszechnianiem nowoczesnego etosu pracy okazać mogą swoją jawość i nieskuteczność dwa głęboko zakorzenione się w naszym życiu procesy: reforma gospodarcza i walka o „zdrowie moralne” narodu, przeciw społecznej patologii.

REFORME GROZI ZWYRODNIENIE

w odhumanizowany system „kija i marchewki”, bez możliwości odwołania się do wartości wyższych, leżących u podstaw na przykład współzawodniczenia. Walce o „zdrowie moralne” zagrożenie może pusta w serze wartości, jaka otworzyła się przed tym, który już to „zdrowie moralne” odzyskał i nie ma żadnych wyższych społecznych i indywidualnych celów i wartości, dla których mógłby je wykorzystywać. Sam socjalizm, jako system społeczny nowego humanizmu, stawia przed człowiekiem dwa podstawowe wymagania — samorealizacji i uspołecznienia. Realizacja obydwu wymaga uwzględnienia fundamentalnego charakteru pracy zarówno w życiu jednostki, jak i funkcjonowaniu społeczeństwa.

Milczenie wokół etosu pracy może być tym bardziej niepokojące, że główny dziś konkurent systemu socjalistycznego, jego również historyczny poprzednik, system kapitalistyczny, nie ograniczał się wcale do wysuwania charakterystycznych dla siebie postulatów w sferze wolności inwestowania i zasad burżuazyjnej demokracji. Od początku system ten wprowadzała na arenę dziejącą wielką filozoficzną myśl, podkreślającą w człowieku konieczność zharmonizowania jego poznania z działaniem.

W dziedzinie zachowań codziennych głównych wytwórców domowa

ETYKA SUROWEJ ASZEZY

Różnie uzasadniana, ale sprowadzająca się do franklinowskiej tezy: *Co masz zrobić jutro, zrób dziś, co masz zjeść dziś, zjedz jutro*. Protestantizm uczył z kolei, iż Boga najbardziej cieszy modlitwa pracą i powodzenia w interesach nie trzeba przeciwstawiać pobożności, a wręcz jest ono dowodem szczególnej łaski bożej. Sam system kapitalistyczny w ogóle postawił pracę na bardzo poczesnym miejscu, czyniąc z mitu self-made-man, a więc czło-

wieka, który zaczynał od niczego doszedł do wielkiego majątku i poważania, bardzo chwytliwy obraz realizacji marzeń poprzez etos pracy. Jeżeli uwzględni się, że w systemie feudalnym o losach i społecznym poważaniu człowieka decydowało urodzenie, przynależność do określonego rodu i czerpanie przywilejów wynikłych z nazwiska i tytułu rodziców, to taka ideologia kapitalizmu, podkreślająca znaczenie pracy dla oceny człowieka, musi budzić i dziś respekt.

TADEUSZ MENDELSKI

Chleb i idee

Etos pracy

Prawdą jest, że dziś należy ona już do przeszłości. Dziś wygrywa z reguły ten, kto podobnie jak przedtem hrabia w tytuł i nazwisko wrodził się w pieniądzu i kapitalu. Ale nie znaczy, że system współczesnego kapitalizmu nie wpaja wartości klasie robotniczej, której specyficzne położenie, jako społecznie producenta, ułatwia przyjmowanie i kultywowanie tych wartości. Rzetelność w pracy, nawet w tych jej elementach, które nie mogą być łatwo i bezpośrednio sprawdzone, wewnętrzna dyscyplina, godność i dumna reprezentowania znanej ze swej jakości w całym świecie firmy — to wartości z całą świadomością i konsekwencją kształtowane dziś przez burżuazję w obronie klasy robotniczej. Której nawet się stwarza złudzenie „partycypowania” w zarządzaniu, podziale zysków, bezpośredniego przyczyniania się do splendoru firmy, poufałości i „partnerskich stosunków” z zarządzającymi i właścicielami. Słowem, dba się często niesłychanie pieczołowicie, by spotęgować wrażenie wykonywania pracy nie tylko dla zapłaty, ale i zaspokojenia najgłębszych ludzkich potrzeb satysfakcji i ambicji.

Skąd więc ten nasz

POLSKI PARADOX

— przyjmując i realizując ideologię socjalizmu w zakresie etosu pracy stoimy częstokroć niżej niż nawet polowicznie realizujący dziś ten etos kapitalizm? Przyczyny mają charakter pewnych historycznych uwarunkowań i współczesnych zaniedbań.

Pierwszą historyczną przyczyną — to rodowód naszej klasy robotniczej, a nawet naszej inteligencji, wymaga pewnego abstrakcyjnego poczucia współodpowiedzialności za pewną całość, której sensu często się nie rozumie i efektów nie ogląda. Ukształtowanie efektywnie działającej w takich warunkach klasy robotniczej, jak dotąd było dziełem wielopokoleniowym, wynikiem wpojonia pewnych nawyków. Wiedza o tym kraju, które mają klasę robotniczą piętego lub więcej pokolenia. Nawyk widzenia sensu pracy, tylko gdy jest „na swoim”, powoduje nie tylko obniżenie motywacji i tym samym wydajności pracy wspólnej, jej wręcz pozorowanie, ale również konkretne przedsięwzięcia, by z tej wspólnej pracy coś uszczknąć od razu bezpośrednio dla siebie.

SA jednak DWA WSPÓŁCZESNE POWODY

trudności w propagowaniu etosu pracy. Tym bardziej istotne, że należą do dziedzin, które można zmienić racjonalną i mądrą polityką. Pierwszy dotyczy sprawności organizacji pracy. Sprawnie i precyzyjnie zorganizowana praca, w której rzeczywiste widak i zaciecie się kłóregó z ogniw pracy wspólnej powoduje negatywne skutki dla całości, natomiast sprawne wykonywanie czynności cząstkowych daje pożądane efekty niezawodnie, to niesłychanie skuteczny wychowawca. Marnowanie rzetelnego wysiłku przez złą organizację, to potężny negatywny czynnik wyrażający trudne do powetowania szkody w psychice. Tu właśnie działa marksistowskie prawo „był określa świadomość” najsilniej. Sprawne zorganizowanie ludzkiej współdziałania, efektywne skutki są najlepszą propagandą walorów kolektywu i nie każda szukać rekompensaty w działaniu „na swoim”, zwłaszcza gdy widzi się jego organizacyjną wyższość.

Nie można zapomnieć również o czynniku drugim — świadomym kształtowaniu etosu pracy. Praca może być świetnie zorganizowana, a człowiek czuć się w niej może jako dodek do maszyny i jego zasługi tak samo doceniane jak sprawnej maszyny lub konia. Mimo najsprawniejszej organizacji wystąpić może niechęć do dawania z siebie więcej. Tu toczy się wielka bitwa ideologiczna i przyznać trzeba, że bardzo często metody zwalczania socjalistycznego etosu pracy są nie fair. Znakomity reżyser Andrzej Wajda, który z taką pieczołowitością oddał ducha złowrogiego wczesnego kapitalizmu w Łodzi w swoim filmie „Złemia obiecana”, w „Człowieku z marmuru” miał tylko stosunek pogardy i drwiny w stosunku do jednej z najdroższych idei socjalizmu — idei współzawodniczenia pracy. Przyznać trzeba, że myślom o ostatecznym pogrzebaniu idei współzawodniczenia pracy sprzyja prymitywne rozumienie idei reformy, jako działającej tylko na najprostsze odruchy psychiki robotnika — obietnicy nagrody i strachu przed karą.

Sytuacja ta dowodzi jak zażarta jest dziś ideologiczna

WALKA O ETOS PRACY

przebieg wszystkich ze światem kapitalu. Ideologia burżuazji wobec świata pracy prowadzona jest dwoma torami, uwzględniając podwójną rolę robotnika jako producenta i jako konsumenta. Sytuacja względnej obfitości dóbr, jaka wytworzyła się w paru najbardziej rozwiniętych krajach kapitalistycznych, nadających jednocześnie to współczesnemu światu burżuazyjnemu, wymaga stwarzania stałej motywacji ich nabywania. Stąd też o protestanckim duchu ascezy we współczesnej ideologii burżuazji raczej już się nie słyszy, a za to kolportowana jest ideologia użycia, etos zabawy, przyjemności, łatwego życia dostarczającego maksimum coraz bardziej wyrafinowanych podnieć, każdym kosztem, z pogwałceniem również wszystkich znanych dotąd reguł moralnych.

W tym kierunku idzie produkcja coraz to nowszych towarów, przedstawianych przez reklamę jako niezbędne dla osiągnięcia odpowiednio szanowanego poziomu życia czy wykazywania się odpowiednim poziomem zaspokojenia najbardziej wyrafinowanych potrzeb — idących notabene w kierunku przeciwnym tradycyjnej moralności katolickiej, na ogół również socjalistycznej. Praca dla cnoty pracy i jakichś wyższych wartości całkowicie ustąpiła więc miejsca w najbardziej ostentacyjnej propagandzie, tej zwłaszcza, która z Zachodu trafia do nas, pościgowi za coraz bardziej soczystymi marchewkami, przy czym jednocześnie coraz głośniejszy stał się kij bezkobla i degradacji materialnej. Ta strona mniej jednak dociera do świadomości naszych obywateli, którzy wymyśliłi sobie, notabene zrecnie podsunęła, a w gruncie rzeczy oparta wyłącznie na ignorancji teorii, że w kapitalistycznym świecie więcej mają bezrobotni, utrzymujący się z zasiłków, niż u nas ciężko pracujący. Uderza w tych poglądach nie tylko skrajna ignorancja co do rzeczywistego położenia bezrobotnych na Zachodzie, ale i swoista pogarda do pracy: *byłabym mogła mieć zaspokojone pewne podstawowe potrzeby, to mogę nawet cały dzień się obijać i nie pracować*. Z informacji o zachodnim świecie jakie otrzymuje od polskiej telewizji w jej programach najbardziej głęboko oddziaływujących, poprzez filmy fabularne, dowiaduje się „nacoocnie”, że tam się ludzie oddają różnym formom konsumpcji, przeżywają dramaty miłosne lub związane z morderstwami, natomiast nigdy nie pracują.

Również wyjaślenie środków masowego przekazu z wszelkiej ambitalnej problematyki filozoficznej, etycznej, humanistycznej, to zjawisko względnie nowe. Były bowiem u nas czasy, gdy nie było rzeczą trudną kupienie sobie książki w popularnej formie przedstawiającej problemy marksistowskiej etyki, akcentujące swoistą formę i podnoszące bogactwo humanizmu marksistowskiej teorii. Gdy nawet w Dzienniku Telewizyjnym marksistowski etyk miał swoje miejsce na komentarze odczytanie do wydań dnia i tygodnia. W tym zakresie istnieje generalna zasada: trzeba o tych sprawach mówić, poddawać je pod dyskusję, pokazywać trudności i sprzeczności, wzburzać zainteresowanie. Dorebek marksizmu polskiego i międzynarodowego jest w tej dziedzinie ogromny. Milczenie środków przekazu słownego i obrazowego jest niezrozumiałe.

Tylko szerokie teoretyczne spojrzenie rozwiązać może krążące wokół etosu pracy nieporozumienia. Podstawowe nieporozumienie, to przekonanie, że wzorcem dla nas może się stać etos rzemieślniczo-chłopski pracy „na swoim”. Nie sposób oczywiście zaprzeczyć społecznej wagi takiego etosu, a nawet mieć sporo podziwu dla wielu starych cnot takiej właśnie pracy. Ale trzeba sobie też zdać sprawę, że największy rozkwit tego typu traktowania godności i dumy pracy przypadał na przedkapitałistyczne jeszcze formy gospodarowania. Kapitalizm z tymi formami obszedł się okrutnie i jest niezmiernie ważną teoretycznie i praktycznie sprawą, aby o tym pamiętać, że to właśnie nowoczesne, zbiorowe formy pracy wytwarzają to wszystko, co w dziedzinie techniki osiągnął świat kapitalu, prześcierając jednocześnie drogę przed nowymi, kolektywnymi formami etosu pracy.

Trzeba znaleźć receptę na pokonanie owego tragicznego rozdarcia, jakie wykazuje psychika przeciętnego Polaka. To bowiem, co Polak podziwia z zachodniego rozwiniętego technicznie świata, nowoczesne samochody, sprzęt elektroniczny, komputery, wszystko to jest dziełem najbardziej zdecydowanej koncentracji i centralizacji produkcji zachodniego świata, funkcjonującej na co dzień przy współdziałaniu

ETOSU PRACY ZBIOROWEJ.

Powstaje on już na gruncie kapitalizmu. Jest to przecież ów podstawowy zalezek socjalizmu na gruncie tego systemu z natury swojej uspołeczniającej pracę. Ten zespół wartości natomiast jaki otacza współczesnego Polaka i atakuje ze strony lektur, radia (zagranicznego, ale i polskiego), telewizji, przystosowany jest raczej do sytuacji produkcyjnej jakiegoś zespołu „Cepelii”, w najlepszym razie, a częstokroć villeggiatury milionerów na wyspach południowych mórz.

Jeżeli trochę przesadzam, to robię to celowo, gdyż zmusza do tego drastyczność samego problemu. Oprócz propagowania zasad reformy, równoległe z nimi, musi być podjęta akcja wypracowywania etosu socjalistycznej, odpowiedzialnej wobec siebie i innych, silnej swolm kolektywnym wymiarem, twórczej pracy. Wszelkie myślenie „albo — albo”, które piętnował w gorącym jeszcze okresie stanu wojennego Wojciech Jaruzelski, prędzej czy później przyniesie opłakane wyniki. Choć nie sam proces pracy ma być naszym głównym celem, ale przede wszystkim opracowanie nowych wartości w ramach nowych socjalistycznych stosunków międzyludzkich, to jednak i ekonomistom trzeba przypomnieć, że nie jest dla procesu produkcyjnego obojętne, jak widzą siebie i świat i miejsce w nim pracy bezpośredni producenci!



Foto: Grzegorz Gałasiński

Druga potężna przyczyna historyczna — to oddziaływanie religii katolickiej, która przez długie stulecia ujawniała pracę jako przekleństwo wyrabiając przekonanie, że bardziej uprzywilejowani przez Boga to ci, którzy są od niej wolni, lub mogą sprawować ją w jej najniższej postaci. Warto sobie uświadomić, że jeszcze w encyklice „Rerum novarum” w 1891 roku, a więc już po utworzeniu II Międzynarodówki, formułującej nowe zasady socjalistycznej godności pracy, Leon XIII pisał:

„Ubożych zaś Kościół poucza, że zgodnie z myślą Bożą nie należy uważać za hańbę, ani się wstydić pracy zarobkowej”.

O pracy Kościół miał tyle tylko do powiedzenia, że nie należy się jej wstydić, co było już i tak wielkim postępem. I to wtedy, gdy wiązane z godnością człowieka w rozpowszechniającym swoje wpływy marksizmie, było nie tylko podejmowanie jakiegokolwiek pracy, ale pracy twórczej, wymagającej rozbudzenia łączy wiedzy i nauki, której kulminacją miała być świadoma zmiana świata.

Bardzo późno godność pracy i robotnika trafiła do dokumentów Kościoła, i dopiero encyklika „Laborum exercens” zdobyła się na stwierdzenie:

„Kościół jest przekonany, że praca stanowi podstawowy wymiar panowania człowieka na ziemi”.

Co więcej, nawet biblijne stwierdzenie: *Idźcie i czyńcie sobie ziemię poddań* — interpretowane jest jako wezwanie do opanowywania świata przez pracę, nie bacząc na to, że podobne stwierdzenia myśli burżuazyjnej, Kartezjusza czy Bacona, Kościół kiedyś zawzięcie zwalczał. Dziś jednak wcale obecność takich ujęć pracy w ostatniej encyklice, już z lat 80-tych, nie implikuje jeszcze rangi tej kwestii w powszednim nauczaniu Kościoła.

W żaden sposób nie da się powiedzieć, by nawoływanie do rzetelnej, solidnej, uczciwej pracy miało jakieś priorytetowe miejsce w działalności ideologicznej Kościoła. Wręcz przeciwnie, jeśli jest mowa o pracy, to podkreśla się, że tylko praca np. oddana Maryi ma właściwy sens moralny. Praca więc ateisty, ale również na przykład Japończyka czy Araba staje się moralnie niepełna. Wydać się, że najbardziej się liczą nie sama praca, ale jakiejś związane z nią uboczne, partykularne sprawy, raczej dzielące ludzi sztywnymi granicami niż stwarzające solidarność wszystkich ludzi pracy, na którą taką nacisk kładł zawsze marksizm.

Słuchamy Twoich wywodów z powagą i uważnością, ponieważ chcielibyśmy już dość dłużej słyszeć rozmowy, które stanyły w centrum uwagi całego kraju a także zagranicy?

Proszę o chwilkę cierpliwości, ponieważ wszystko to, co powiedziałem o lipcowych i sierpniowych dniach domaga się podsumowania. Zastanawiam się przez chwilę nad sytuacją, jaka w lipcu 1981 r. powstała w Polsce. IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR zakończył się manifestacją jedności partii w kwestii najważniejszej tj. jednoznaczności i ofensywnego realizowania śmiałego i wszechstronnego programu reformowania naszego życia społeczno-gospodarczego odpowiadającego oczekiwaniom i ambicjom klasy robotniczej i całego narodu. Tuż po Zjeździe, jak już powiedziałem, rząd zaczął mnożyć w sferze społeczno-gospodarczej działania potwierdzające naszą gotowość do wcielenia w życie tego programu. Niemal każdego dnia działało się coś ważnego. I to w takiej chwili, „Solidarność” przystąpiła do organizowania w skali całego kraju demonstracji ulicznych w postaci „marszów” głodowych, strajków protestacyjnych, składania dramatycznych oświadczeń itp. Czy był to przypadek, że właśnie w tym czasie doszło do tych akcji? Uważam, że była to odpowiedź „Solidarność” na IX Zjazd. Sądzę, że sztabowcy z Gdańska i okolic w programie przyjętym przez IX Zjazd dojrzały groźbę dla polityki realizowanej przez „Solidarność”. Wiedzieli przecież, że w społeczeństwie narasta obawa przed tym, co może nastąpić, zwłaszcza jeśli chodzi o warunki życia i że w związku z tym coraz więcej obywateli było gotowych udzielić poparcia każdemu, kto zaproponuje realne i skuteczne działania na rzecz polowania kresu pogłębiającemu się kryzysowi gospodarczemu. Taki kierunek działań proponował program przyjęty na IX Zjeździe. Należało więc przeszkodzić partii w jego realizacji, odciągnąć uwagę administracji państwowej oraz gospodarce od pełnego zaangażowania się w konkretyzację celów, które wytyczył IX Zjazd. Lecz to jeszcze nie wszystko. Rodzące się w szerokich kręgach społecznych przekonanie, że po IX Zjeździe władze „ruszyły do przodu” i że w związku z tym należy im zaufać, należało podważyć, zburzyć poprzez wysunięcie nowej serii oskarżeń skierowanych pod adresem rządu. Wybrano, co jest zrozumiałe, sferę gospodarki, niemal wyłącznie wykorzystując narastającą trudność w godziwym zaopatrzeniu ludności w żywność. Stwierdzam, że cynicznie, ponieważ po części to właśnie „Solidarność” spowodowała tę wysoce niekorzystną sytuację gospodarczą. Gdyby przywódcom „Solidarność” rzeczywiście zależało na poprawie sytuacji, to przecież nie powinni byli, zwłaszcza po IX Zjeździe PZPR, podburzać ludzi i wyprowadzać ich na ulicę, lecz powrócić walejskością zwołaniu z późnego lata 1980 r. — „A teraz do roboty”. Nie ukrywam, że byłam głęboko rozczarowana tym stanowiskiem przywódców „Solidarność” oraz ich doradców. Wychodząc z Salii Kongresowej po zakończeniu IX Zjazdu żyliśmy małą, ale jednak nadzieją, że oto teraz znajdziemy zrozumienie wśród rozsądnej części zespołów przywódczych Związku. Przecież chodziło o Polskę, o naszą przyszłość. Po serii „marszów głodowych” wiedzieliśmy już, że ta nadzieja została brutalnie przekreślona. No, a teraz możemy porozmawiać o sierpniowym spotkaniu w Urzędzie Rady Ministrów.

— Kto był inicjatorem spotkania?

Szef rządu. W związku z rosnącym napięciem w kraju uznał on, że spotkanie Komitetu Rady Ministrów ds. związków zawodowych z Prezydium KKP jest konieczne. Nie ukrywam, że bardzo nam na tym zależało, bowiem ciągle jeszcze uważaliśmy, iż potrafimy odciąć szefów „Solidarność” od zaprzestania działań, które wyniszczały ledwo trzymającą się na nogach gospodarkę polską. Przecież trzeba było wierzyć w zwycięstwo zdrowego rozsądku, a także w Instynkt samozachowawczy, który na ogół nie opuszcza człowieka.

W piątek 31 lipca wysłaliśmy telex do Prezydium KKP z propozycją odbycia spotkania w Urzędzie Rady Ministrów w dniu 3 sierpnia. Na ile pamiętam, telex odebrał Gwiazda, który odpowiedział nam, że w tak krótkim czasie Prezydium nie jest w stanie zebrać się i podjąć decyzji o przyjęciu zaproszenia. To prawda, że wyznaczony przez nas termin nie był zbyt odległy od chwili wysłania telexu, ale na nasze usprawiedliwienie trzeba dodać, że nie my byliśmy w pełni panami sytuacji, lecz rozważaliśmy, czy „Solidarność” ulica. Każda kolejna godzina groziła wybuchem. „Samoochronicząca rewolucja” wysłała przecież na ulicę. Burkniecie Gwiazdy zostało wkrótce zdewaluowane przez L. Wałęsę. Z Gdańska nadszedł kolejny telex przyjmujący zaproszenie oraz proponowaną przez nas datę spotkania.

W poniedziałek, 3 sierpnia delegacja KKP zjawia się w budynku Urzędu Rady Ministrów. Była bardzo liczna. Chyba najliczniejsza ze wszystkich, które gościły dotychczas w siedzibie Prezydium Rządu. Oprócz członków Prezydium KKP dojrzałem w niej sporą grupę doradców. Nie ukrywam, że każde tego rodzaju spotkanie było dla mnie wielkim przeżyciem. Co mnie najbardziej stresowało? Muszę to wrzucić raz z siebie wyrazić. Otóż wprost fizycznie nie wytrzymałem agresywności, którą w swych wystąpieniach demonstrowało wielu uczestników tych spotkań. Nigdy dotychczas tego publicznie nie wyznałem. Na spotkanie w dniu 3 sierpnia szedłem z ścietym sercem, bowiem po raz pierwszy od marca byłem bardzo przynębiony sytuacją, jaka powstała w końcu lipca i w pierwszych dniach sierpnia. Bałem się tego, co może zdarzyć się w najbliższych tygodniach. Po powitaniu gości, wystąpiłem z obszernym zagajeniem. Miało ono 17 stron maszynopisu.

Punktem wyjścia było przypomnienie, że przez 11 miesięcy polski kryzys udawało się utrzymywać w murach zakładów pracy, uczelni i kościołów. Wyjścia na ulicę były sporadyczne, prawie niezauważalne. Dziś, powiedziałem, mamy nową sytuację — manifestacje uliczne, które stają się już zjawiskiem masowym. W kraju rozlała się fala tzw. marszów głodowych, do których wykorzystuje się nawet dzieci. W Łodzi naprzeciw Urzędu Prezydenta miasta stała

grupa dzieci w wieku od 10 do 18 lat z transparentem „My dzieci nie chcemy umierać i stawać się kalekami”. Przypomniałem, że manifestacją kierował przewodniczący „Solidarność” Ziemi Łódzkiej, towarzyszy Ślowik. Zwrociłem się do Ślowika, który wówczas jeszcze był członkiem PZPR per towarzyszu, wywołało poważną wesołość wśród naszych gości. Ślowik wręczał reholat. Wystąpienie Ślowika, które miałem przed sobą, zawierało jawne ataki na władze państwa. Za jedną z charakterystycznych cech wystąpienia wygłoszonego w czasie marszów głodowych uznałem wprowadzenie do nich wyraznych akcentów antyradzieckich, antypezpeerskich i antyrządowych. Manifestacje uliczne, powiedziałem, faktycznie otwierają drogę do konfrontacji. Czy o to chodzi jej organizatorom? Jeżeli tak, to będziemy musieli ocenić takich intencji przedstawicieli narodu i mimo że wielu odtatom społeczeństwa zawrócono w głowie, to jednak wierzymy w zwycięstwo zdrowego rozsądku. Jeśli zaś nie chodzi o konfrontację, to trzeba postawić pytanie, co skłoniło „Solidarność” do tej groźnej w swych skutkach akcji. Odpowiedziałem na to pytanie następująco: „Solidarność” może polegać na tym, że „Solidarność” nie jest już tak popularną organizacją jak wówczas, gdy walczyła o rejestrację, o wolne soboty, poki nie zmienili jej „Solidarność”. Należy wymuszać reformy drogą faktów dokonanych”.

Czasy nadziei i rozczarowań (2)

Niczego nie ukrywaliśmy

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI

generalnego. Trzeba było się więc przypomnieć i przedstawić w oczach społeczeństwa jako jedyny jego obrońcę. Stąd hasło o biologicznym niszczeniu narodu przez „antynarodowy rząd”. Druga przyczyna leży być może w tym, że w szeregach „Solidarność” istnieją już obawy, że niezdolność nadzieję chwili, kiedy opinia publiczna zaczyna wystawiać rachunek „Solidarność”, pytając „co wściele zrobili dla Polski?”. To przecież Wałęsa oświadczył niedawno, że może nadejść taki moment, kiedy zaczęto zwać w „Solidarność” kamieniami i stawać pytanie: „coście zrobili dla robotników?”. Wreszcie trzecia przyczyna — twierdzą inni — może leżeć w walkach frakcyjnych w łonie „Solidarność”. W „Dzienniku Bałtyckim” w rubryce redagowanej przez „Solidarność” pisano o Wałęsiakach i frakcji Gwiazdy. Ja, powiedziałem, dodałbym jeszcze trzecią grupę, ośrodek maozwicki pozostający, jak wieść głosiła niesie, pod wpływem Kurenia. Otóż nie jest wykluczone, że każda z tych frakcji chce przywrócić na zjazd „Solidarność” z jakimś widocznym sukcesem. A sukces można zdobyć tylko próbując garbować skóre rządowej i władzy. W tej działalności przywódcy „Solidarność” wydawali się nie najgorzej. Za czwartą przyczynę uważałem chęć zmniejszenia w społeczeństwie i w opinii światowej pozytywnych skutków IX Zjazdu PZPR. I wreszcie przyczyną piątą, ostatnią. Istnieje opinia, że obecna działalność „Solidarność” mają na celu niedopuszczenie do wejścia Polski w etap stabilizacji, a ponieważ wiadomo, że istnieje na świecie siła, która są zainteresowane w tym, aby nasz kraj pozostał w stanie wrzenia, to są tacy, którzy podejrzewają, że ci którzy inicjują tego rodzaju akcje mają powiązania międzynarodowe. Jakikolwiek nie byłoby jednak przyczyn, stwierdzam, faktem jest, że akcje protestacyjne burzą podstawy umożliwiające osiągnięcie tak upragnionej fazy stabilizacji i czynią z Polski kraj wysoce niespokojny.

W akcjach protestacyjnych dojrzałem także nowe elementy, jak np. zmasowany atak na administrację państwową, a szczególnie na terenową. Pojawili się żądania zejścia wojewodów. Atak na administrację państwową uznałem za rzecz wysoce niebezpieczną, ponieważ faktycznie stawia pod znakiem zapytania celowość i słusność trwania przy linii porozumienia.

— Jak to rozumieć?

Tak jak powiedziałem. Skoro rząd nieustannie powtarzał i udawał, czynami, że jest wierny linii porozumienia, zgodnie ze wszystkimi uchwałami kolejnych plenarijnych posiedzeń KC licząc od 30 sierpnia 1980 r. a odpowiedział na deklarację i czynił był zmagający się atak na nas, to jest rzeczą oczywistą, że mogło paść pytanie o skuteczność tej linii. W istocie rzeczy padło ono już na XI plenium, w czerwcu 1981 r., ale teraz, w sierpniu zyskało nowe argumenty. No, ale powróćmy jeszcze do mojego wystąpienia.

Powiedziałem, że z analizy najwłaściwszych działań „Solidarność” wyłania się cel ostateczny — zakwestionowanie celowości istnienia tej władzy. Na linii tego celu leżą takie fakty, jak m.in. odezwanie się Gwiazdy na podkomisji sejmowej do posłów: „Wezwijmy was na dywanik”, groźby wygłoszone pod adresem wojewodów itp. Są to działania sprzeczne ze statutem Związku, z duchem oraz literą podpisanych porozumień. Celem „Solidarność” nie jest udział we współodpowiedzialności w wyprawieniu Polski z kryzysu, lecz — niestety — pogłębianie istniejącego kryzysu. Tezę tę zilustrowałem licznymi przykładami demagogii uprawianej przez „Solidarność” w dziedzinie gospodarczej. Destrukcyjność wszędzie i przy każdej okazji, oto istota działalności „Solidarność”. Muszę zatem, powiedziałem, ponowić pytanie, co chodzi „Solidarność”? Może o zbudowanie dwóch państw? Państwa nominalnego i państwa realnego opartego wyłącznie o „Solidarność”? Powołałem się na wypowiedź Karola

Modzelewskiego sprzed kilku dni. Foucault „Solidarność”, że nie ma szans, aby ta władza wprowadziła kraj z kryzysu, a więc — tak mówili — musimy wziąć ster w swoje ręce i zrobić dotychczasowy system zarządzania państwem, złamać epokę władzy przez reformami typu politycznego, ponieważ „oni nie chcą podzielić się władzą. Nie chcą stracić nomenklatury stanowiącej straża stalinowskim argumentami z okresu, kiedy mówiono, że „Tite psem lańcuchowym imperializmu”. Władza nie może zrobić, poki nie zmienili jej „Solidarność”. Należy wymuszać reformy drogą faktów dokonanych”.

Stwierdziłem, że w świetle ostatnich wydarzeń, wydaje się, iż niektórzy przywódcy „Solidarność” wstąpili na drogę samooświecenia. Są tacy, którym śnią się hekatomby, nowe dramaty narodowe. Na zakończenie swego wystąpienia oświadczyłem: „Polska znalazła się w ostatnich dniach w sytuacji wysoce niebezpiecznej. Jej wielki spokój został już poważnie zakłócony. Nowe demonstracje grożą gospodarcze narodowej dalszym rozkładem. Pogarsza się też sytuacja międzynarodowa Polski. Tracimy resztki wiarygodności w świecie. W tej sytuacji w moim przekonaniu — chęć to powiedzieć otwarcie — nadszedł czas określenia granic działalności „Solidarność”. Domagamy się od kierownictwa „Solidarność”, aby odpowiedziało

URM, gwarantując pełny spokój w czasie przejazdu. Wobec odmowy, Wałęsa uznał, że dalsze rozmowy są niecelowe. Po dyskusji w swoim gronie, przedstawiciele „Solidarność” zaprezentowali 7 punktów, których spełnienie — jak oświadczyli — będzie warunkiem kontynuowania rozmów. Były one następujące: Przywrócenie pierwotnej postaci projektowi ustawy o związkach zawodowych przygotowanego przez zespół Rady Państwa; nadanie właściwych pełnomocnictw społecznemu komitetowi kontroli zaopatrzenia w żywność; niezwłoczne powołanie urzędu pełnomocnika rządu do spraw pomocy żywnościowej (z zagranicy); powrót do zasad reglamentacji mięsa sprzed 1 sierpnia; zaprzestanie kampanii przeciwko samorządom pracowniczym; uzależnienia podjęcia jakiegokolwiek działań w sprawie reformy cen od akceptacji społeczeństwa i dostępu „Solidarność” do środków masowego przekazu.

Ze zgłoszonych postulatów wynikało, że nasi goście nie zamierzają odstąpić od wcześniej przyjętej taktyki. Widocznie uznali, że tematy, wokół których od kilku tygodni „Solidarność” aktywizowała i podniecała miliony ludzi są na tyle ważne, iż nie wolno od nich odstąpić. Co można było w tej sytuacji uczynić? Nie znalazłem innego lepszego wyjścia, jak zakomunikowanie delegacji KKP, że rząd musi mieć trochę czasu na opracowanie swego stanowiska w sprawie zgłoszonych postulatów. Zapropnowałem więc odłożenie rozmów do 8 sierpnia. Propozycja została przyjęta.

Co działo się w międzyczasie? Skończyła się blokada Ronda, 5 sierpnia prasa opublikowała komunikat rzecznika prasowego KKP NSZZ „Solidarność”, w którym zawarte były wszystkie postulaty, jakie usłyszyliśmy na spotkaniu w URM oraz ocena aktualnej sytuacji w kraju. Życie codzienne polskich rodzin, oświadczał rzecznik, staje się udręką. Rzecznik nie byłby sobą, gdyby odpowiedzialnością za ten stan rzeczy nie obarczył rządu. Brak jest, wywołał, zdecydowanego działania na rzecz reformy gospodarczej, a poprzez propagandową walkę z ruchem samorządów pracowniczych i forsowanie rządowych projektów ustaw, władze podjęły obronę dotychczasowego systemu zarządzania, który zrodził kryzys i uniemożliwiła jego przezwyciężenie. W tym samym dniu prasa opublikowała komentarz rzecznika rządu Józefa Bareckiego do oświadczenia Onyszkiewicza, będący polemiką z jego wywodami. W istocie rzeczy nasz rzecznik powtarzał to, co najmniej z dziesięć razy mówiliśmy. Jedynym nowym elementem była jego polemika z zarzutem, że prowadziliśmy walkę propagandową z „ruchem samorządów pracowniczych”. Zarzut był typowym przykładem już rutynowo stosowanej przez „Solidarność” metody przetranszowania faktów. O walce z samorządem pracowniczym były by nie mogło. Tu i ówdzie ukazywały się krytyczne publikacje, które nie nosiły znamion kampanii wymierzonej w projekt samorządu pracowniczego opracowany przez sieć wielkich zakładów. I to już wszystko. Krytykę prasową określono jako walkę z samorządem pracowniczym z wypowiedzi Onyszkiewicza, na co zwrócił uwagę rzecznik rządu, wynikało, że krytyka jakiegokolwiek projektu opracowanego przez „Solidarność” równa się atakowi na Związek. Tacy to byli demokraci! Na ziemi polskiej pojawiła się nowa święta krowa.

Wprowadzenie do polskiego organizmu społeczno-gospodarczego samorządu pracowniczego było jednym z naczelnych postulatów zwolenników odnowy naszego życia narodowego. W toku wielkich dyskusji, jakie w 1981 roku przetoczyły się przez Polskę, idea samorządu pracowniczego była omawiana i propagowana od różnych stron. Stosunek do samorządu pracowniczego stał się jednym z probierzy stopnia zaangażowania się partii w proces odnowy. Partia opowiedziała się jednoznacznie za samorządem pracowniczym, ale nikt z nas — jak sądzę — nie uważał, że samorząd jest jedynym lekarstwem na wszystkie dolegliwości występujące w sferze społeczno-produkcyjnej.

Znaliśmy doświadczenia samorządu jugosłowiańskiego. Dobre i złe... Wiedzieliśmy, że uruchomienie samorządu to dopiero początek wielkiego, społecznie niewątpliwie korzystnego eksperymentu.

Co innego „Solidarność”. Jej przywódcy i propagandyści nieustannie dowodzili, że z chwilą, gdy zjawi się samorząd, stosunki produkcyjne ulegną zasadniczej zmianie. Robotnicy staną się faktycznymi gospodarzami zakładu pracy, produkcja ruszy do przodu tak jak nigdy. Czy rzeczywiście wierzyli w to, co mówili? Myśle, że nie. Chodziło o coś innego. Ponieważ władze także należały do zwolenników samorządu pracowniczego, ale zachowywały trzeźwe spojrzenie na rolę i możliwości tej formy demokracji robotniczej, to należało uczynić wszystko, co możliwe, by wmówić robotnikom, że jesteśmy przeciwnikami samorządu i że jedynym jego zwolennikiem jest „Solidarność”. Krótko mówiąc: władza udaje, że chce samorządu, „Solidarność” jest jego oświadcznikiem. Była to demagogia, ale fakt ten nie miał dla Onyszkiewicza i jego kolegów żadnego znaczenia.

C.D.N.

przecież wieśniacy mówią o pruskim carze. Na to replikuje: *katorcy/sar durok — ja tuczysz zaju.*

Grupy zawodowe, środowiska czy instytucje zbiorowo obrazowe prezentują bezwzględne przekonanie, że oto cieszą się nienaganą opinią w społeczeństwie, mają szacunek i poważanie. A priori. Zbiorowym protestom nie towarzyszy cień refleksji, czy też owo dobre imię nie jest przypadkiem wyrazem samozadowolenia bez żadnych podstaw. Tak się fatalnie składa, że w tej dziedzinie postawa roszczeniowa „nam się należy” nie ma uzasadnienia. Szacunek społeczny i dobre imię, to nie są prezenty, które otrzymuje się za darmo. Nie są też dobrami przyznanymi raz na zawsze i nieodwołalnie. Można je utracić. I zakrawa na nieodpowiedzialność przekonanie, że utracony szacunek można odzyskać drogą wymuszenia przeprosin, nie zaś mozolnym odpracowywaniem na aprobatę społeczeństwa.

Autorytet jednostki, grupy zawodowej czy instytucji nie służy — jak sama nazwa wskazuje — do noszenia granatów. Ze swej istoty zakłada dobrowolność uznania. Więc nie instytucja, grupa, środowisko decyduje o tym, że w sposób bezdyskusyjny posiada autorytet, lecz decydują o tym klienci, pacjenci, peneceni, adresaci, słowem społeczni odbiorcy pracy danej grupy. I owo prawo decyzji jest niezbywalnym przywilejem. Zapewne wzruszający byłby pieśń chwwały polskiej poczty — na przykład — podczas gdy do gazet, radia i telewizji napływają dziesiątki skarg okradzionych, oszukanych, zlekceważonych penentów.

Zaczem — instytucje, grupy, środowiska samowolnie dekretujące, iż posiadają społeczny szacunek i dobre imię, dopuszczają się najzwyczajszego zawiaszczenia prerogatyw im nie przysługujących.

Nieszczęśliwie dla protestujących, da się ustalić pewną prawidłowość. Im więcej niewłaściwości dzieje się w imię danej grupy, profesji czy firmy, tym głośniejszy słychać odzewowe pogłoski za publiczną krytyką ich działalności.

Uważam, że nie należy ukrywać oczywistego dla bardzo licznych kręgów społeczeństwa faktu, iż coraz mniej jest instytucji czy profesji cieszących się społecznym prestiżem. Niestety, przychodzi nam żyć w czasach nierazko spektakularnych upadków niedzisiejszych autorytetów, a nowych jakoś nie widać. Dlatego coraz częściej w miejsce rzeczywistej, niekwestionowanej przez nikogo solidności, nienagannej opinii i cnoty, która krytyk się nie boi,

Dobre imię

pojawia się histeryczna nadgodność oślanająca bylejąkość i mierzele.

Dodajmy jeszcze dla uzupełnienia obrazu, że najczęściej domagają się zbiorowo i gwałtownie przywrócenia dobrego imienia profesji czy instytucji, które pełnią wobec reszty społeczeństwa funkcje usługowe. A więc tabakierka obraża się na nos. Zadziwiający, że nie słychać jakoś o gromkich protestach stianych do najwyższych władz państwowych ze strony aktorów żądających przywrócenia im czci i dobrego imienia przez bezczelnego krytyka, który ośmielił się obmawiać w gazecie ich brakorobstwo i szanowanie publiczności na śmierć.

BÓG POWIERZYŁ NAM HONOR POLAKÓW

Następnym zjawiskiem wartym analizy jest mechanizm rodzenia się zbiorowego protestu przeciw „psuciu dobrego imienia”. Potwierdza się tu żywotność porzekadła o nożycach odrywających się przy uderzeniu w stół. Z jednej strony spowodowane jest to prawidłowością że im gorzej dzieje się w danym środowisku, czy instytucji, tym głośniejszy należy protestować. Skoro nie broni honoru perfekcyjna jakość — może chociaż wysoka władza uwierzy, że jakiś pismał szarga świętość. Z drugiej strony obserwujemy znaną od dawna filozofię s.p. Dulskiej. Pokracznie pojmowana solidarność grupowa daje do tłumienia wszelkiej krytyki oraz do nieujawniania wstydliwych faktów. W myśli żywośnego nabył często przekonania, że ukryte świństwa honoru na szwank nie wystawiają, za to wywołane na światło publiczne — i owszem. W mentalności tego rodzaju nie ma miejsca na refleksję, iż sam fakt występowania zia i prób jego ukrycia — sam w sobie dyskwalifikuje prawo do gromkiego żądania „przywrócenia” dobrego imienia. Zupełnie tak, jakby zmuszenie dziennikarza do pokornych przeprosin automatycznie przywrócało utracaną część. Zupełnie tak — jakby dobrego imienia nie utracano tolerowaniem brudów. I jeszcze jedno. Tam, gdzie próż protestów słychać solenne przysięgi, że przeciw kierownictwo teple przejawy zia natychmiast i do korzeni, a jednocześnie dana firma nękana jest skandalami i ustawicznie i masowo — tam musi się pojawić powątpiewanie w jakakolwiek prewencję i egzekucję. Co klienta obchodzi, ilu pijanych pracowników wyrzucano z pracy, a ilu kierowników dostało nagany, jeśli w dalszym ciągu jest skazany na strach przy korzystaniu z usług danej „walczącej z niedociągnięciami” firmy?

Ma to także i ten aspekt że nader często pojawia się żądanie uprawiania wobec danej instytucji krytyki selektywnej, zwanej gdzie indziej — konstruktywną. Coś w guście: „niestety trzeba przystać, że czasami, sporadycznie i niekiedy pojawiają się pewne niedociągnięcia, jednakże poza tym wszyscy pracownicy o ile i w trudnych warunkach spełniają odpowiedzialne zadania”. Znowu mamy do czynienia z nie wyrażonym wprost zawiaszczeniem prawa do dokonywania ocen. Jedynym słusznym punktem widzenia dla opinii publicznej ma być punkt widzenia ocenianego. A przecież to właśnie adresaci usług decydują o tym, co „rzutuje na taloskę oceny”.

W tym punkcie zbliżamy się do najbardziej neurałgicznego zagadnienia. A mianowicie — kto i kiedy decyduje o zwerbaliżowaniu, sformułowaniu na piśmie i nadaniu biegu zbiorowemu protestowi przeciw naruszeniu dobrego imienia. Otóż można dostrzec kolejną próbę zawiaszczenia. Pojedyncze osoby przyjmują założenie, że ich interpretacja opublikowanego w prasie raportu, felietonu, artykułu jest po pierwsze — jedyną i prawidłową oraz — po drugie — że tę ocenę podzielają inni pracownicy tej samej firmy, branży czy środowiska. Protest zbiorowy nie rodzi się bynajmniej w żmudnych konsultacjach ze wszystkimi zainteresowanymi, lecz zostaje narzucony ogromnej większości przez niewielką grupę.

Dlaczego? Coż, przyczyny mogą być różne. Iu na przykład zdoładzie się na odwagę, by zaprzeczyć, jakoby poczuło się znieważonymi przez dziennikarskie pisanie, jeśli na zebraniu załogi temperatura emocji wyklucza racjonalne argumenty? Bywa że pracownicy danej branży w ogóle nie mają pojęcia, że w ich imieniu ktoś się obraził. Bywa, że nie dostrzegają różnicy między demokratycznym wyborem swych związkowych czy samorządowych przedstawicieli a całkowitym i bezkrytycznym secedowaniem na tychże prawa i obowiązki samodzielnie myślenia. Skoro wybrani reprezentanci uznali za słuszne obrazić się w imieniu wszystkich, widać mieli powody, no i występują z naszym mandatem w kieszeni.

Stąd właśnie bierze się formula protestów zbiorowych, że wszyscy, in corpore, bez wyjątku, generalnie i śmiertelnie zostali znieważeni i domagają się przywrócenia im czci.

Nie wolno zapominać także o niesłychanie istotnym momencie tego typu działań. Oto nie kieruje się ich w pierwszym rzędzie i przede wszystkim pod adresem autora krytycznego tekstu czy audycji, i nawet nie do bezpośredniego zwierzchni-

ka — naczelnego, lecz główna siła uderzenia kieruje się w stronę gremiów decyzyjnych. Im wyżej, tym — zdaniem protestujących — lepiej. Najlepiej do władz wojewódzkich i centralnych. Tkwi tu wyraźna przesłanka, że instancje polityczne skutecznie uszczą bezczelnego dziennikarza, najlepiej wyrzucając go z pracy. Anatemą „politycznego dywersanta” ma w oczach protestujących znacznie większą moc odwetową niż merytoryczna analiza treści krytyki i dochodzenie swych praw na drodze sądowej. Gdyby bowiem miało się okazać w przewodzie sądowym, że jednak dziennikarz miał argumenty i podstawy do swej krytyki — narazić się można na śmiech.

Wydaje mi się bardzo ważne podkreślenie i tego, iż proceder zbiorowego obrażenia się nosi wszelkie znamiona szantażu. Przywrócić dobrą opinię w oczach społeczeństwa może danej profesji, instytucji czy osobie jedynie żmudna walka z najmniejszymi wpadkami. Nikt nie spodziewa się nagłego polepszenia bazy technicznej, przeskoków setek niemożności ekonomicznych, ale bo też nie obrażają się przastare maszyny, lecz ludzie. I w ludziach rzecz. Więc jeśli się zgodnie z prawdą pisze, że pijany kolejarz zelżył pasażera, to nie wolno krzyczeć, że to obraża wszystkich kolejarzy, tylko pokornie wyrzucić brutalną z pracy i publicznie przeprosić.

Natomiast technika wymuszania przeprosin od dziennikarza drogą napuszczania na niego licznych gremiów polityczno-państwowych nie jest niczym innym, jak wymuszaniem uznania, że się posiada prestiż, dobre imię i szacunek. Przymusem i nachalnością można osiągnąć jednak wyłącznie posłuszeństwo i strach. Czasem nawet pogardę. Ale nigdy w życiu — szacunek i autorytet. Byłoby mądrzej argumentami przekonać dziennikarza, że jednak nie ma racji, lub — w przypadku zarzucenia mu jawnego kłamstwa — dowiedzieć mu tego w sądzie i należyście ukarać, zgodnie z odpowiednimi paragrafami.

WSZYSCY — TO KTO?

Uważam, że zbiorowe protesty całych środowisk przeciwko publikacjom krytycznym, żądające przywrócenia utraconego jakoby dobrego imienia mają w sobie coś głęboko nietetycznego.

Założeniem podstawowym staje się w takim przypadku i s y n a c j a . Pod adresem dziennikarza, który publikując informację o wymowie jednoznacznie krytycznej, tym samym dopuszcza się bezprawnej generalizacji. Jego niepoehlebny obrazek z jakiegos wycinka rzeczywistości jest jakoby krzywdzącym uogólnieniem rozciągającym się na wszystko, wszystkich w ogóle i bez wyjątku. Jeśli opisuje horror z życia kolejowego, szkolnego czy szpitalnego, to oznacza to — zdaniem protestujących — że tak właśnie myśli o całości. Szczególna ta interpretacja staje się podwójnym orężem w rękach oburzonych. Z jednej strony pozwala wzmocnić „donośność” sianego urbi et orbi protestu, z drugiej zaś — demagogicznie wymusza na adresatach protestu fałszywe domniemanie, że skoro dziennikarski „występek” wywołał tak powszechne oburzenie eo ipso oznacza to uznanie racji protestujących.

Tymczasem wyraźnie widać, że to, co jest oczywistym grzechem dziennikarza, klasycznym błędem w sztuce — owa bezprawna generalizacja ocen — jest nią tylko i wyłącznie w przewidzeniu krytykowanym środowisk. Jak się chce psa uderzyć, to się zawsze kij znajdzie, a najprościej w tym celu mówić dziennikarzowi to, czego nie powiedział, wyinterpretować w sposób dla siebie wygodny i zażądać bezwzględnego ukarania bezczelnego oszczercy.

Znacznie jednak groźniejszym zjawiskiem jest co innego. Oto — wszyscy są oburzeni, każdy (nawet jeśli to „każdy” oznacza milionową rzeszę pracowników jakiejś branży) uznał atak za wymierzony bezpośrednio w siebie. Oczywiście jest tak w mniemaniu autorów listów protestacyjnych. Czy jednak rzeczywistość każdej? Czy oznacza to, że obrażili się także ci uczciwi, pracujący solidnie, ofiarnie, nienagannie? A dlaczego? Przecież krytyka skierowana pod adresem złodziei, pijaków, bumelantów, chulliganów — uczciwych nie dotyczy. Przecież to nie o nich. Dlaczego więc poczuli się obrażeni?

Byłoby to znowu przykład szkodliwej „solidarności” grupowej? Wydaje się niepojętą karkolomna teza, że jeśli w gazecie piszą że o nieuczciwych pracownikach — powiedzmy — handlu, to uczciwi też muszą się poczuć wyuzdani ze czci. Jeśli prawdą jest, co twierdzą nagminnie protestujący, że wszyscy są uczciwi i ofiarni, to dlaczego społeczeństwo ma tak fatalną opinię o kolejach, o szpitalach i innych. Jeśli tylko sporadycznie — zdaniem krytykowanym — zdarzają się niewłaściwości — to skąd się biorą kradzieże wagonów, paczek, bałagan, brakorobstwo na budowach. Gdzie się podziali złoczyńcy, skoro w koło — jak mówi piosenka — sami szeryfi? A może w ogóle nieprawdą jest, że mają miejsce przeróżne występki? I stąd to powszechne oburzenie za kalanie dobrego imienia? Nikt jednak przy zdrowych zmysłach nie poważy się twierdzić, że jest wspaniale i będzie jeszcze piękniej. Skoro tak — logika nakazuje postawić kropkę nad „i”. Uczciwi, porządni ludzie nie ma żadnych podstaw obrażać się, jeśli w jego środowisku czy miejscu pracy publicznie zostaną ujawnione występki. Przeciwnie, powinni się cieszyć. Jeśli jednak podpisuje się pod zbiorowym protestem i domaga się przywrócenia „dobrego imienia”, może to oznaczać tylko jedno. Ze albo nie jest uczciwym i zarzuty pasują do niego jak ulał — więc się broni. Albo — zapomniat o tym, że solidaryzując się z oburzonymi sam stawia się w jednym szeregu z nieuczciwymi. Bo tylko ci ostatni mają rzeczywistość podstawy czuć się zagrożeni. Czy nie bardziej kompromitujące dla uczciwych jest to, że dopiero dziennikarz głośno mówi to, co oni na co dzień widzą wokół siebie? Jeśli dotad sami nie przeciwdziałali ziu — i nieważne, czy ze strachu przed zemstą kliki, czy z obojętności, czy z poczucia bezsilności — tym samym odebrali sobie własnoręcznie prawo do obrażania się. Dopiero bezdyskusyjnie nienaganna praca daje prawo czuć się obrażonym. Tam zaś, gdzie nie zawsze dzieje się dobrze, tam żaden uczciwy nie ma potrzeby solidaryzować się z protestującymi.

Na koniec trzeba zauważyć jeszcze jedno. Niezwykle często w listach protestacyjnych pojawia się bezprawne żądanie, by dostrzegać w jak trudnych warunkach pracownicy muszą realizować swe zadania. Jak ciężko, bo kryzys, brak nowoczesności, niedostatków i krótka koidra. Więc żeby docenić ofiarnąść załóg, nie zaś tępic i wyolbrzymiać zło. Pytanie mam tylko jedno. Jaka branża, jaka profesja, jaka instytucja może dziś powiedzieć o sobie, że pracuje w warunkach komfortu? Może tylko jedna Izba Skarbowa. Poza tym wszyscy mamy te same kłopoty, nikt nie jest izolowany z ogólnych niedostatków i może wzruszać tylko uwaga kolejarzy, że tak im się paskudzi „o honor”, a oni muszą pracować w „ekstremalnych warunkach klimatycznych”. To mają inny klimat niż reszta?

Nadto wypada przypomnieć protestującym że nazbyt rzadko pojawiają się w ich zbiorowym oburzeniu słowo „obowiązek”. Nijakiej łaski nie robi mi kolejk czy MPK, że raczy mnie obsługiwać. To jest ich obowiązek.

Pozostaje mi wierzyć, że przedstawione tu do oceny czytelników uwagi znajdują popleczników, ja zaś naiwnie czekać będą na nadejście czasów, w których rzetelni pracownicy nienaganie wykonujący swe obowiązki obrać się będą na tych, co obrażają się na środki masowej informacji, że „naruszają ich dobre imię”. Prawdziwy szacunek i świetna opinia są bowiem wartościami zbyt solidnie zbudowanymi, by mógł im realnie zaszkodzić krytyczny obrazek w gazecie. Być może wszyscy powinniśmy na co dzień realizować niegłupią zasadę: *mięczem domu broń, głupotę kijem lecz.*

JOLANTA WRÓNSKA

II Łódzkie Dni Kultury Robotniczej

GRZEGORZ GALASINSKI



Przemysłu Ziemiaczanego (1660), miasto Głowno (2945) oraz inne (583). A gdzie pozostałe województwa mające swój udział w zatrudnieniu Bzury — płockie, skierniewickie, warszawskie? Tylko to ostatnie zasila ją 71 004 metrami sześć, ścieków na dobę, czyli ilością prawie dwukrotnie większą niż Łódź.

Od tych danych — bez przesady — wioś jeży się na głowie.

W OZORKOWIE SYTUACJA NIE JEST LEPSZA

ani gorsza niż gdzie indziej. Bzura mieni się tu wszystkimi chyba kolorami tęczy, cuchnie na odległość. Wzdłuż brzegów nie uprawia się ziemi, nie wypasa bydła, nie chodzą z rodziną na niedzielne spacerki. Wszystko — gleba, powietrze, roślinność — jest tu bowiem zatrute. Podobnie jak w innych nadbrzańskich miastach. Ale w Ozorkowie wcześniej niż tam zrozumiano, że dłużej być tak już nie może, że nie wy-

faktu istnienia Ligi Miast Dorzecza Bzury. Bez tego — wiadomo — dla nikogo liga nie będzie godnym partnerem. Ba, można będzie nawet traktować, że w ogóle nie takiego nie istnieje.

To ostatnie zadanie wzięli na swe barki aktywiści PRON z Ozorkowa, przygotowując projekt statutu. Mówi się w nim między innymi, że liga jest stowarzyszeniem, działa na terenie czterech województw: łódzkiego, płockiego, skierniewickiego i warszawskiego, stałą jej siedzibą jest Ozorków, ale może też powoływać swoje koła terenowe w poszczególnych ośrodkach, być członkiem krajowych, zagranicznych i międzynarodowych organizacji społecznych o podobnym profilu, zaś jako cel ostateczny stawia sobie „doprowadzenie do stanu czystości rzeki Bzury i jej dopływów”. Jako formy działania wymienia się: prowadzenie akcji informacyjno-propagandowych, zbieranie opinii i postulatów społeczeństwa, interwenio-

Zyrardów, Bionie, Grodzisk Mazowiecki, czy Pruszków. Koncepcją jest zatem budowa w nich nowych lub modernizacja istniejących już oczyszczalni. I to właśnie jest zadanie na dzisiaj. Gdyby bowiem udało się przywrócić w najbliższych latach czystość dopływom, stężenie szkodliwych substancji chemicznych w samej Bzurze uległoby zmniejszeniu i przynajmniej w dolnym biegu miałoby nieco lepszą sytuację.

Wszystko jednak są to inwestycje bardzo kosztowne, długotrwałe. Jak wynika z raportu, program budowy miejskich oczyszczalni ścieków niezbędnych dla ochrony Bzury i jej dopływów przed zanieczyszczeniami, zamknie się sumą około 49 mld złotych (według cen z 1984 r.), zaś oczyszczalni przemysłowych — prawie 6 mld złotych. Tyle właśnie kosztował nas będzie teraz ratowanie tego, cośmy przez dziesięć lat tak nierozważnie niszczyli. Czy jednak znajdujemy pieniądze na realizację całego programu ratowania Bzury? Nieraz już słyszeliśmy, że ochrona środowiska jest oczywiście ważna, ale są przecież jeszcze ważniejsze sprawy. A tu trudna sytuacja ekonomiczna kraju, olbrzymie zadu-

Miasto i woda

Polewka na kwasie pruskim

ROMAN KUBIAK

Kazali mi zajrzeć do studni. Płytki, drenowany otwór, błyszczące lustro wody — całkiem zwyczajna studnia. Może trochę koślawa, poszczerbiona cynkowym wiadrem. Z dołu był przyjemny chłód. A oni stanęli półkolem i milcząc czekali na werdykt. Dobrze go znali. Czarem głuche milczenie może znaczyć więcej niż krzyk. Ten werdykt, te słowa, które zaraz powinny paść były wypisane na ich twarzach: skupionych, chmurnie szarych i jakby ciągle zdziwionych.

Studnia była całkiem zwyczajna. ...na pierwszy rzut oka. Ta studnia, tamta i wszystkie studnie w okolicy. Tutaj, za fabrycznym murem. Woda w nich kiedyś była jak miód, że drugiej takiej nie znajdziesz i szukać nie będziesz. Skarb najprawdziwszy. A teraz...

Suchy łańcuch, poczerwiałe też suche wiadro, które niegdyś ten skarb ku gorze dzwigało i na amen zardzewiała korbka. Srebrzysta tafia wody migotała beznamiętnie.

...próbować jej nie wolno, choćby ktoś na słowo nie wierzył i samemu chciał doświadczyć. Dostę już było ludzkiego nieszczęścia. Bo człowiek drugiemu człowiekowi z rozmysłem śmierci życzył, a przecież nie powinien.

Kazali mi powąchać tę wodę. Żebym głono powiedział czy pachnie jak woda, czy może inaczej. Pachniała inaczej. Miał woń, gorzka jak migdały. I oni dobrze znali ten zapach, lepiej niż inne zapachy miasta. Czuli go na ustach, gdy wstawiali po nieprzespanej nocy, gdy ciałem wstrząsały torsje. Tak pachnia truciźna.

Tę wodę pili codziennie od dobrych kilku lat.

...najpierw bolała głowa i pobołęwał brzuch, wrowiło w oczach. Nic to. Człowiek myślał sobie, że jakos przędzie i znów będzie dobrze, ale tamto nie przechodziło. Sił było coraz mniej i coraz mniej wiary. U starych i u młodych. Więc starzy i młodzi po radę szli do lekarzy, a ci badali ich długo, lecz w końcu bezradnie rozkładali ręce, bo niby wszystko w człowieku było zdrowe, a jednak bolało okrutnie. Jednych bolało bardziej, innych mniej, ale narzekał każdy. I żadnego sposobu na to nie wynaleźli: w syropach, ziołach i praktykach rozmaitych. Nie wiele brakowało, żeby...

Zychlin. Woda, którą od lat pili mieszkańcy miasta jest zatruta toksycznymi cyjankami. Laboratorijna analiza próbek wód studziennych wykonana na zlecenie Wydziału Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej Urzędu Wojewódzkiego w Plocku ujawnia skażenie cyjanowodorem.

CYJANOWODÓR — kwas pruski. Lotna, bezbarwna ciecz, silna trucizna zaliczana do najokrutniejszych bojowych środków trujących. Dawka śmiertelna — 0,06 grama. Łatwo i w każdej proporcji miesza się z wodą tworząc kwas cyjanowodorowy.

Państwowy Wojewódzki Inspektor Sanitarny niezwłocznie zamyka dziewięć ujęć publicznych i zabrania czerpania wody w promieniu dwustu pięćdziesięciu metrów od domniemanego źródła skażenia.

Pokazali mi fabryczny mur. Nagim palcem, tak jak wskazuje się winowajcę. Za tym murem jest winowajca. Trucieli. Czy chce z nim rozmawiać? Tak, chce — spojrzeć mu w oczy i zapytać o czymś.

...człowiek bez wyobraźni nie mówi śnów...

Odrobina wyobraźni, okrucieństwo rozsądku — tyle trzeba było, by żyć jak dawniej, w zgodzie z naturą i sumieniem. Bo nie o wielkie pieniądze tu szło, lecz o zwykłą uczciwość.

Więc tak: na zatrutej ziemi stoi fabryka. Nazywa się „Emi” i robi elektryczne maszyny. Do tych maszyn potrzebna jest chemia: kwasy, ługi, cyjanki. Chemia żywi, ubiera, bogaci — jeśli trafi w dobre ręce. Albo niszczy i zabija — jeśli trafi w złe. W „Emicie” chemia dostrala się w bardzo złe ręce.

Przez tę bramę wjeżdżały ciężarówki, przywoziły beczki oznakowane trupią główką. Tam, w murach galvanizerni opróżniano je i trująca, ale pożyteczna przy produkcji cieczy spływała do wielkich kadzi. A kiedy już zrobiła co do niej należało, kiedy zamieniała się w toksyczny szlam i była fabryce niepotrzebna, znikła bez wieści. Nikt nie pamiętał, żeby beczki z trupią główką jechały w powrotną drogę.

Kompleksowa inspekcja dokonana przez służby ochrony środowiska na terenie Zakładów Wytwarzania Maszyn Elektrycznych i Transformatorów „Emi” w Zychlinie ujawniła zbrodnicy proceder. Toksyczne szlomy cyjanekowe z galvanizerni odprowadzano bezpośrednio do ziemi. Wykryto dwa głębokie doły, do których zlewano setki litrów bardzo groźnych trucizn. Koparka odsoniła pospiesznie zagrzebywane zlewiska agresywnych ścieków. Ślady porzuconego cyjanku odkryto także w trzech innych miej-

scach oraz na starych nieczynnych wysypiskach śmieci.

„Emi” trui od ponad dziesięciu lat.

Granicą jest mur. Tam, w fabryce tętla normalna praca, tutaj, w mieście normalne życie. Ale trucizna nie uznaje granic. Zza muru wiatr gwałt uchłonie powietrze i niósł je ku domostwom. Fabryka musi pracować — mawiali sąsiedzi „Emitu” i cierpliwie czekali, aż wiatr zmieni kierunek. Można było przywyknąć, trzeba było zrozumieć. Bo taka jest cena cywilizacji. Któż sądził, że za murem bezmyślność igra ze śmiercią.

...przecież odpowiedzialnych stanowisk nie powierza się idiotom...

Trucizna zbierała żniwo.

Inspekcja sanitarna ujawniła, że w „Emicie” nie funkcjonował nadzór nad gospodarką ściekową. Nie kontrolowano również prac zakładowego laboratorium.

Dopiero po wykryciu zbrodni, fabryka przystąpiła do budowy szesnastych zbiorników osadowych na odpady toksyczne.

O kilkanaście lat za późno!

Decyzją Wydziału Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej UW w Plocku galvanizernia „Emitu” została zamknięta.

...co dzień jadasz zupeę na pruskim kwasie..

Pokazali mi pas gołej ziemi. Ta ziemia jest chora. Półki o tym nie wiesz, stąpasz po ziemi pewnym krokiem i spoglądasz w niebo. Ale kiedy już wiesz, wtedy uważnie patrzysz pod nogi, twój wzrok staje się lekliwy. Bo to jest zatruta ziemia. W niej rości się zatruta salata, zatruty owoc, chore drzewa sięgają korzeniami po truciznę. W twojej studni czyha cyjanowódór.

...co dzień jadasz zupeę na pruskim kwasie..

Ziemia umierała skrycie. Była niczym chłona — gabka, która potulnie spija każda wiłgoc. Fabryka karmiła ją cyjanami, a ona karmiła ludzi zza muru. Ten, który kazał truć, latami oglądał jak na skażonej ziemi wegetują nieświadomi ludzie. Jak jęczą z bólu, jak mdleją w kąpieli, jak padają na twarz, jak zatrute matki rodzą chore dzieci...

Skażone studnie widać z okien fabryki.

Rany goją się wolno. Te na ciele ziemi i te w ludzkiej świadomości. Głębokie, rozdrapane rany, których nie zabliźnią żadne obietnice. Ziemia milczy i ludzie też milczą z trwogą spoglądając na fabryczne mury. Czasem zylasta dłoń zaciska się w pięść i... opada z rezygnacją. Bo gwałt nie odcisną się gwałtem — tylko bezsilnością.

Jej pomnikami są martwe studnie.

W obliczu ekologicznej katastrofy do działań przystępuje Stacja Ratownictwa Chemicznego z Plockiej Petrochemii. Najpilniejszym zadaniem ratowników jest neutralizacja źródeł skażenia. Lecz ciągle nie ma pewności, czy zlokalizowano już wszystkie miejsca, gdzie fabryka kamufłowała toksyczne substancje. Analiza wody i gleby wykazuje stale stężenie cyjanowodoru.

Reanimacja przyrody potrwa co najmniej kilkanaście lat.

...

Pokazali mi skąd czerpią zdrową wodę. Ze zdrowej ziemi. Czy tutaj, w okolicy jest jeszcze zdrowa ziemia? I jak długo.

Więc wodę czerpią z nieskażonej ziemi. Na niej jest ujęcie i długi wodociąg, który sprządzają laboranci. Jedna nitka wodociągu biegnie do „Emitu”. Fabryka zawsze miała czystą wodę i nie zależało jej na jakiej ziemi stoi.

Fabryce kazano, by zdrową wodę dostarczała swym ofiarom. Wodę przynosi się w wiadrach i starannie wacha, czy nie ma zapachu gorzkich migdałów — zapachu trucizny. Nalewa się ją do psiej miski i bada co zrobi zwierze. Ono nie tknie świństwa zaprawionego pruskim kwasem. Wywieśi jeźora i poczapie chleptać deszczówkę.

Urządnicę z fabryki powiada, że właściwie nic się nie stało. Mała sprawa w małym miasteczku. Wszak nie było śmiertelnych ofiar... Za miedzą jest cukrownia. A gdzie drwa rąba...

Na wniosek służb ochrony środowiska dochodzenie w sprawie truciciel z zychlinskiego „Emitu” wszczęła Prokuratura Rejonowa w Kutnie.

Rzeka bez wody

starczy jedynie narzekać i czekać na lepsze czasy, że już teraz trzeba, już teraz można zacząć coś robić.

W 1983 roku na drugim miejskim zjeździe Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego wiele mówiono o ochronie środowiska, o jej niedostatkach, zaniedbaniach. Podawano przykłady, zgłaszano postulaty. Nikt przy tym nie miał wątpliwości, że najważniejszą jest sprawa Bzury. Ale co może sama mała Ozorków? Nad Bzurą leżą też inne miasta, wszyscy zatrują ją, wszyscy powinni wyczuć się odpowiedzialni. I wtedy opiekun ozorkowskiich promotorów z ramienia Łódzkiej Rady, dr Jerzy A. Zak rzucił hasło — a gdyby stworzyć społeczną organizację grupującą działaczy ze wszystkich ośrodków nad Bzurą, taką ligę miast? Many wszak to same problemy, wspólnie łatwiej będzie nam je rozwiązywać. Zresztą nie ma innego wyjścia — wszyscy zatrują ją, wszyscy powinni wyczuć się odpowiedzialni!

Był to przysiółkowy strzał w dziesiątkę, jedna z tych inicjatyw, którym każdy gotowy jest przyklasnąć. I nie trzeba było nawet zbyt szeroko rozwijać dalej racjonalnego hasła. Wśród wycieczonych na sprawy ochrony środowiska ozorkowskiich promotorów mocno podziałało na wyobraźnię, chociaż od razu było wiadomo, że łatwo wcale nie będzie. Tyle się wszędzie mówi, pisze na te tematy, niby każdy jest za, każdy przyznaje rację, a kiedy przychodzi do konkretnych i decyzji, wyrasta nagłe tysiąc przeszkód, obiektynych przyczyn, uwarunkowań, różnych niemożności. A samymi postulatami...

Na szczęście tym razem nie zabrakło konsekwencji, mimo że przyszło poczekać aż dwa długie lata na pierwsze spotkanie działaczy PRON z Ozorkowa, Zgierz, Łęczyca, Łowicza i Sochaczewa, na którym przedstawiono ideę stworzenia Ligi Miast Dorzecza Bzury. Przycięta została dobra, z pełnym poparciem i na ogół bez zastrzeżeń. Ze jednak wartkiego nurtu dyskusji nie udało się w porę uregulować, a i doświadczona jakby nie stała, uczestnicy spotkania rozjechali się do domów, nie ustalwszy właściwie nic poza koniecznością powołania do życia ligi. Dopiero na drugim spotkaniu 18 maja 1985 roku w Sochaczewie, w którym wzięli także udział przedstawiciele Skierniewic, Teresina, Łodzi i gminy Wiskitki, uzgodniono wstępny plan działania. To znaczy, że w pierwszej kolejności należałoby sporządzić katalog społecznych i inicjatyw, w oparciu o które sformułuje się program ligi, szczegółowy raport o stanie Bzury oraz — co nie mniej ważne — że zająć się trzeba

wanie w przypadkach rażących przekroczeń przepisów o ochronie środowiska, kontrolowanie i koordynowanie poczynań władz administracyjnych, współdziałanie z nimi, a także — z innymi organizacjami, instytucjami, organami władzy.

Od września 1985 roku jest już także gotowy „Raport o stanie, przyczynach i koniecznych działaniach dotyczących poprawy czystości wód rzeki Bzury”. Jego powstanie niewiele jednak ma wspólnego z postulatami twórców ligi, choć zapisano w nim, iż „pomocno w przygotowaniu tego materiału były również wnioski zgłoszone przez organizację społeczną pn. „Liga Miast Dorzecza Bzury”. Opracowano go w Łódzkiej Zespole Planowania Regionalnego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, realizując wniosek Komisji dla Środowego Makroregionu Obszaru Planowania z... 2 grudnia 1982 roku. Co najważniejsze można zatem mówić o zbieżności postulatów, jednym kierunkiem myślenia władz administracyjnych i społeczników z PRON. I na razie chyba tylko tyle. Zastanawiające bowiem, że raport jak dotąd nie dotarł jeszcze do Ozorkowa, a w tamtejszej Radzie Miejskiej PRON zobaczono go pierwszy raz w rękach dziennikarza „Odgłosów”.

— Szkoda, że nie mogliśmy się z nim dotychczas zapoznać — usłyszałem — gdyż zyskalibyśmy bardzo na czasie. On leży w Łodzi gotowy, a my tu w Ozorkowie czekamy... Dlaczego nikt nas nie powiadomił?!

Jak wynika ze wspomnianego raportu,

SYTUACJA BZURY JEST WPROST KATASTROFALNA

Co gorsza, nie należy spodziewać się radykalnej poprawy do końca stulecia, czyli do momentu oddania do eksploatacji w całości Grupy Oczyszczalni Ścieków dla aglomeracji łódzkiej, która między innymi przyjmie ścieki komunalne i przemysłowe Zgierza. Bez tego wszystkie wysiłki na rzecz przywrócenia Bzurze choćby trzeciej klasy czystości wód muszą spłznąć na niczym. To, co zrzucą „Boruta” w zupełności wystarcza by Bzura nie stała się na powrót normalną rzeką. Dlatego też w pierwszej kolejności dążyć trzeba do jak najszybszego zakończenia budowy GOS, a także — zakładowej oczyszczalni ścieków w samym „Borucie”.

Niemniej ważną sprawą jest oczyszczanie dopływów Bzury: Oehni, Śludwi, Pisi, Skierniewicki, Utraty i innych. To one właśnie niosą ścieki takich miast, jak: Kutno, Skierniewice,

zenie w rublach i dolarach. Krótko mówiąc, wątpliwości są raczej uzasadnione.

Inicjatorzy utworzenia Ligi Miast Dorzecza Bzury doskonale zdają sobie sprawę, jak wielkim przedsięwzięciem jest kompleksowy program uregulowania gospodarki wodno-ściekowej na terenie ich działania. Wiedzą, że w grę wchodzi dziesiątki miliardów złotych. Mimo to, nie tracą nadziei. Wierzą, że będą mogli pomóc, ułatwić, usprawnić, dopłynąć. I chociaż z prawnego punktu widzenia liga jeszcze nie istnieje, gdyż nie jest zarejestrowana, myślami wybiegają już daleko w przyszłość, snują ambitne plany, badają różne możliwości.

I tak na przykład coraz realniejszego kształtu zaczyna nabierać idea powołania fundacji ligi. Składaliby się na nią przede wszystkim dobrowolnie wpłaty tych przedsiębiorstw przemysłowych, które zatrują Bzurę i jej dopływy swymi ściekami. Jak wynika z wstępnych rozmów, przeprowadzonych z dyrektorami niektórych zakładów, chętnie wspariliby oni ligę w miarę możliwości. Inni też prawdopodobnie odniosą się pozytywnie do idei fundacji. Ministerstwo Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych również jest za. Wszystko wskazuje więc na to, że i ta inicjatywa szybko dozna realizacji. Zdaniem przewodniczącego Rady Miejskiej PRON w Ozorkowie, Marka Wiecha i Józefa Karbowskiej, pełniącej w tamtejszym urzędzie miasta funkcję inspektora ds. ochrony środowiska i gospodarki wodnej, pozwoliłoby to ludzi nie tylko pełniej i skutecznie prowadzić swą statutową działalność, ale także — zasilać finansowo inwestycje, które takiego wsparcia najbardziej będą potrzebowały. Niestety, bez pieniędzy niewiele da się dziś zrobić.

Oczywiście nie wszystko można już teraz przewidzieć i zaplanować. Z czasem program działania ligi zapewne jeszcze się poszerzy, przybędzie nowych pomysłów, a także — doświadczenia. Wypracowane zostaną właściwe metody działania, rozwiane złudzenia. Jedno wszakże już dziś jest pewne — Liga Miast Dorzecza Bzury to pierwsza tego rodzaju społeczna organizacja w Polsce. I choćby z uwagi na ten tylko fakt, można sobie po niej wiele obiecywać.

Czy sprost naszym oczekiwaniom? Czy nie ugnie się pod ciężarem sprawy, którą wzięta na swe barki? — W każdym razie życzymy jej jak najlepiej.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

S

sanowni Panowie. Jesteście na właściwym tropie i jest to — gang. Wszyscy wiedzieli i uszyscy się dzielili zyskiem. Afera nie mniejsza od warszawskiej meblówki. Rozpieprzenie to towarzystwo złodziei. Samochody, domy, działki i inne luksusy to było ich celem. Macie już uróbelki. Tylko nie przegapcie okazji!"

Jak zdobyć 5 mln zł

EUGENIUSZ IWANICKI

Anonim. Kartka papieru nie większa od dłoni. Bez podpisu, choć koperta jest z poczty lotniczej. Nadszedł do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych mocno za późno, bowiem szesnastu podejrzanych już znalazło się za kratkami, a machina śledcza pracowała „pełną parą”.

Anonim jest listem tchórza. Jest donosem osobnika, którego nie można nazwać gentlemanem. Dlaczego — skoro wiedział o złodziejstwie, i to na tak wielką skalę — nie zawiadomił o nim władz wcześniej? I to oficjalnie? Przecież za działalność pro publico nie ponosi się konsekwencji ani służbowych, ani towarzyskich. Gdyby tak postąpił, parę milionów złotych pozostałoby w kasie państwowej. Teraz tchórz przysyła donos...

10 października 1985 roku do WUSW w Łodzi wpłynął raport jednego z inspektorów milicji, w którym zostało napisane, że z ustaleń tegoż inspektora wynika, iż na terenie Kombinat Maszyn Włókienniczych „Polmatex-Wifama” działa zorganizowana grupa przestępcza dokonująca kradzieży gotówki na wielką skalę. Polega to na tym, że owa grupa ludzi sporządza fikcyjne dostawy żelaza i żelwnego z „Wifamy”. Inspektor podał nawet sześć nazwisk osób podejrzanych o ten proceder. Jest wśród nich magazynier materiałów wsadowych i odlewniczych Jerzy J., jest także były kierownik tegoż magazynu — Piotr S., kierownicy — Bronisław M. i Ryszard K., kierownik zbiornicy żelwnu nr 1 — Emil T. oraz magazynierka Teresa R.

Zanim jednak opiszę samą procedurę przestępstwa, trzeba dla jasności całej sprawy powiedzieć parę słów o samym przedmiocie przestępstwa, czyli o żelwnie. Kombinat Maszyn Włókienniczych „Polmatex-Wifama” ma zawartą umowę ze Spółdzielnią Pracy „Surowiec”

na dostawę żelwnu stalowego i żelwnego dla potrzeb zakładu odlewniczego. Spółdzielnia „Surowiec” posiada swoje punkty skupu żelwnu, czyli tak zwane zbiornice, które mają za zadanie przyjmować odpłatnie żelwno od prywatnych dostawców lub od przedsiębiorstw państwowych. Sześciu, czyli kierownikami tych zbiornic, są ajenci zatrudnieni przez kierownika kasjerki. W normalnych warunkach żelwno kupiony przez składnicę jest ładowany na samochody będące własnością spółdzielni „Surowiec” i dostawiany do „Wifamy”. Kierowca ze specyfikacją w ręku jechał tedy do „Wifamy”, tam zabierano żelwno, stemplowano dokument, który kierowca zawiadził do „Surowca”. Dopiero teraz wystawiano fakturę obciążającą „Wifamę” za dostarczony żelwno.

W „Wifamie” proces topienia odbywa się w piecach tyglowych typu PITS-12, o pojemności około 15 ton. Po otrzymaniu od Szeffa Produkcji zapotrzebowania na żelwno w odpowiednim gatunku mistrz topiarni w oparciu o posiadane dyspozycje wsadowe, w których jest określony „zaczyn” ciekłego metalu pozostający w piecu oraz procentowy udział poszczególnych składników żelwna, wydaje dyspozycje dla operatora podajnika wsadów, co ten ma ładować do poszczególnych pieców, czyli ilości poszczególnych wsadów metalowych w przeliczeniu na elektromagnesy.

Operator podajnika wsadów podaje ustnie informację, co i ile elektromagnesów ma załadować na podajnik. Operator suwnicy notuje w specjalnym zeszycie ilość podanych elektromagnesów danego gatunku wsadu.

Na zakończenie zmiany mistrz topiarni na podstawie ilości wytopionego metalu dokonuje korekty ilości pobranych elektromagnesów poszczególnych rodzajów materiałów wsadowych i potwierdza podpisem w zeszy-

cie operatora suwnicy wsadowej.

Niech Czytelnik mi wybaczy ten przydługi opis technologiczny. Przytoczyłem go celowo, bowiem dla mnie pozostaje nierozwiązaną zagadką tej całej procedury w sytuacji, kiedy suwnicy wcale nie uruchomił elektromagnesów, bowiem żelwno nie było, choć w odpowiednich zeszytach i wykazach figurowały tony, jakie skierowano do pieców tyglowych.

Ale o tym za chwilę szerzej. Kilku lebskich facetów pracujących przy żelwnie dość szybko dostrzeżono szanse łatwego zarobku. Tym bardziej, że w zbiornicach żelwnu istnieje przepis, który zezwala na wypłatę gotówki z kasy bez wystawiania kwitów czy paragonów, jeśli suma nie przekracza dwóch tysięcy złotych. Każdy dostawca żelwnu, który np. przetranszuje 50 kg żelwna nawet nie będzie pytany o nazwisko tylko kieruje się go od razu do kasy z kartką od kierownika i tam otrzymuje pieniądze. Ową kartkę kasjerka następnie drze i wyrzuca do kosza. I właśnie taki przepis natchnął lebskich facetów na pomysł.

Otóż kierownik zbiornicy (a są to zbiornice nr 1, 7, 8) wystawia specyfikację wysyłkową i wręcza ją kierowcy. Ten pustym samochodem (bez żelwnu) udaje się przed „Wifamę” ale nie wjeżdża na teren, tylko zatrzymuje się przed bramą (wjeżdżając narażał się na ryzyko kontroli oraz zanożowania numeru samochodu w rejestrze wpuszczającego go strażnika). Toteż telefonuje do kierownika magazynu materiałów wsadowych i odlewniczych Jerzego J. Owż zjawia się niemal natychmiast, odbiera od kierowcy specyfikację i w swoim biurze potwierdza dostawę żelwnu (którego faktycznie nie dostarczono), po czym oddaje specyfikację kierowcy, a ten z koleje wręcza Jerzemu J. — w zależności na ile ton oplewała specyfikacja — dwa do sześciu tysięcy złotych. Panowie ści-

kają sobie dłonie i mówią „do szybkiego zobaczenia się”.

Tak potwierdzona specyfikacja wędruje do księgowości Spółdzielni Pracy „Surowiec”, gdzie wystawia się fakturę, w wyniku czego „Wifama” płaci za żelwno, którego nie otrzymała. W ten właśnie sposób „Wifama” zapłaciła spółdzielni „Surowiec” 20 mln zł.

Z czasem — wykorzystując niezwykle bałagan panujący w „Wifamie” — szajka złodziei jeszcze bardziej upraszcza swoją działalność; przestają kierowcy woziki wypełnione specyfikacją a dostarczają czyste blankiety, które Jerzy J. wypełniał oświadczeniem w sprawie rodzącej się lub popiłali piwko, a kierowca w tym czasie wpisywał im w karty pracy, że tyle to żelwno wysortowali i załadowali na samochody. Dobrze, co? Nie pracuje się, a licznik bije. Samo życie.

Wróćmy jednak do „Wifamy”. W kartotekach magazynowych figurowały ogromne dostawy żelwnu, choć w rzeczywistości magazyn był pusty, produkcja kulała. Tu parę „ciepłych” słów należy się dyrekcji „Wifamy”, gdyż przeprowadzona w maju 1985 r. kontrola wewnętrzna, czyli rezydent, ujawniła wielomilionowe niedobory. Jak wyślicie, co zrobiono? Ano zwołano na prację kierownika magazynu Piotra S., natomiast stary zostały wpisane w koszty własne. I jakoś nikomu nie wpadło do głowy, by w tak niezwyklej sytuacji, kiedy wszystko sugerowało przestępstwo, powiadomić prokuraturę. Gdyby owa komisja inwentaryzacyjna chciała głębiej i wnikliwiej zająć do dokumentów, przekonałaby się, że nie tylko fikcyjne zapisy figurowały w kartotekach magazynowych, ale

wnika zbiornicy i dawał mu do ręki po tysiąc złotych za każdą fikcyjną fakturę. Jedyne kierownik ze składnicy nr 8 nie chciał dla siebie pieniędzy, choć fałszywe specyfikacje wystawiał. Natomiast kierownik zbiornicy nr 7 był bardziej pazerny: chciał połowę sumy uzyskanej z fikcyjnych dostaw. Sprzeciwili się jednak temu kierowcy i ładowacze. Po burzliwej dyskusji, w której zapomniano o parlamentarystyce a posługiwano się słowami poszechnie uważanymi za obraźliwe, stanęło na tym, że kierownik otrzymywał 40 procent, reszta szła do podziemia. Jedyne kierownik zbiornicy nr 1, ciągle „idzie w zaparte” i twierdzi, że o niczym nie wie, a o fałszowaniu specyfikacji i braniu pieniędzy pierwszy raz słyszy, co zupełnie nie pokrywa się z zeznaniami kierowców i ładowaczy.

Wspomniałem, że „Wifama” zapłaciła za żelwno, którego nie otrzymała aż 20 mln zł. Szajka złodziei zagarnęła dla siebie 5 mln. A przecież nie są to jedynie straty. Proszę tylko pomniejszyć: normalnie ładowacze przed wysyłką żelwnu do „Wifamy” musieli go wysortować i załadować na samochody. I za to im płacono w systemie akordowym. A co robiono w przypadku wystawiania fikcyjnych faktur? To samo. Ładowacze o palali się lub popiłali piwko, a kierowca w tym czasie wpisywał im w karty pracy, że tyle to żelwno wysortowali i załadowali na samochody. Dobrze, co? Nie pracuje się, a licznik bije. Samo życie.

Wróćmy jednak do „Wifamy”. W kartotekach magazynowych figurowały ogromne dostawy żelwnu, choć w rzeczywistości magazyn był pusty, produkcja kulała. Tu parę „ciepłych” słów należy się dyrekcji „Wifamy”, gdyż przeprowadzona w maju 1985 r. kontrola wewnętrzna, czyli rezydent, ujawniła wielomilionowe niedobory. Jak wyślicie, co zrobiono? Ano zwołano na prację kierownika magazynu Piotra S., natomiast stary zostały wpisane w koszty własne. I jakoś nikomu nie wpadło do głowy, by w tak niezwyklej sytuacji, kiedy wszystko sugerowało przestępstwo, powiadomić prokuraturę. Gdyby owa komisja inwentaryzacyjna chciała głębiej i wnikliwiej zająć do dokumentów, przekonałaby się, że nie tylko fikcyjne zapisy figurowały w kartotekach magazynowych, ale

tyglowych, a porównując dostawę żelwnu dozłaby do wniosku, że co najmniej w 156 przypadkach nie ma wpisu wwozu na teren zakładu żelwno, mimo iż dokonano zapisu o jego dostarczeniu.

Dość interesujące zeznanie złożył jeden z operatorów suwnicowych, który pewnego dnia skonstatował, że jego elektromagnes podnoszący jednorazowo 400 kg żelwnu żelwnego albo 600 kg żelwnu stalowego albo 800 kg surowki, nagle nie ma czego dźwigać. Zaczął więc zapisywać kiedy i co podnosił elektromagnesem. Wkrótce doszedł do wniosku, że to kierownicy z „Surowca” tak oszczędnie zaopatrują „Wifamę” w żelwno. W swojej naiwności podzielił się wątpliwościami z osobą prowadzącą kartotekę w magazynie. Ale usłyszał w odpowiedzi, że wszystko jest w porządku, bo w kartotece są tysiące i tysiące ton, właściwie tyle ile potrzeba. Wtedy powiedział o swoich niepokojach kierownikowi. No i wyleciał z pracy. W uzasadnieniu kierownik napisał, że suwnicownik pił podczas pracy.

Ciekawie wyglądają także zeznanie kierownika magazynu materiałów wsadowych i odlewniczych Jerzego J. Początkowo przyznał się, że tylko częściowo uczestniczył w machlojkach i w sumie fałszywe specyfikacje podpisał raptem na jakieś 115—120 ton żelwnu, za co otrzymał około 50 tys. złotych. Czy inni kradli? Nie wie. Czy zna Piotra S.? Nie, nie zna, bo kiedy on został kierownikiem Piotra S. już w „Wifamie” nie pracował. A w ogóle, to podpisywanie lipnych faktur robił jedynie dla ratowania magazynów, gdyż inni dostawcy żelwnu do „Wifamy” tyle go dostarczali, że ciągle była superata i trzeba było jakoś to wyrównywać.

Wkrótce jednak Jerzy J. zrezygnował z chachmęczenia. Powiedział, że to właśnie Piotr S. wciągnął go do spółki, gdyż on, Jerzy J., był przez jakiś czas jego zastępcą w magazynie. Potrzebował pieniędzy w sumie — jak sam oblicza — przysjał jakieś 200—300 tys. zł. I to by było na tyle, jak ma wiaś w Polsce. Ostatni akt tego — jakieś częstego w naszym kraju — dramatu dołpiśz wkrótce sąd.

Masażysta relaksacyjny - to ja!

STEFAN ŻYCIOWY

Do Prima Aprilisa pozostawał jeszcze okragły tydzień, gdy w łódzkim „Expressie Ilustrowanym” ukazał się fraępujący wielec wywiad. Oto jego fragmenty:
— „Czy można o was powiedzieć, że jesteście pierwszym w Polsce biurem wynajęcia detektywów — pytamy szefów, a zarazem właścicieli zarejestrowanego ostatnio Biura Ochrony Osobistej i Mienia.

— Detektywami proszę nas nie nazywać, byłoby to wtrącanie w zakres obowiązków i praw milicji. My proponujemy naszym klientom czynności, których milicja nie jest w stanie spełniać. Trudno np. wymagać od milicji, aby dostarczyła „obstacę” każdemu, kto podejrzewa, że może zostać okradziony. Czy też pilnować każdego mieszkania z cennymi meblami, obrazami i porcelaną, gdy właściciel przebywa na urlopie. My zaś w takich przypadkach możemy zagwarantować opiekę...”

(...) — Do tej pory zajmowaliście się parapsychologicznymi usługami, jako fachowcy w tej dziedzinie. Parapsychologizmie nie ochronicie jednak człowieka, który niesie np. 10 milionów złotych, celem sfinalizowania zakupu samochodu.

— Parapsychologia przydaje się wtedy, gdy zgłasza się ktoś, komu mieszkanie „nawiedził diabeł”. Jeśli trzeba ochraniać bezpieczeństwo i mienie przydatne mogą okazać się wschodnie metody walki. A przede wszystkim znajomość pewnych zasad ochrony. (...)”

Dalej magister Bogdan Grzywna opowiada jeszcze o swoich i wspólnika — Witolda Smicha predyspozycjach, o kompletowaniu listy pracowników, o cenach — mają być umowne — o klientach, którzy już się ponoć zgłaszają. Podają także numer telefonu swojej siedziby w Pabianicach.

Tydzień po świętach wielkanocnych tekst wywiadu z niewielkimi zmianami i innym tytułem ukazał się w warszawskim „Expressie Wieczornym”. Materiał „Goryle do wynajęcia” za-

frapował także dziennikarzy innych gazet, bowiem wkrótce zareagował „Kurier Polski”, sugerując jednoznacznie, iż w Pabianicach o Biuro Ochrony Osobistej i Mienia nikt nic nie wie, numer telefonu nie jest zmyszony, ale nie mieści się tam żadna „siedziba” firmy, a pani do której telefon należy naprawdę ma już dość tłumaczeń, że cała sprawa jest jej kompletnie nieznaną...

Powiem szczerze: tak też i sądziłem od początku. W wyniku parapsychologicznej kontemplacji. Ot, żarcik praprapriliowy, który ukazał się nieco wcześniej niż powinien, z jedynym błędem taktycznym, bo nie podaje się wówczas żadnych numerów telefonów. Ale na wszelki wypadek i ja wybrałem się do Pabianic.

— O, nie jest pan pierwszy, który pyta o biuro ochrony — śmieje się Irena Jankowska, uroczy inspektor Miejski w Wydziale Handlu i Usług Urzędu Miasta w Pabianicach. — Dzwonili dziennikarze, przychodził też jakiś panowie i pytali o siedzibę. My w tej sprawie naprawdę wiemy tyle, co wyczytaliśmy w „Expressie”. Zapewniam, że nie wpłynął do nas w sprawie biura żaden dokument, w ogóle oboj wspomniani panowie nie figurują w rejestrach naszego wydziału...

Czyżby UFO? Zielone ludziki? Istnieje ta firma, czy to tylko któraś z form wschodnich medycyny? Ostatnie wątpliwości rozwiała krótka wizyta w Urzędzie Skarbowym w Pabianicach.

— Chyba wiem o kogo chodzi — stwierdza po chwili zastanowienia naczelnik Urzędu — Mieczysław Karaczewski. — Ale moment, poproszę kolegę z dokumentami dotyczącymi tych panów.

Po chwili w pokoju zjawia się kierownik działu podatku obrotowego i dochodowego — Mirosław Durajski.

— Tak, u nas obie firmy są odnotowane — tłumaczy — o proszę, wykupili książkę podat-

kowe, wnieśli stosowne opłaty. „Laboratorium Usług Psychotronicznych” istnieje od lutego 1984 roku, a pod koniec stycznia bieżącego roku panowie zgłosili nam „Biuro Ochrony Osobistej i Mienia”.

Wiedziony ciekawością pozwoliłem sobie wynotować zakres działalności owego Laboratorium. A więc: „Psychotronika, radiestezja, wschodnie techniki medytacyjno-koncentrujące, wschodnie techniki masażu, techniki bioenergetyczne, astrologia, bioenergoterapia, organizacja szkoleń i wykładów w zakresie psychotroniki, muzykoterapia, psychoterapia oraz inne techniki relaksacyjne np. muzyka, dyskoteka, filmy video itp.”.

Natomiast słynne biuro ochrony? Otóż panowie z „obstawy” sugerują (dosłownie) następujący zakres swych czynności, jakoby nie wkraczających w kompetencje milicji: „Ochrona dóbr osobistych i prawnych osób indywidualnych i prawnych, ochrona bezpieczeństwa i porządku na imprezach organizowanych przez osoby prywatne i instytucje, przeprowadzanie ekspertyz odnośnie zabezpieczenia i ochrony obiektów prywatnych i jednostek społecznych, zbieranie i gromadzenie technik dotyczących najnowszych osiągnięć ochrony osób i mienia...”

Na finansowym blankiecie widnieje jeszcze pokaźnych rozmiarów stempel owego Laboratorium; z adresami, telefonami, numerem bankowego konta. Cóż, porządna firma.

— Wie pan, organ podatkowy musi przyjąć wniosek w sprawie opłat od każdego, to należy do naszych obowiązków — tłumaczy mi naczelnik Mieczysław Karaczewski. — Sprawy posiadania takiego czy innego zezwolenia załatwiamy nas nie interesują...

Zatelefonowałem więc i ja pod podany przez dwie popołudniówki numer. Sympatyczna pani wytłumaczyła mi, że ona szefów całej sprawy nie zna, tak, miała wielec telefonów, zgłaszali się i potencjalni pracownicy, i potencjalni interesanci. Moja rozmówczyni okazała się marną jednego z współników — Witolda Smicha.

— Pana Grzywnę, owszem, widziałam parę razy, ale oboj z synem postawili mnie w niezręcznej sytuacji, bez uprzedzenia podając mój numer telefonu. Teraz już wszystkim telefonującym podają inny, łódzki numer, to telefon do pana Grzywny. Niech się pan z nim kontaktu-

je, ja naprawdę nie znam tej sprawy. A syna nie ma. On mieszka i pracuje w Sopocie. No, czasem wpaśnie do matki, na krótko, zwykle na święta...

Niestety, telefon Bogdana Grzywny milczał jak zaklęty. Mimo wielokrotnie ponawianych prób...

Kilka dni później, przy okazji rozmowy z zastępcą dyrektora łódzkiej Izby Skarbowej — Lechem Małagiem, nagle postanowiłem i ja zostać energicznym terapeutą albo innym wschodnim masażyście relaksacyjnym. Zaczajem dyskretnie...

— Panie dyrektorze, od paru dni czuję powołaenie, może bym jakieś wody poszukał, wahałbym pomachać, a jak się skoncentruję, to powiem co panu dolega...

— Dziękuję redaktorze, wiem i bez pańskiej pomocy. I niech się pan tak mocno nie koncentruje, bo herbatę pan rozleje...

— No, ale poważniej nieco: mógłbym zostać choćby początkującym radiestetą?

— Oczywiście.

— Ale jak to załatwić? Od czego zacząć?

— To proste. Najpierw wystąpić ze stosownym wnioskiem do właściwego organu administracji o wydanie zezwolenia. Jeśli decyzja będzie pozytywna, to oczekuje jeszcze pana wizyta w urzędzie skarbowym. No, a potem już tylko tej wody szukać...

— A bez zezwolenia można?

— Nawet w najbardziej nietypowych ustępach jakiś rodzaj potwierdzenia pańskich uprawnień musi być wydany. Choćby pan proponował wykonywanie pedicure czy ważenie przygodnych przechodniów na ulicy...

Szkoda, że nie mogę od ręki zostać radiestetą. Zresztą mam jeszcze parę lepszych psychotroniczno-sprytystyczno-enigmatycznych pomysłów. Choćby prawdę powiedziałem chyba pozostał przy znanych mi, bynajmniej nie wschodnich, technikach masażu. Póki są chętne...

Andrzej Cezary Sawczenko

wiersz agitacyjny do rozpowszechniania na wiecach, wieczorach autorskich i innych miejscach

Przed Edelem Sawczenkowi

- od mojego podpisu zależy pokój świata
 - od mojego głosu zależy szczęście riami ojców
 - od mojej wydatności zależy średnia płaca renty
 - od mojej wiary zależy świadomość
 - od mojej wiedzy zależy doraz inteligencji (też klasa sojuszników)
 - od mojego wzroku zależą perspektywy i horyzonty
 - od mojego słuchu zależy wykrywalność
 - od mojej postawy zależą niezależne samorządne
 - od mojego poczucia humoru zależy wiarygodność polityków (i dwojgłów politycznych)
- Oraz między innymi:
los kowala kującego swój los
zasady grawitacji i teoria względności
pozycja w świecie siedmiu krasnoludków
i alifii w krainie czarów (nad Wisłą)
- nie rozumiem zatem dlaczego moja wielkość zależy od
cherej wyobraźni twórcy psychoanalizy
i kilku nieszkodliwych wariacji
w pi: brao! grimo!

Modlitwa o głód

Wszystko co się dzieje w nas wielkiego Jest
konsekwencją zwykłego głodu
potrzeby zaspokojenia
ssaego żołądka i ulagodzenia skurczów
w podbrzuszu Wierzę w głód Jest
głód ojciec syn głodu Głód święty
błogosławieni nienasytzeni bo
do nich należy królestwo
nieistniejące tuż obok
Gdy lankę kęsa obieha stać się bogaty
w spełnienie sakramentu ziemi
spragniony puchną z przepicia
słów brak a pieśń boska wycicha mi zęby
Madonno syta i brzemienna w postadanie
pani karmiona moim głodem
hodująca swą trzodę na chwale i ośzo
módl się za nami
o Głód nienasycony
teraz

na wieki
Jutra

antyfona browarna o literaturze

Antyfona browarna o literaturze

Teost: „Daj mi prostokąt adzież,
daj mi wolność
Mówię co myślę...

(Shakespeare,
„Jak wam się podoba”)

- a bom taki — razowy prażny nie destylat
- pe brudach i w pole kulą-w-piot podparty
- nie mnie na salony literackie (chyba że w perfumie
- bo albo czknę albo i bzdzielko zawieszę w
- a wkolo gnojki pachnące po bożemu —
- z krepejszynu, gacie i fontaż pod grdykę
- z zowate skubańce sauj-pod-ogony Programy
- a rymem czkają a słowa kastrują aś im świece
- gromnice na chwałę ich mać samogwałtna
- A wziąć kozioł i w zady aż miaknie założnie
- a niech im tej gomoły świętego na powszedni
- niech ich pragnienie węża Ta od belzebuba
- niech im boicznie-pulmany na spanie najęte
- O tak brać nauki — od dziłki od dziłada
- a nie z dętych bryków — — — Yzmy we hble
- tam wam droga nie w wiersze Bo w tej
- Jeno tym co wiał w drodze przy ogniu
- 25 lutego 1985 roku

Dzień Kobiet

My w gospodach synkowie podkuet W
marynarze w krawacie na bieli Duszo
ot spiryus w rękę Eby lamie
delta spływ na zęza Ale baba
z jajami — — — afor koń korowal
sto lat i wieczne odpozywanie a
ówkie w łapkę Cmok niech jej się świeci A on
tak by co dzieł to chyba Anarchia

Dziś, w dobie nbeobecnosci na rynku książki o tematyce filmowej, a filmoznawczej, aprobatą musi wzbudzić inicyatywa podjęta wspólnie przez Dom Filmu i Plastyki LDK oraz Zakład Wiedzy o Filmie UE: zapoczątkowanie serii wydawniczej, sgnowanej przez LDK, pt. „Style, twórcy, tendencje”. Ma ona traktować, jak głosi nota edytorska, o programach współczesnego kina, teorii filmu, kulturze filmowej, a „inicjatorzy mają nadzieję rozszerzyć w przyszłości krąg autorów i zgodzić z założeniami cyklu prezentować teksty krytyczne, teoretyczne, eseje, oraz tłumaczenia tych materiałów, których przyswojenie uznają za ważne dla polskiej kultury filmowej”. Zamierza inicjatorzy są więc bardzo ambitne.

Na razie można przypuszczać, że seria ta będzie miała charakter analogiczny do cyklu publikacji filmoznawczych Uniwersytetu Śląskiego czy też serii „Studia Filmoznawcze” Uniwersytetu Wrocławskiego, prezentujących przede wszystkim filmoznawczą refleksję uniwersytecką. Świadczy o tym inauguracyjny tom „Szkice o filmie polskim” pod redakcją Bronisławy Stolarskiej, zawierający prace 9 autorów, z których sześcioro — to pracownicy Zakładu Wiedzy o Filmie Uniwersytetu Łódzkiego. Jak głosi nota redakcyjna, tom ów ma charakter jubileuszowego zamówienia (na 40-lecie powojennej kinematografii) i jako taki będzie dla serii niezupełnie reprezentatywny. Zobaczymy. Z zestawu tekstów, z których każdy traktuje o czymś innym — wyróżnia się jednak grupa problemów i tematów istotnych w historii powojennej kinematografii polskiej, będących niekiedy — jak „film o pracy”, film historyczny czy ewolucja dokumentu i świadomości filmowej w latach 70 — znakami szczególnymi tej kinematografii.

Otwiera tom praca Bronisławy Stolarskiej „Uwagi o rozwoju sztuki filmowej w Polsce w latach siedemdziesiątych”. Jest to jeden z najciekawszych, ale i najtrudniejszych do krytycznego podsumowania okresów w historii polskiego kina — z racji różnorodności zawartych w nim zjawisk, debutu dwóch generacji reżyserów, wreszcie jego granic czasowych, zaakcentowanych przez społeczno-polityczne przełomy. Autorce udaje się jednak dokonać syntezę tego okresu w kinie poprzez prześledzenie ewolucji świadomości ideowej i artystycznej twórców wyrażanej zarówno explicit, w wypowiedziach pozaartystycznych, jak w samych dziełach, w ewolucji form filmowych. Szczególnie cenne wydają się z dzisiejszej perspektywy uwagi autorki o „kminie moralnego niepokoju”, przyczynach jego wyczerpania i w sumie — artystycznej porażki. Synteza Stolarskiej był może zapoczątkuje podobne rzeczowe opacowania okresu, który dla powojennej kinematografii jest chyba równie ważny, jak „szkoła polska”.

Z pracą Stolarskiej koresponduje szkice Marka Przyłipiaka „Polski film dokumentalny lat siedemdziesiątych”. Autor ana-

Szkice o filmie polskim

lizuje wybrane utwory z tego okresu, wskazując na fakt co raz wyraźniejszej ewolucji filmu uznawanego tradycyjnie za „dokumentalny”. Wynika to m. in. ze wzrostu kreacyjnych ambicji realizatorów na tle upowszechnienia się form telewizyjnych, „przezroczystych” wobec przekazywanego faktu. Analizy służą Przyłipiakowi uściśleniom geneologicznym. Tak więc w obręb gatunku dokumentalnego wchodzi: reportaż, najbardziej przezroczysty, określony dyrektywami konkretny i opisowy, „czysty dokument” nastawiony mimetycznie i wykorzystujący inscenizację w minimalnym stopniu, wreszcie — dokument kreacyjny, dopuszczający możliwości języka filmu i złożoną inscenizację, ale rygorystycznie obwarowaną — nieingerowaniem w filmową rzeczywistość.

Filmem niefabularnym zajmuje się także Ewelina Nurczyńska-Fidelska. „Film oświa-

tom zaś znacznie więcej miejsca niż zagadnieniom adaptacji, poświęcając analizie aluzji, symboli, montażowych i wewnątrzobrazowych metafor, uruchamiających wielopoziomowy odbiór semantyczny, a ponadto tropieniu, na poziomie fabularnym stereotypów, współtworzonych przez powyższe figury stylistyczne. Autorki wykazują brak w filmowym „Potopie” konsekwencji zarówno na poziomie układu fabularnego, jak i na wyższym poziomie semantycznym, „gdzie brak wspólnej kategorii jednoczącej sensy nadbudowane świadczy o braku spójnej koncepcji ideologicznej i artystycznej”.

Kazimierz Sobotka zajął się natomiast gatunkiem filmowym przez nikogo nie lubianym (bo ani przez twórców, ani przez krytykę, ani tym bardziej przez widzów) — „filmem produkcyjnym”. Tylko pozornie niewidczymy i nudny to temat. Gatunek ten zawsze pozostawał w bardzo ścisłej zależności od wydarzeń politycznych i społecznych PRL. Historia „robotnika na ekranie” jest więc jak najbardziej na miejscu w „jubileuszowym” tomie. Autor w I części pracy przedstawia wkłknięte ethos robotnika w okresie „heroicznym” (i. w socrealizmie), wskazując normatywne, aprioryczne założenia ideologiczne „wzoru osobowego” i równie normatywno-aprioryczne wyznaczniki estetyczne kształtowania jego wizerunku ekranowego. Przełom to 1956 będzie dla „filmu o pracy” oznaczał nie tylko zerwanie z „wzorem osobowym”, ale i radykalną zmianę estetyki. Opis tego odejścia i prób stworzenia nowego głosu (a zarazem nowej estetyki) wypełnia II część pracy.

Pozostałe dwie prace w omawianym tomie to: „Fantastyka w «Sanatorium pod Klepsydrą» Wojciecha Haasa”, analiza strukturalna tegoż filmu na tle celnych i ciekawych uwag o fantastyczności i fantastyce w ogóle autorstwa Marka Basłogi oraz globalna analiza twórczości Tadeusza Konwickiego — literackiej i filmowej, dokonana przez Ryszarda W. Kluszczyńskiego w pracy pt. „Jedynę raju to raju utracione”. Autor odsłania organizujący świat przedstawiony utworów Konwickiego — powieści i filmów, mit raju utraconego, docierając doń drogą interpretacji hermeneutycznej w dwojakim sposób: poprzez analizę powtarzalnych struktur czasoprzestrzennych, wyznaczających ów świat, oraz drogą analizy układów fabularnych, odkrywając powtarzalność i prawidłowości w losach bohaterów. Analizę tę możemy uznać za plodny efekt fenomenologicznego traktowania utworów artystycznych, a jej zamieszczenie w niniejszym tomie — zwążywszy globalne ujęcie twórczości jednego z ważniejszych reżyserów polskich — za rzecz stosowną.

Podsumowując: książka „Szkice o filmie polskim”, to udana zapowiedź nowej serii wydawniczej.

TOMASZ KŁYS

„Szkice o filmie polskim”, LDK, Łódź 1985 seria „Style, twórcy, tendencje”.

Z półki recenzenta

KONTERFEKT Z CIENIEM

Książka ta, to właściwie eposyja, w której zostały przedstawione dzieje mieszanej polsko-rosyjskiej rodziny od czasów carskich, potera już w II Rzeczypospolitej, wreszcie pod okupacją niemiecką.

W tę historię została umiejętnie wpleciona miłoś dwu mężczyzn ogarniętych patologicznym uczuciem, które determinuje życie i działanie bohaterów powieści, choć u jej podłoża legły opiekuńczość i odpowiedzialność za innego człowieka.

Leopold Rybarski: Konterfekt z cieniem. W.B. 1985. Str. 194. Cena 90 zł.

WSPOMNIENIA SHEYBALA

„Nie było wśród moich antenatów głów koronowanych ani hetmanów, ani wojewodów. Był tylko jeden minister, jeden arcybiskup i senator” — tak rozpoczyna księgę swoich wspomnień Stanisław Sheybal, znakomity malarz i fotografik, który poświęcił spore zasługi w organizowaniu powojennego szkolnictwa plastycznego w Polsce, popularizator sztuki, pedagog i wychowawca.

Całość została bogato udokumentowana fotografiami oraz reprodukcjami.

Stanisław Sheybal: Wspomnienia 1891—1970. W.L. 1986. Str. 208. Cena 220 zł.

NIECIERPLIWOŚĆ

Jak w dwóch zdaniach opowiedzieć treść tej książki? Nie wiem, gdyż należałoby chyba zrekonstruować ją raz jeszcze, gdyż każde streszczenie będzie mylące i szczałkowe. Kto jest bohaterem? Życie, życie niosące za sobą zmieniające się zdarzenia i równie mocno tęgnące w spełnieniu jak i w domach nobliwych mieszczan. Akcja toczy się na terenie gigantycznego miasta, które jest jednocześnie światem. W zakończeniu autor mówi, że kiedy już nic nie pozostaje, nie ma przyjaciół i ideałów, pozostaje jedno: życie.

Jan Gerhard: Niecierpliwość. MON 1986. Str. 368. Cena 320 zł.

TATARZY POLSCY

Wiemy o nich tyle, że są, że mieszkają na wschodnich terenach Polski, natomiast ich historia i kultura są prawie nieznane. A przecież ich dzieje są niezwykle i datują się od czasów wielkich najazdów Mongołów na ziemie ruskie w pierwszym połowie XIII wieku, skąd wtargnęli na teren Rzeczypospolitej.

Książka, którą polecam, obejmuje dzieje Tatarów, ich służbę kolejnym królom Polski, a także przedstawia ich obrzędy, legendy i tradycje, które są żywe i kultywowane do dziś, choć minęło tyle wieków jak opuścili własną ziemię.

Piotr Borawski, Aleksander Dubliński: Tatarzy polscy. Iskry 1986. Str. 270. Cena 300 zł.

MŁODOŚĆ ARTURA RUBINSTEINA

Polskie Wydawnictwo Muzyczne wydaje serię „Pamiętniki muzyczne”. Dziś parę słów chcę poświęcić książce napisanej przez znakomitego artystę — Iodżianina z urodzenia — Artura Rubinsteina, której drugie wydanie właśnie trafiło na półki księgarskie. We wstępie autor napisał, że relacja, jaką składa przed czytelnikami jest prosta, ale wierna w szczegółach, że mówi o zmaganiach, ale i o popelnionych w życiu błędach, opowiada o przygodach, ale i o szczęściu młodych lat.

Książka ze wszech miar warta przeczytania, bowiem jej autor jeszcze za życia stał się legendą.

Artur Rubinstein: Moje młode lata. PWM 1986. Str. 372. Cena 550 zł.

PASZTET Z OJCZYZNY

Tytuł jest wiele przewrotny, ale gdy się przeczyta tę książkę, nabiera ona cech symbolicznych. Powieść „Pasztet z ojczyzny” jest relacją z wojennej tułaczki plutonu artylerii fortecznej, który to pluton w zawierusze i rozgardzaniu wzrosłowym 1939 r. usiłuje odnaleźć swoje miejsce koncentracji. Autor z niezwykłą plastycznością opowiada o dramatycznych dziejach młodych żołnierzy, którzy przetrzuwając klasę, przecież nie zalamują się, nie tracą nie ze swojej godności.

Zdzisław Nardelli: Pasztet z ojczyzny. Wyd. Śląsk 1986. Str. 264. Cena 180 zł.

E. W.

NR 22 (1470), XXIX, 31 MAJA 1986 R.

Stracone złudzenia

Proza Henryka Czarneckiego ma swoje szczególne „nacechowanie” stylistyczne i tematyczne wyróżniające ją z ogólniejszego nurtu powieści populystycznej, do której krytyka literacka — słusznie zresztą — przypisała twórczość autora „Daleko od snosy”. Tworzone jakby na peryferiach „targowiska próżności”, giełdy mój i pój literackich, na której proponuje się nowe modele narracji — nie tyle do „noszenia”, ile do prestiżowego „obnoszenia się” — utwory Czarneckiego zyskały sobie wernych odbiorców, którzy cienia przede wszystkim bezprezjonalność, autentyczność fabularnych perypetii, psychologiczną prawdopodobieństwo „konstrukcji” literackich bohaterów — sympatycznych, trochę niezgadnych, zaś „niezaradność” ta wynika często z konfrontacji wyraźnie określonych wartości etycznych sterujących ich postępowaniem a powszechnym, nieautentycznym „konsumpcyjnym” modelem zachowań i którzy (sc. odbiorcy) doceniają także czy preferują sentymentalny i trochę „nostalgiczny” ton stylizacyjny, jaki prezentują dwie ostatnio wydane książki — „Retrobuz” oraz „Powroty”,

Bohaterowie Czarneckiego są znaczeni bezrefleksyjnym „życiem w biegu” po nagrody, wyróżnienia i apanaże. Temu zgiełkowi dzisiejszości przeciwstawiają niegdysiejszą trochę postawę sentymentalną; wierą w ludzką solidarność, w działania rozwijające empatię, w konieczność mądrej rezygnacji z nadmiernych „prestiżowych” ambicji prowadzących na ogół do „wykorzeniaenia się” czy jednowymiarowości społeczeństwa współczesnych.

Powyższe stwierdzenia charakterystyka także sylwetki bohaterów „Powrotów”. Ich postawy życiowe — przede wszystkim głównego bohatera: Jerzego — nie zawsze wynikają z „wewnętrzsterowności”, są one także wynikiem socjologicznych uwarunkowań. Nauczyciel i lekarz (Jerzy i Krystyna) nie bardzo mogą dziś (i wcześniej — w „powieściowym czasie”), pozwolić sobie na wielkie marzenia. Wyjazd z Łodzi i powrót do Wymyślina — do „kraju lat dziecięcych” — jest bardziej życiową koniecznością niż metaforycznym „powrotem do źródeł”. Niepozabawione elementów humorystycznych a nawet groteskowych zawodowe konflikty bo-

hatera nie są wszakże głównym motywem powieści. Istota owych konfliktów — które zresztą „wpisują” „Powroty” w kontury gatunkowe melodramatu — polega na rozbieżności marzeń i powinności. Jerzy ucieka w miłość (wątek Doroty), ale lojalność wobec ciężarnej żony w jakiejś mierze decyduje o „ucieczce” do Wymyślina. Macierzyństwo i ojcostwo stają się tu wartościami najuchwytniejszymi, stają się celem życia i zarazem przyczyną dramatu. Krystyna poronila. Jerzy co prawda rozpoznaje wśród swoich nowych uczniów syna — jak się to zwykle mówi — ewoc młodzieńczej miłości. Opiekuje się nim, stara się mu ułatwić życie, kształtował na swój obraz, ale i to marzenie okazuje się sentymentalną utudą. Wyboru dokonuje Jacek (syn), który po śmierci matki zostaje ze swym przybranym ojcem.

Jest to zatem powieść o ludziach, którym życie odbiera marzenie, nie pozabawia ich wszakże godności. Są skazani na siebie, ale nie musi to być „fatalny krag nie do rozbicia” — może to być początek wytworzenia nowych wartości, wartości „spolegliwych”.

HENRYK PUSTKOWSKI

Henryk Czarnecki — Powroty. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986, s. 183, cena 80 zł.

Przyciasny gorset formuły

Wkraczając w swoje drugie ćwierćwiecze Kaliskie Spotkania Teatralne bodaj od zeszłego roku mają w podtytuł określenie uściślające: „Festiwal sztuki aktorskiej”. Ten wyróżnik wydaje mi się zarówno wielce zobowiązujący, jak i nieco klopotliwy, a przypadek akurat Kaliszowi, ponieważ inne festiwale, w dążeniu do najatrakcyjniejszego uprofilowania się wobec sporej konkurencji, na czas „załapały się” na wolne pole tematyczne, które dają pewność, że co roku coś tam na nich godnego uwagi będzie. A to jakiegoś nowego lub przynajmniej perfekcyjnie odczytanie polskiej klasyki, a to oryginalne zainscenizowanie sztuk radzieckich, a to eksperymentalne wypowiedzi rodzimej dramaturgii. Na takich obszarach coś przecież musi obrodzić, z czym poręcznie wybrać się na festiwal.

Zdawałoby się, że z wybitnymi rolami tak samo, bo czyż kolejne sezony teatralne w kraju nie kryją w sobie obietnic ciekawych kreacji aktorskich? Zawsze przecież wytrawni aktorzy i wschodzące talenty pochwalili się mogą pewnym kwantem znakomitych ról, i to zarówno w klasyce polskiej i zaprzyjaźnionej, jak i w sztukach najnowszych. Ufam też, że do ich macierzystych teatrów zdążają tłumy wiernych admiratorów ich sztuki aktorskiej.

Ale wszystko to podobno zawodzi, gdy teatrowi przyjdzie zadeklarować swój udział właśnie w festiwalu aktorskim, dokąd trzeba się wybrać z całym, ogromnym nieraz zespołem, z pożądanym bagażem dekoracji i kostiumów, różną też, niekiedy aparaturą, po to, żeby zbierać laury nie reżyser, nie przedstawienie jako całość, lecz (jak dobrze powiedzieli) jeden czy dwóch aktor. A więc masa ludzi i sprzętu, żeby niejako „robić na lidera”, zupełnie jak w wyścigu kolarskim, gdy drużyna słaba, a wśród niej jeden tylko z szansami. A właściwie gorzej niż w wyścigu, gdzie regulaminowo nie wyklucza się bynajmniej rywalizacji drużynowej.

Tak to nieraz, jak mniemam, może wyglądać od strony teatrów rozpatrujących sens udziału w festiwalu aktorskim (i takie nieraz chodzi o słuchy), bo co do recenzentów i jurorów, to chyba zawsze będą ciekawie przede wszystkim nieznanymi sobie utworów bądź ich nowej realizacji. Nawykli odbierają przedstawienie jako całość i gdy zauważają mimochodem ciekawszą rolę, obiecują sobie w duchu: „Tego to muszę zapamiętać”. Dopiero gdy piszą swoje recenzje lub wydają werdykt starają się nieco szczerze odsiać wrażenia i przeżycia odnoszące się do spektaklu „jako takiego”, a cały wysiłek pamięci skoncentrować na wyizolowanym myślowo fenomenie, zwanym rolą aktorską. Ale cierpią w duchu, bo chcieliby pochwalić lub nagrodzić też lub inną inscenizację, lub reżyserię, a także scenografię, i dopiero w tym kontekście i na tym tle wyróżniają aktorów.

Przyjmijmy jednak optymistyczną hipotezę, że festiwal aktorski najścislej zaciąka publicznosc, że zwłaszcza w dobie rozpowszechnionej telewizji niektórzy aktorzy teatralni mają w kraju wielotysięczne rzesze zwolenników, toteż dla festiwalowej publiczności — bez względu na formułę imprezy — stanowią oni często najsilniejszy magnes. Bo może mniej ważne dla niej jest nowe odczytanie sensu „Irydionu” od faktu, że w sztuce wystąpił Bista, nie tyle interesuje ją, o czym będą „Grzechy starości”, ile możliwość zobaczenia na żywo Kwiatkowskiej i Pokory, nie będzie dociekała dlaczego „Woyzeck” nadal taki sławny w świecie i kto zacytował „Büchner”; ekscytuje ją raczej spotkanie z Bińczykiem (żeby pozostać przy przykładach z 26 kaliskich spotkań).

W tych moich sporządzanych „na wycucie” impresjach raczej niż diagnozować chciałem jednak przedstawić trudności i opory, jakie, według moich przypuszczeń, mogą pojawiać się w urzędowym 4 punktu „Tę programowej festiwalu”, który głosi, iż „Nadrzędny idej (tj. konfrontacji aktorskiej) — przyp. mój (J. K.) podlegają kryteria związane z doborem, prezentacją oceną przedstawień biorących udział w konkursie”. Wydaje mi

się, że niekiedy rzeczywiste dobró sztuk festiwalowych podlega owej szczytnej idei, jak np. zeszłoroczna „Adrianna Lecouvreur” przywieziona do Kalisza przez Teatr im. Jaracza z Łodzi (z nagrodzonymi: w roli tytułowej: Bożeną Rogacką-Wisniewską oraz Bogusławem Sochnackim). Ta sztuka mogła być w jakimś stopniu planowana w repertuarze teatru a następnie wybrana przez gospodarzy w zgodzie z założeniami prezentacji aktorstwa.

Zazwyczaj bowiem „utrącenie” w kryteria doboru (pod kątem udziału akurat w kaliskim festiwalu) bywa jak sadzę wypadkową szeregu czynników i okoliczności. Najprawdopodobniejsze jest chyba dostrzeżenie przez teatr tych warunków ex post: „O właśnie, mamy coś takiego na składzie, z czym można by pojechać do Kalisza”, czyli rzecz odbywa się na zasadzie „Przywiozłem wam, com ta miał”. Bo przecież najpierw trzeba zadowolili własną publiczność i zapracować na frekwencję oraz kasę.

Jedynym teatrem dla którego festiwal, niezależnie od profilu, stanowi nieomal rację bytu, utrzymywania się bez specjalnych wysiłków i osiągnięć (jak za Cywińskiej) w gronie teatrów, o których mówi się przynajmniej raz do roku i do których chętniej niż do innych małopolskich teatrów garną się młodzi aktorzy, w nadziei, że na festiwalu dostrzeże ich kierownictwo któregoś z renomowanych teatrów. Toteż wierzę bez zastrzeżeń, że w Kaliszu w planach repertuarowych na rok najbliższy bierze się pod uwagę przynajmniej jedną sztukę, która zawiera teoretyczne możliwości sukcesu, choć jest to iluzoryczne, gdy brak w zespole tużów.

Otóż gospodarze dali polską prapremię sztuk Jean Anouilha: „Piekarz, piekarzowa, młynarczyk”, w reżyserii Macieja Korwina, pozyskanego z Łodzi na stanowisko kierownika artystycznego tutejszego Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego. Zamieszczaliśmy na naszych łamach krótką charakterystykę zarówno sztuki, jak i jej realizacji. Tak, to niewątpliwie komedia stwarzająca przynajmniej w dwóch męskich rolach możliwości aktorskiego popisu, wykazania się opanowaniem przeróżnych finezji komediowego (po części farsowego) warsztatu aktorskiego i wyobraźni (jak np. znacznie młodszy niż dzisiaj Czesław Wołłejko całkowicie by nas w roli meża usatysfakcjonował, a np. Janusz Widłowski w roli jego chlebodawcy. Wykonawstwo więc, jeśli miało przynieść laury, skazane było na absolutne mistrzostwo, czego trudno było oczekiwać od uzdolnionych zresztą młodych aktorów. Teraz dopiero widzę, że w istniejącej sytuacji kadrowej trzeba było raczej postawić na rolę, w których decyduje temperament i wdzięk młodoci.

Teatr „Wybrzeże” z Gdańska przyjechał do Kalisza z „Irydionem” Zygmunta Krasińskiego i z tą samą ekipą aktorską, którą oglądali niedawno lodzianie na gościnnych występach gdańszczan z „Wisłowym sadem”. Młody reżyser Krzysztof Babicki (ten od „Wisłowego sadu”) zbudował swoją wizję „Irydionu” na zasadzie silnych emocjonalnych napięć, kładąc nacisk na daremny bunt bohatera przeciwko ewangelicznej pokorze chrześcijan wobec pogańskiej tyranii, co wprawdzie wiarygodnie, z wewnętrznym żarem przekazał (nagrodzony) Jacek Miśkiewicz, mając za głównych partnerów wypracowanego Masynisa (Henryk Bista) i psychopatycznego Hellogabaia (Janusz Tyranski), może jednak na skutek dłużym, wynikłym z nadmiernej celebrycji nastrojów wymowa ideaowa sztuki, jak również jej kształt sceniczny zdawały się nie pobudzać widzów. A może to symptom zubożnienia na głębszą problematykę moralną?

Teatr Nowy z Warszawy zaprezentował komedię Bogusława Schöffera „Grzechy starości” w reż. Bohdana Cybulskiego. W zamierzeniach sztuki, skomponowanej na zasadzie „teatru wpisanego w teatr” było przedstawienie w krzywym zwierciadle pewnych aktorskich urojeń i teatralnej mifomanii, to jednak z braku koniecznego dystansu i uleganiu przez niektórych pokusie szarzy dochodził do głosu przede wszystkim humor niezamierzony, co nie przeszkadzało publiczności bawić się doskonale. Moim zdaniem obronną ręką wyszedł tylko Wojciech Pokora, w roli dyrektora teatru.

Kto widział łódzki „Zmierzch” Izaaka Babla w Teatrze Nowym, tego zapewne uderzyła większa powściągliwość środków ekspresji w Teatrze Polskim z Poznania i rezygnacja z epatowania widza nastrojem niezwykłości, mimo ukłonów dla rosyjsko-żydowskiej różnorodności. Dzięki przetrzyskiej koncepcji i rzetelności aktorstwa, przedstawienie było czyste i spójne, choć pozostało pewien niedosyt, jeśli wolno tak określić — „metafizyczny”. Jurorzy postanowili nagrodzić za rolę Benji Krzyka — Wojciecha Kalinowskiego, a Irene Maślinskiej (Nechama) przyznać nagrodę specjalną za „kultywowanie tradycji sztuki aktorskiej”.

Cóż nowego można napisać tu w Łodzi o sztuce „Ferdynand” wg powieści Gombrowicza, w inscenizacji i reżyserii Bogdana Hussakowskiego. Przedstawienie, jak żadne przedtem, by-

ło długotrwałe i gromko oklaskiwane przez dwa wieczory, choć w tzw. kuluarach słyszało się opinie (znana i w Łodzi), że przydałyby się ostrzejsze cięcia reżyserskie. Nagrodę za debiut aktorski przyznano Joannie Jankowskiej z łódzkiej PWSTVit za rolę Młodzikówny, a aktorzy zespołu kaliskiego ufundowali prywatnie nagrodę specjalną, w postaci ogromnego staromodnego kufra dla Leona Charewicza za rolę Zygmunta (też uważam że znakomita). Ponadto młodzi z kaliskiego Studium Kult-Oświat. przyznali nagrodę specjalną Grzegorzowi Heronimowskiemu.

Ogromne zaciekawienie towarzyszyło występom obu teatrów krakowskich. Najpierw scena „Miniatura” Teatru im. Słowackiego pokazała „Onych” Stanisława Ignacego Witkiewicza w reż. Rudolfa Ziolo, utwór niezwykle przewrotny i głęboko pesymistyczny, zwłaszcza w odniesieniu do ludzi na temat roli sztuk pięknych i ludzi sztuki w walce z nagą przemocą fizyczną urzędowskiej władzy, ale nie wszystkie treści docierały do widzów, stoczonej na teatralnej scenie wokół wydzielonego miejsca do gry. Wysokie uznanie jury zyskała skomplikowana i drapieżna rola Tefuana, brutalnego ideologa rewolucji w wykonaniu Janusza Rafała Nowickiego (jedna z dwu głównych nagród festiwalu), ponadto nagrody przyznano Januszowi Łagodźkiemu (Balagaszek) i dla młodego aktora Agnieszce Kowalskiej za rolę Rosiki.

Zamknął spotkanie występ „Starego Teatru im. Modrzezewskiej” z Krakowa, „Woyzeckiem” Georga Büchnera, przedwcześnie zmarłego, wszechstronnego geniusza epoki romantycznej. Było to chyba nie tylko w moim odczuciu, najznakomitsze przedstawienie festiwalu, zwarte i pełne napięcia, dynamiczne i malownicze teatralnie, na granicy dopuszczalnego rozpasania. Z tymi ludycznymi nastrojami przejmującym kontrastował tragizm ponurych uwikłań prostego człowieka, usiłującego pojąć bieg i sens wydarzeń, zakomunikować światu swoje intuicyjne rozumienie sprawiedliwości. Panujący porządek, czerpiący uzasadnienie z „nowoczesnej” wiedzy o prawach natury okazał się silniejszy. Nagrodę główną otrzymał Edward Zentara w roli tytułowej, przyznano też nagrodę aktorską Jerzemu Radziwiłowiczowi za rolę Lekarza widzącego w jednostce ludzkiej jedynie obiekt naukowych eksperymentów. Nagrodę specjalną „za twórczą inspirację zespołu aktorskiego” wręczono reżyserowi; przedstawienia Tomaszowi Bradeckiemu, scenografce Urszuli Kenar i kompozytorowi Stanisławowi Radwanowi.

Jak z powyższego sprawozdania wynika, niepełna przystosowalność przyjętej formuły do potrzeb i oczekiwań jurorów skłoniła organizatorów do pewnych odstępstw od pierwotnego systemu i zakresu honorowania osiągnięć w postaci nagrody specjalnej, która przez wyróżnienie nazwisk realizatorów wyrażała uznanie dla ogólnego kształtu przedstawienia. Być może dalsze rozluźnienie przyciasnego gorsetu regulaminowego dałoby zadośćuczynienie wszystkim, których twórczy trud waży na ostatecznym wyrazie artystycznym, w tym także na osiągnięciu aktorskim, które w pełnospektaklowym, rozbudowanym dramacie wieloobsadowym nie funkcjonuje w izolacji.

Co innego monodramy, które jak zwykle wypełniały program imprez tzw. towarzyszących. Te spektakle „stoją” niepodzielnie na aktorze, a jednak ich bohaterowie nie mogą, i słusznie, być na festiwalach nagradzani w tej samej konkurencji, co wykonawcy sztuk festiwalowych. Mają przecież możliwości wszechstronniejszego i pełniejszego pokazania swoich umiejętności. W tym roku imprezę ożybiły m.in. występy Zbigniewa Zapasiwicza wraz z Ewą Dąkowską w „Panie Cogito” wg Herberta, Jerzy Stuhr w „Kontrabasistach”, Sukkiskinda, Teresa Sawicka w „Marii” Iredyńskiego, Andrzej (nie Mikolaj) Grabowski w „Audienca V” Schöffera i Kazimiera Starzycka-Kubalska wraz z Jerzym Borkiem w „Starej aktorce w roli żony Dostojewskiego” Edwarda Radzińskiego.

Mówi się w Kaliszu, że w tym roku zainteresowanie Spotkaniem jakby osłabło, skupiło się dość jednostronnie na teatrach o wysokiej w kraju renomie. Pociągająco jest dość znaczny udział młodego pokolenia widzów, zapowiadającego nieuchronną a pożądaną zmianę warty. Spotkanie wrosło już w pejzaż tego urokliwego miasta o bodaj najpiękniej usytuowanym i jednym z piękniejszych architektonicznie budynków teatralnych w kraju. Myślę, że choćby z tego powodu ta coroczna wyprawa do Kalisza witana jest przez jej uczestników co najmniej bez przykrości.

W każdym razie Kalisz hołubi ten swój festiwal przy zrozumieniu i poparciu miejscowych władz i drzy w głębi serca o jego dalszą, nieprzerwaną egzystencję. Ufam jednak, że nie tej imprezie nie zagrozi w naszym poliocentrycznym modelu kulturalnym, uwzględniającym nie tylko największe ośrodki.

JERZY KWIECINSKI

Pięć książek na 25-lecie

Z okazji swojego 25-lecia Klub Młodych Pisarzy WIADUKT zaufundował swoim niektórym członkom ni mniej, ni więcej tylko książkę poetycką. Każdy młody twórca tylko o tym mógł marzyć. Tak oto, jak pisał na wstępie redaktor całego przedsięwzięcia Kazimierz Arendt, dzięki wyjątkowej operatywności drukarzy udało się to tomiki wydać jak na nasze czasy — błyskawicznie. Dla większości młodych autorów jest to debiut książkowy. Ale — czy aż tak młodych? Autorzy opublikowanych tomików to ludzie w wieku od 20 do... 40 lat. A więc nie wiek jest tutaj jakimś wyznacznikiem, może więc ich artystyczna wartość?

Należałoby mieć zaufanie do wyboru akurat tych pozycji spośród członków WIADUKTU, gdyż nad całością imprezy czuwała rada redakcyjna składająca się z animatorów i krytyków wszystkim dobrze znanych. W tym momencie nachodził mnie tylko smutna refleksja — czy te osoby (nie kwestionując ich kompetencji i zaangażowania) „zmonopolizowały” młodoliteracki ruch w Łodzi? Albo może inaczej — czy oprócz Henryka Pustkowskiego i Jerzego Jarmołowskiego dokonania młodych, często nieprofesjonalnych twórców nikogo nie obchodzi? Wydane książeczki (w nakładzie ok. 500 egz.) nie prezentują jakiejś jednolitej stylistyki, nie na pierwszy rzut oka, pomijając oczywistą (?) przynależność klubową, tych poetów nie łączy. Spróbujmy jednak poszukać pewnych wspólności, które mogą się złożyć na, często nieuświadomianą „program” ugrupowania.

Pierwszą książkę, którą biorę do ręki (opierając się, na jak zwykle niezawodnej intuicji) jest RAPULARZ Marka Bazylczuka. Tomik jak sama nazwa wskazuje jest dosłownym znaczeniu tytułu — brulionem, notatnikiem. Te zapiski „na gorąco” wyznaczone są superdokładnym chronometrem i czas powstania każdego wiersza jest odnotowany z dokładnością „co do sekundy”. Dziennik ten pisany jest przez człowieka zniewolonego chorobą i na swój sposób walczącego z nią. CHOROBA jest tu kategorią wszechobecną, determinującą życie poety, cho-

roba to samotność i wyobcowanie. („Zawsze zostanie przy mnie choroba”, „Kiedy zaczęła się choroba”). Może to dzięki niej dochodzi do swojej sublimacji własnego „ja” i nadwrażliwości cechującej autora RAPULARZA. Z drobiazgową skrupulatnością Bazylczuk penetruje swoją „wyjątkową” osobowość i „brudną odrapaną rzeczywistość”, w której człowiek to tylko niedoskonały rekwizyt — „Jestem brudniejszy, bardziej odrapany” — a sens jego istnienia to tylko uluda. Ten z pozoru programowy turpizm, nie jest wynikiem jakiejś spekulacji (czy nawet mody), a brzydota jest jednym z elementów strefy doznań autora. Z wierszy emanuje bezradność, bo nawet podmiot liryczny zostaje zdegradowany do pozycji przedmiotu marzeń — „Głupio sentymentalny ogród Ciągło o mnie śni”. W tym kontekście, twórczość ma sens o tyle, o ile stanowi „autoterapię” twórcy. Kiedy Bazylczuk sięga po sferę, której oświadczenia nie doznał (i która nie oczyszcza), brzmie to fałszywie i nieporadnie. Tak jak w historyzoficznym utworze SOTERIOLOG, gdzie w inwokacji do Świętego Pawła poeta zawiera swoje przemyslenia na temat chrześcijaństwa, wiary... Trudno w takiej sytuacji nie popaść w tautologię.

Podobne lęki i obsesje znajdują w tomiku Alicji Biedy-Wisniewskiej (TY JESTES), z tym, że ich pochodzenie jest wynikiem specyficznej pozycji jednostki nadwrażliwej... Jaka jest, albo jaka stara się nam przedstawić młoda autorka. Bo na te wszystkie „dewiacje psychiczne”, które serwuje nam poetka można spojrzeć z „przymrużeniem oka” i sama Wisniewska próbuje się do nich dystansować. Oryginalny efekt poetycki osiąga ona najczęściej poprzez automatyczne zapisywanie asocjacji myślowych, a takie przynajmniej sprawia to wrażenie. W dobie wszechpanującego ducha konceptualizmu — rzecz interesująca. Ale technika, podobna trochę do strumienia świadomości często wyprzedza ich twórcę na „manowce” i czytając te wiersze odczuwam wątpliwość — czy to wizjonerstwo, czy obłąd? Obłąd czy poza? Może tylko pewna umowność, którą sugeruje autorka wprowadzając do swoich utworów świat dziecięcej baśni, z postaciami doskonale nam już zna-

nyymi. Ale choć zestawienie wszystkich tych Callineczek, książeń i elfów z np. gwałtem, macicą czy impotencją uwyppukla brutalność rzeczywistości, do jakiejś głębszej refleksji już nie prowadzi. Załowac trzeba, że poezja kobieca ostatnio dość często „paraduje w męskich spodniach”, brak tym wierszom liryzmu i właściwego dla tej „plici” — ciepła. Cóż, kobiety się emancypują.

Kiedy przeczytałem tytuł następnego tomiku (Krzysztof Paweł Nowak TAKA PSYCHIKA JAK SER SZWAJCARSKI), spytałem się przezrazony — czyby WIADUKT był chory? Dzięki Bogu, to tylko pozory. Jeżeli można mówić o jakiejś „obsesji” autora, to może nią być tylko język, tak niedoskonały, że konieczne są ciągle modyfikacje żeby coś „odkrywczego” powiedzieć. „Te słowa nie spełnia swojego zadania” — wychodząc od tej refleksji Nowak rozpoczyna eksperyment językowy, a nad poetą unosi się duch Pana Mirona... Unosi się i... płacze. Ten szlachetny w założeniu eksperyment do niczego nie doprowadza, jest celem samym w sobie. Pod piaskiżyciem nowatorstwa często jest ukryty banal. Poeta wychodząc od pewnej tezy (tak konstruuje swoje utwory) obraca ją w nonsens. Ten sylogizm władza poetycka (a może logika?) wielu wierszy Nowaka i jest obok dialogu wewnętrznego („może by więc... podsumować, a sumuj sobie, sumuj”) i świadomego „poszpania” narracji najczęściej stosowanym chwytym. Ale może w tym „bełkocie” jest metoda? Odpowiedź nasuwa się, i to w tradycyjnej formie — metoda, ale niemiłoda.

Zdrowy dystans do świata znajdują w wierszach Zdzisława Bogusławicza w tomiku PAJĘCZYNY I OGNISKA. Jeżeli pojawia się tu np. schizofrenia, to tylko jako jeden z równorzędnych elementów kultury. Już nie jako jednostka chorobowa, ale pojęcie ze sfery zjawisk artystycznych, funkcjonujące często już jako liczman. Poeta manifestuje swoją inność, ale ta odmiennosc nie wynika z dezintegracji, ale jest świadomym (?) wyborem pewnej postawy. W przypadku Bogusławicza to etos artysty jest kategorią określającą rodzaj zachowań społecznych (lub aspołecznych). A wiadomo — artysta, to bardzo podlegająca, ale niebezpieczna profesja. „Kawior przepijając bimbrem z butelki od mleka” — czy tak zachowuje się normalny (czytaj — przeciętny) obywatel. Bo kiedy poeta pisze: „Kiedy wypijam mzustardówkę czystej, przegrzanej cebula” — mieści się to w ogólnej świadomości, nie wszystkie więc (nawet fikcyjne) poczynania artysty muszą bulwersować. Zresztą artysta ma podstawowe prawo do „krzyku i milczenia” i ta alternatywa stanowi esencję wolności. Bogusławicz stwarza-

jąc komiczne sytuacje dokonuje na własny użytek przewartościowań kulturowych (np. KONIEC SWIATA). Ale ta postawa ma wiele wspólnego z donkiszoterią skoro ostrze poety (satyryka?) trafia w próżnię — „Głupcy, gotowi byli mnie zabić, ale odeszli mówiąc, nieszkodliwy don kichot, psychicznie chory (...).

Podobną strategię (strategię ironisty) wybrał Andrzej Cezary Sawcenko i jest to poezja, spośród tu omówionych, najbardziej wyrazista. W tomiku A MNIE TANGO znajdujemy podobne motywy — mity i troje kulturowe, w które uwikłany jest poeta. Ludym (a nawet odpuszczość), piebelskość, rubaszność — oto typowe dla Sawczeni składniki tego dialogu z kulturą (tradycją) polską i obcą. Na użytek tej wcale nie blanej polemiki — choć często komicznie realizowanej — autor stworzył swój język przekazu, trochę modyfikowany w zakresie składni i nasycony nieco archaicznym słownictwem. Jest to język zindywidualizowany, można by rzec — metafizyczny, kolorowy i „pachnący”. Sawcenko wychodząc od tezy, że nieprzystosowanie jest nieodzownym składnikiem życia artysty, nadaje tej „inności” wyższy wymiar. — „Może w ten sposób społeczeństwo narzeczcie nauczy się liczyć... z poetami”. Jednak końcowa refleksja brzmie dość smutno: Poeta nawet nie może walczyć z wiatrakami, jego walka trwa na kartce papieru, walczy słowami; i ze słowami, które nie mają nic wspólnego z ich genealoznymi desygnatami — „Tyłko wędrownemu z La Manchy do słowa — — — wiatrak jestem”.

Pora na jakąś syntetyczną konkluzję, tak jak obiecywałem na wstępie. Jednak przyznaję, że deklaracja moja była na wyrost, bo doszukiwanie się pewnych wspólności, w tym co wspólne być nie miało jest zajęciem pozbawionym sensu. Omówione przeze mnie publikacje są faktem tylko literackim i nie mają nic wspólnego z wystąpieniem pokoleniowym, czy określonej orientacji... Czy to źle, czy dobrze? — trudno na razie odpowiedzieć. Po prostu dostaliśmy 5 różnorodnych książek, które i tak największą radość, jak to zwykle bywa, sprawują ich autorom.

JACEK MACIASZEK

Marek Bazylczuk RAPULARZ. Alicja Bieda-Wisniewska TY JESTES. Krzysztof Paweł Nowak TAKA PSYCHIKA JAK SER SZWAJCARSKI. Zdzisław Bogusławicz PAJĘCZYNY I OGNISKA. Andrzej Cezary Sawcenko A MNIE TANGO — „BIBLIOTEKA WIADUKT” wszystkie nakładem Centrum Kultury Młodych pod red. Kazimiera Arendta, Łódź 1985.

Wtrzymać ten czas. Nie mogę wyjść. Nie mogę też wyjść za wcześnie. Dopiero co usiadłem. Przynajmniej godzinę. Myślę, że nawet pięćdziesiąt minut. Tych dziesięciu minut nie powinien zauważyć, trzeba by niezwykle spostrzegawczość. Tutaj nikt nie jest do tego uprawniony. Tak mi się wydaje, choć nie mam pewności. Tamta godzina zleciała mi nadzwyczajnie, krzesło było wygodne, miałem o co oprzeć rękę (metalowy stolik okryty białym ręcznikiem). Przy bocznej ścianie były dwa ruchome wiszaki. Przede mną wisiała moja kurtka i czapka. Nie wychylając się specjalnie, mogłem sięgnąć ręką do kieszeni. Kładłem nogę na nogę, oglądając swoje buty. Kiedy tam wsiadłem, przy stoliku siedział mężczyzna w skórzanej płaszczu. Usiadłszy z drugiej strony, zauważyłem, iż jego obecność nie jest trytująca. Miał zamknięte oczy i chciał spać. Była tam cisza i sennie światło. Rząd krzesel prawie wyludniony. Ktoś, kto przychodził z ulicy, bezwiednie ulegał obojętności każdego przedmiotu, jaki się tam znajdował. O to mi chodziło: nigdzie nie może być lepiej, niż tam, gdzie jest nic. Żeby powiedzieć to dokładnie: nie było tam pod postacią obojętności. Obojętność obalała argumenty przedmiotów i ludzi, niszczyła barwy, sprowadzając je do kreacji cienia, urywała zdania, ukazując absurdalność logiki. W końcu ci, którzy próbowali mówić, wydawali z siebie bełkot. Kiedy zauważyli to, milkli. Tak było ze wszystkimi. Powiadam, że wszystkim, którzy zaczęli mówić, większość bowiem od razu nie puszczala parę z ust. Tak więc, wciśnięwszy się w swoje krzesło, doznałem zadowolenia. Po jakimś czasie mój sąsiad został zagadnięty przez kobietę, która pojawiła się tam z ulicy. Dowiedziałem się, iż jest to jego żona. Kiedy oddalała się od nas, aby zniknąć w któryśś z bocznych drzwi zauważyłem, że miała krótkie nogi i wysoki tułów. Po chwili wróciła i namówiła tamtego gościa, żeby z nią wyszedł. — Szkoda — pomyślałem. Miałem wrażenie, że on myślał podobnie. No tak, ale to było moje wrażenie. Może coś z tego było w nim. Nie wiem. A może wiem. Coś tam wiem. Gdybym nie wiedział, nie miałbym tamtego wrażenia. Ależ co za bzdurę wypowiadał! Najpierw było wrażenie! Kobieta powiedziała do swojego męża: — „Ty załatwisz pieniądze, a ja pojedę”. Więcej nie pamiętam. Chcieli coś kupić na tamten wieczór i na resztę, ale bardziej na tamten, ponieważ jeżeliby nie mogli mieć tego od razu (był to zdaje się hotel, jednakże głowy nie dam), mogą to stracić. Tysiące innych, cychających na hotel. Wieczór, którego niedza stanie się wyrazistą bez fotela. Cóż, nie idzie tu o fotel. Nikt nie zastanawia się nad zdobyczą, że jest i nic poza tym. Nie wiem, o co chodzi, ale to, o co chodzi nie jest znane. Siedziałem w końcu sam, z latwością, noga na nodze, leciwiej prawej ręki i dłoń na stoliku, głowa oparta o ścianę, lewa ręka w kieszeni, tułów w kształcie cyfry cztery. Mogłem drzemać. Muszę być ścisły: wyłączałem się, a więc zmikałem dla jakiegoś ostatniego ze mnie, tego, który miał mokro w lewym buciu. Była w nim dziura, przez którą dostrzegalem białą skarpetkę. Wtykałem tam palec, dogłębnie zaskoczony, tak, jakbym dotykał własnego białego serca. Wstrząsało mną uczucie najwyższej odrady, ale jaka ciekawość! Jaka ciekawość! Jednocześnie byłem świadkiem, że wskazujący palec rączy się sam, bez mnie. Jak zahipnotyzowany płynął do kawalka białej światającej w podszewce, wywołując moje zdumienie i coś w rodzaju niezdeterminowanego protestu. Przekładałem nogę na nogę, usiłując zmusić się do zbagatelizowania sprawy i do pewnego stopnia to mi się udawało. Wystarczyło poprowadzić wzrok od palca w górę, aby dostarczyć niezbitego argumentu całosci, którą rozpycha się powietrze. Ponadto, na zbyciu zostaje jeszcze doryk, ale on jest dla ślepców, ich wiecznie głodnej wyobraźni. Tak czy inaczej, poskramianie palca prowadziło do integracji tej kupy mięsa i kości (wywindowałem się na wysokość metra siedemdziesięciu pięciu centymetrów) i, jak mówiłem, pozbawiało się balastu myślenia. Nie było to łatwe. Z pewnością też nigdy mi się nie udało. Niemożliwe przecie! Zawsze po jakimś rodzinnym obrazku pojawiała się coś innego. Starałem się to wszystko połączyć: mokry but z dziurą w podszewce z trzykrotną operacją przybijania blaszek z kupnem nowych butów ze spacerami po cementach z masą innych rzeczy, aby wreszcie wepchnąć się we własną skórę i zapomnieć nawet o tym. Daremnie! Daremnie! Ściana, która miała być przed nosem, wleciała parę drzwi, parę nieznacznych drzwi. Wiedziałem, że za jednymi z nich siedzi stara kobieta podobna do suchego strąka fasoli. Mogło nie być tam nikogo więcej. Widać starą to gniebiło, ponieważ co jakiś czas w ścianie robiła się szpara, dostrzegalem jak cienki tułów wychylony niemal pod kątem prostym zakreślał sto osiemdziesiąt stopni, unikając dostrzeżenia mojej osoby i zniknął bez szmeru razem ze szparą w ścianie. Otóż to! Zadane z nas nie mogło zapomnieć o obecności drugiego. Stara wtykała swój nos, aby sprawdzić, czy jeszcze tam jestem. Ja natomiast oglądałem jej wyczyny podobne do kukulki wyskakującej z zegara. Moment ciszy, który potem następował, ostrzył mój słuch gotowy reagować na odgłos kroków na schodach. Jednakże nikt nie nadchodził. Mogłem być pewien, że mam co najmniej pół godziny. Na dworze deszcz robił swoje. Zmierzając tam, kręciłem skomplikowaną linię, aby nie wdepnąć w najmniejszą kałużę. Ponadto starałem się chodzić na pięcie lewej nogi, unosząc czubek buta do góry. Lawirowałem w ten sposób w tłumie, który wlaźł w deszcz z nieświadomością, z jaką wdeptuje się w krowie łajno, patrząc pod nogi, wyłacznie pod nogi. Pomimo tak wyrachowanej ostrożności, but nabrał wody. Oto dlaczego zegluga stierana łajbą jest niebezpieczna! Myślałem o uszczelnieniu go plastrem, a następnie zasmołowaniu, jednakże zupełnie nie wiedziałem, skąd wytrzasnąć trochę smoły. Gdyby było lato, sprawa byłaby załatwiona. W upały zawsze znajdzie się trochę asfaltu na podszewkach. Przechodziłem przez ulicę w najbardziej osłoneczonych miejscach, pocierając o jezdnię czubkiem lewego buta. Później sadziłem tyłek na ławce i oglądał efekty. Mogłbym powtarzać ten zabieg niejednemu raz. Myślę, że dalooby to niezłe rezultaty. Miałem także inne gotowe plany, powiedzmy, że kilka, mogłoby ich być więcej, gdyby przybliżyły mi same deszcze, jednakże miała być zima i trudno byłoby przeleżeć ją w jakimś wyrku. Pamiętam, że nie przyszło mi do głowy zanosić ich do podzelowania. Być może były za bardzo zjechane. Ależ zbytecznie używam tu liczby mnogiej! Chodziło o lewy but. W prawym nie było dziury, natomiast na spodzie pojawiła się ciemna plama, z dnia na dzień powiększająca swoją objętość. Z czasem przestałem się nią przejmować, zwłaszcza, kiedy spostrzegłem, że podobnie dzieje się na lewym buciu. Nie myślałem o trzech dziurach, takiego zdania jestem teraz, ale mogłem spodziewać się tego. Ciemna warstwa podobna była do gumy, mówiąc mi czym wypycha się buty. Nabrałem natomiast do niej zaufania, kiedy przekonałem się, że dziury długo jeszcze się nie pojawiają. Wyszłoby na to, że jednak myślałem, lecz nie myślałem nawet wycierając, uwagę moją pochłoniął bowiem czubek lewego buta, przez który wielki palec dotykał ziemi, co niekiedy dalekie było od czegoś nieprzyjemnego. Chcę powiedzieć, że nie znajdowałem w sobie zadowolenia w chodzeniu z palcem wyłaczającym z buta, ale przecie szukałem czegoś odpowiednio przyjemnego. W negacji jest część aprobaty. Jeśli znalazłbym to, co jest nieznanne, nie byłoby z tym kłopotu. Latem bliski byłbym kupna nowych butów. Postanowiłem, że będą to dobre buty, przeczynając na nie większą sumę, prawdę mówiąc, całą gotówkę, jaką rozporządzałem. Dokładnie nie wiem, ile było tamtej forsy. Fakt, że rozpięta się bez śladu. Zaraz po tym wszystkim usiłowałem jej się doliczyć, robiłem w myślach rachunki, jednakże nie mogłem doliczyć się wszystkiego. Była to forsa, którą zarobiłem, rozwalając stary cementarny parkan. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek otrzymał od kogoś pieniądze. Zawsze myślałem sam coś kombinować. Dwa lata temu sprzedawałem militaria, handlarzom i kolekcjonerom. Trafiało się także coś innego, ale na militariach za-

robiłem najwięcej. Właściwie powinienem powiedzieć, że straciłem, ponieważ nim zacząłem się w tym trochę orientować, wykładowi mnie na sporą sumę. Traktując każdego z nich jako mojego dłużnika, wyobrażałem sobie oczywiście, że piorąc ich po gębach. Z największą przyjemnością! Był wśród nich znany muzyk jazzowy, który zrobił niezły interes kupując polską szablę Borowskiego za połowę ceny. Tamtego lata nie miałem ochoty na handel i przesiadywałem w domu, wychodząc czasami na miasto. Wzbudzałem niechęć mojej rodziny, możliwe, że nie całkiem do mojej osoby, lecz do marnotrawionego przez mnie czasu, w którym tkwiłem bez pożytku. Ciele dnie spędzałem na leżeniu w ogrodzie i było to jedno z niewielu miejsc, których nie chciałbym opuścić. Kiedy zbliżał się wieczór, brałem pierd i wyściełałem nim leżak, albo kładłem na siebie bluzę wojskową. Była koloru martwych zielonych liści, a na podszewce znajdowała się rdzawa plama przypominająca krew. Chętnie też rozpuszczałem informacje, że przyjechało w niej dwóch Wietnamczyków. Nie była specjalnie ciepła, ale przechodziłem w niej zimę, w gruncie rzeczy bowiem, zima nie jest najgorszą porą roku, wymaga jedynie zmiany trybu życia. Pewien mój znajomy posiadający wielki i w złym stanie dom, opuścił wszystkie pokoje, w jednym tylko gromadząc posiadane przez siebie sprzęty: węgiel, ziemniaki, wedki. Ciążyło mu jedynie chodzenie po wodę do studni. Świadczyłem mu te niewielkie przysługi, zaglądając do niego parę razy, to znaczy wtedy, gdy miałem wątpliwości, czy jeszcze żyje. Zastawiałem go leżącemu pod sterą ubrań. Wymyślał na starość i kaszel, który go męczył. Pomimo moich usiłowań, rozmowa z nim dotyczyła zwykle dobrobytu w okresie międzywojennym. Z czasem przywykłem do tego i nie zależało mi na zmianie tematu.

WŁADYSŁAW MAŁKA

Niemożliwe

Człowiek ten w niezwykle sposób postąpił z całą swoją posiadłością, do której obok willi zaliczał się również niewielki sad. Całość położona była na skraju wzniesienia, dość stromo opadającego ku rzec. Ulica, która wiodła w kierunku miasta, ciągnęła się stromo brzeg rzeki na pół. Po jej prawej stronie stał dom mojego znajomego. W ten sposób z dwóch stron dom zabezpieczony był wzniesieniem. Przez długi czas facet ten okopywał szpadłem wzdłuż, tworząc w żółtej glinie dwa poziomy warownych ścian. Z trzeciej strony wykopał głęboki rów, natomiast czwartą pozostawił jak była, bez ogrodzenia. Boczna ulica, do której przylegała czwarta strona posiadłości, znajdowała się jakiś metr poniżej poziomu ogrodu. Sasiadowała ona również z długim parkanem, za którym ciągnęły się koszary. Latem była to promenada miejscowych kurw. Żołnierze chodzili z nimi nad rzekę albo do lasu, który stamtąd było widać. Rzeką płynął niekiedy kondon, który dzieciaki brały za balon, dmuchając w niego powietrze. Dom mojego znajomego miał wygląd fortecy. Była to parterowa obszerna willa z osłoniętym tarasem, wychodzącym na drogę, w otoczeniu wysokich świerków. Z góry rozciągała się obszerna panorama przedmieścia, toteż latem mój znajomy wygrzewał się na słońcu przed domem, widząc w ten sposób wiele. Jednakże zimą nie ruszał się z zamieszkałego pokoju, trawiąc obrazki, które oglądał wcześniej. Uważałem jego sposób życia za wstydliwy. Co do mnie, robiłem wszystko, żeby znaleźć w tamtym mieście jakąś nie uczeszaną ławkę. Chodziłem w tym celu do parku, pokonując w jedną stronę ponad dwa kilometry. Moim zdaniem, był on niedostatecznie rozległy, jaśkółki był na tyle zamieniany, że kryło to inne braki. Przychodziło tam wielu mężczyzn czyścić piówo i tanie waki. Rozsiadali się grupkami na trawie albo zalewiali tę sprawę stojąc pod drzewami. Przenosili też ławki w ustronniejsze miejsca. Z tego powodu niewiele ławek można było znaleźć na zwykłych miejscach, gdzie ustawiało się przedsiębiorstwo komunalne, większość bowiem tkwiła w krzakach. Wokół nich była wydeptana trawa i wielka ilość puszek po konserwach. W soboty i w dni wypłat parki załaduniali się grupkami mężczyzn, co przywodziło mi na myśl ogród Epikura. Ogród (Nieprawda?) miał swoją obsługę w osobie gościa, który zbierał rzucane w trawę butelki, serwując pijącym szklanki na muszardzie. W jednej z butelek miał także wodę do obmywania szklanek. Zbierających butelki kręciło się wielu, jednakże nie byli oni zawodowcami na taką skalę, co tamten. Z czasem zyskał poważną i stałą konkurencję świadcząca podobne usługi w osobie drugiego gościa. Dla mnie różnił się tym, iż jeden był wyższy od drugiego. Przesiadywałem na swojej ławce dopóki kogoś nie przywiał. Niekiedy czekałem trochę dłużej, licząc, że znudzi się komuś takim moją obecność, ale doprawdy, rzadkość takiego obrotu sprawy zmuszała mnie do unikania parku o wiele częściej, niżbym tego pragnął. Parę zbytecznych lat temu ułożyłem tam wiersz. Nie był zbytnio udany, ale nie był też tak nieudany, żeby o tym nie wspomnieć. Zupelnie go nie pamiętam. Miał dwie zwrotki. Był to jedyny wiersz, jaki dotąd ułożyłem. Rok temu udało mi się go przypomnieć. Powtarzałem kilkakrotnie obydwie zwrotki, ćwicząc pamięć. Jeśli wziąć pod uwagę, że pamiętałem to, co zdążyłem już kiedyś zapomnieć, zapewne przypomniał sobie to samo, czego nie pamiętam teraz. Nie zależy mi na tym, żeby pamiętać ten wiersz codziennie, powiedzmy, że chciałbym przypomnieć go sobie raz na rok. Nosilem wówczas pod szyją efektywną czarną chustkę z jedwabiu. Zostawiłem ją któregoś lata na ławce. W późniejszym czasie odwiedziłem niejednemu zakład pogrzebowy, gdzie oferowano mi jedynie chutki szfonowe, zbytnio przejrzyste. Zaniechałem, skutkiem tego, chodzenie w chustce, a rezygnacja z motych przyzywających jest zawsze dla mnie uczciwością. Myślałem o kupnie czerwonej chustki. Chodziło mi, naturalnie, o pewną odmianę czerwieni. W tym przypadku było to znacznie później. Sądzę, że minęło kilka lat, nim zacząłem nosić się z tą myślą. Nie mogę powiązać w czasie tego faktu. Kiedy opuszczałem dom od dawna już nie nosilem czarnej jedwabnej chustki, ale nie przagnąłem jeszcze zamienić jej na czerwoną. Dom opuściłem entery lata temu, na początku jesieni. Mogłbym powiedzieć, iż zostałem od tego zmuszony, gdyby zdarzyło się to nieco wcześniej. W ten sposób mój stary mą zdumiewające szczęście. Kiedy tu przyjechałem, przypała mi pokój z widokiem na olbrzymie topole, które kierowały mój wzrok na zmieniające się niebo, na ptaki walczące z wiatrem. Leżąc na łóżku, oglądałem ruchliwość liści i kołyszące drzew. Wsłuchiwałem się w odgłosy wiatru i czułem go na twarzy. Spędzałem tak całe dnie. Była to pora silnych wiatrów, które gęły drzewa i pędziły chmury nad ziemią. Wychodziłem na ulicę, aby poznać siłę wiatru. Opuzczałem pokój o coraz późniejszej porze, przedko też robiło się ciemno. Odwiedzałem najczęściej okolice cementarni. Było ich kilka, położonych obok siebie. Można powiedzieć, iż był to cały kompleks cementarni, jeśli to kogoś nie raz. Chodziłem wzdłuż murów, nie interesowały mnie bowiem ich wnętrza z nagrobkami i mało wyszukany epitaflami. Któregoś wieczoru spadł śnieg. Okrążając mury, zastałem otwartą furtkę. Na przysypanym śniegiem ewangelickim cementarni pozostawiłem ślady stóp i widok ten na długo utkwił mi w pamięci. Otóż, nie powracałbym później do niedysyjszego domu, gdybym nie spodziewał się zastać wymarłego miasta, przysypanego śniegiem. Ale tamto miasto trwało w zwykłej swojej agonii, na krawędzi życia,

która przebiegała przez nie jak równoleżnik. Nie notowano tam żadnej zbrodni, żadnej historii, która by ożywiła krew w ludziach, otworzyła im oczy i zatrwożyła serca. Ludzie ci dawno postradali swoją dumę zdani na taskę miłości i jego słabego tętna. Miałoby się ochotę podać mu nabity rewolwer w jeden z jego gasnących i ciągle odradzających się dni. Ostatni raz płakałem w tamtych miejscach. Później wybaczyłem mi wszystko. Mówię o ście, wybaczyłem samemu sobie. Oto jeszcze jedna przyczyna, dla której gotów byłem urzęd tamto miasto w wiek po jego śmierci. Mogłbym przejść po wyciszonych jak kościół ulicach, dotykając spojrzeniem murów i zapoznanej niedzy. Wśródby tam, jak w tamtą noc rozjaśnioną bielą śniegu. Mogłbym wyjść, nie zabierając ze sobą żadnego obrazu, jak w końcu wyjdę stąd. Niedługo powinienem poczuć ucisk w spodniach. Wstań i przejdź tak, jakbym miał zamiar przegryźć coś w barze na dole. Tak powinno to wyglądać, wtedy nikomu nie zaświta, że wychodzę stąd na zawsze. Tamten lokal musiałem opuścić, ponieważ w końcu weszła tam kobieta. Najpierw usłyszałem stukot obcasów na drewnianych schodach. Istniał on jeszcze we mnie, toteż co jakiś czas nadstawiałem uszu, gotowy reagować na jego zbędny odgłos. Zdaje się, że za którąś ze ścian, a były to wyjątkowo grube ściany, ktoś ćwiczył na instrumentie. Był to chyba akordeon. Kobieta otrząsała parasolkę z resztek wody, uśmiechając się tak, że mogłem zobaczyć większość jej zębów. Zdażyła przeprosić mnie za spóźnienie, po czym weszła w te same drzwi, za którymi ukrywała się stara. Wtedy zaczął wibrować we mnie jej zachrypnięty, erotyczny głos. Wymyślał ze mnie wszystko, potęgając się z sekundy na sekundę. Rzuciłem okiem na wiszącą przede mną kurtkę i zatknęła w górę wieszaka czapkę. Wstała niewzruszona, jak atropy mnie samego. Wyszłoby stamtąd, ale musiałem siedzieć, byłem uneruchomiony, nieczym statek na mieliznie. Zmieniłem położenie nóg, żeby kryzys nie rozwinął się do granic katastrofalnych. W żaden sposób nie mogłem wstać i jedynym sposobem na uratowanie się było odwrócenie uwagi w rejon jak najmniej sugestyjnych zjawisk i przedmiotów. Przez ogarniętą anarchią świadomości przemknął mi wizerunek kościoła w S. Prawda, przecież niegdyś byłem tam ministrantem! Ze wszelkimi prawdopodobieństwem zwracałem się do Boga, którego opuszczałem w sychliku wieku dziecięcego. Nie mogłem zatem z tej strony spodziewać się właściwego wsparcia. Warzywa, których sterty leżały przed głównym ołtarzem miały w sobie dość onirycznej perwersji, dość, aby z największym wysiłkiem zamazać ją czymś całkowicie bezdopowym. Gdzieś musiała istnieć w moim życiu najbrzydsza, wręcz odpychająca kobieta i galopadą zacząłem pokonywać cały swój wiek w poszukiwaniu postaci, na której wspomnienie penia podda się, znalazłszy w sobie niehamowaną obojętność. Kobieta tę wreszcie dopadłem. Miała chyba z dziesięćdziesiąt lat. Być może jej wspomnienie wywarło dobroczynny wpływ dopiero wtedy, gdy zacząłem wpatrywać się w ścianę, wznosząc ją od początku, razem z całym domem i przy wtórze hymnu państwowego. Jednakże powtarzałem bez końca tylko jedną zwrotkę, ponieważ pozostałe nie były mi znane i mogło to mieć skutek fatalny. W tym czasie drzwi otworzyły się na powrót. Wyszła ubrana w biały fartuch, prawdopodobnie mniej więcej świadoma tego, co we mnie wywołała. Miała krótkie blond włosy, co przecież spostrzegłem wcześniej. Otworzyła kluczem ostatnie drzwi na prawo ode mnie, zapinając drugą ręką fartuch. Poprosiła mnie, abym jeszcze chwilę zaczekał. Weszła, zostawiając drzwi nie domknięte. Wykorzystałem to, żeby wstać i sprawdzić, jak wyglądała spodnie. Na szczęście nie było tak źle. Wsiadłem, kiedy mnie poprosiła. Gabinet był niewielkim pomieszczeniem, połączonym bocznymi drzwiami z jakimś następnym. Stało tam biurko z szafką na wierzchu, szafka z lekami i narzędziami do zabiegów. Po lewej stronie stało łóżko z narzuconym na czarne obicie prześcieradłem. Z jednej strony zasłaniał je parawan. Zapytała mnie, czy długo czekałem. Zaprzeczyłem, wyjaśniając, że nie traciłem czasu. Roześmiała się. Sprawdziła moje personali, sięgając po znajdujące się w szafce zastrzyki biostyminy. Leczyłem wzrok i wzięłem ich już kilka. Spytała mnie, czy zastrzyki istotnie mi pomagają. Odpowiedziałem, że nie jest mi to wiadome. Nie miałem wielkiej ochoty na prowadzenie z nią konwersacji, tym bardziej że wkrótce zmuszony byłem zdejmować przed nią spodnie. Uznałem, że to za poprosiła mnie o to za wcześnie. Oczekałem, aż napełni strzykawkę, patrząc na stolik, gdzie leżał podręcznik do nauki języka włoskiego. Odepnąłem spodnie, kiedy wszystko było już gotowe. Ułożyłem się na łóżku, odchyłając lewy pośladek. Dziura w bucie musiała być dla niej widoczna, jak też cały fatalny stan obuwia. Siadła obok mnie i nacierała skórę spirytusem w miejscach, gdzie miała wbić igłę. Tym zastrzykiem mogła mnie tak urządzić, że później nie mógłbym ruszyć nogą. Zwróciłem jej więc uwagę, żeby robiła to jak najwolniej. Poczulem, jak ścisnęła palcami skórę na pośladku, wbijając tam igłę. Najbardziej mnie nie zabolalo, jednakże w jakimś momencie wstrzykiwania płynu, ból ściał mi kawał poślodka. Wyszła za parawan, dając mi okazję do ubrania się. Widziałem jej profil, kiedy porządkowała narzędzia, o skrywanym uśmiechu kobiety z jej intucją dotykającą tajemnych myśli mężczyzny, oblekającą się w instynkt samicy — wyczekiwania i paraliżu woli. Miała jeszcze na sobie ślad deszczu. Być może, myślała o nim, chcąc nie dostrzegać chwili, w której rozpoznawała własną słabość. Wystawała przy tych narzędziach zbytecznie długo, ja zaś bez potrzeby wpakowałem się na wąże obok drzwi. Oświadczyłem jej, że pragnę zmierzyć swoje dawno nie mierzone drzewo, co prawdziwie ją rozbaawilo. — 172 — powiedziałam z wysokością, dostrzegając swoje buty, stojące jeden przy drugim, absurdalne do granic. Spoglądając na nie, miałem wrażenie, jakby ustawiły się same, podlegając innym prawom, na które ja nie mógłbym mieć wpływu. — Zmniejszyłem się o trzy centymetry — dokończyłem z uczuciem lekkiego zawodu. — Ma pan zupełnie dostateczny wzrost — pocieszyła mnie fałszywie pojmując mój stan psychiczny. Siedziałem już w butach, gratującą ku wyjściu. Deszcz do tej pory robił swoje. Przeżywałem coś prawdziwie nieprzyjemnego. W lewym bucie było nadal mokro, ale znalazło się trochę ciepła, które zaczęło ulatwiać przelajając się przez mnie. Otóż, o wiele lepiej jest zupełnie zimno w bucie, niż trochę wylęgniętego w nim śkaś ciepła. Wkrótce będą wachlał korzonki kwiatów. Niebó było bez śladu nadziei na lepsze. Dlatego tutaj wstąpiłem zbyt późno pojmując, iż zrobiłem to nieopatrznie. Ale któreś włosy udało mi się stąd wyjąć, w dzień tak upalny i tak wielki, że na ulicach kurz wciśkał się do oczu, do nosa, do usz. W promieniach słońca wirowały cząsteczki kurzu. Wiadłem do tramwaju pełnego ludzkiego smrodu. Nikt nie odważył się otworzyć okna, bo pył dostawał się do wnętrza. W ścisłości i pocie całej przetrzymanałem powolną, konwulsyjną jazdę. Byłem zwrócony twarzą do okna i oglądałem zbliżającą się postać gościa, który leżał na chodniku, wzdłuż krawężnika jezdnii, gdzie samochody wzniesły tumany kurzu, ludzie zaś przechodzili, odwracając głowy. Był przykryty gazetami, jedynie nogawki spodni i buty wychylały się spod tego skromnego osłonięcia, który jednakże hipnotyzował wzrok ludzi, wzdierając się pod powieki, dotykał ich jestestwa, jak rozpalone żelazo dotyka boku ciała. Pragnąłem wysiąść, aby przerwać powolną jazdę. Wokół stali zgromadzeni ludzie. Wkrótce też przyjeżdżowały gliny. Zerkali na przykryte gazetami, rozkraczając się i zakładając ręce do tyłu. Jeden był niski, w bluzie obciążonej w dole skózanym pasem. Kłwał się na plecach i czubkach butów. Moja obojętność jest doskonałsza — mówił kiwając się tułow. Uprzątnię się tego, tak czy inaczej, ale nie radzę nikomu robić tego, co ten. I tak mamy z wami dosyć kłopotu. Robotnicy przystawili i odchodzili. Wiatr uderzał w twarz. Gazety falowały, szarpane powiewami. Ci, którzy jeszcze zostawali, liczyli na to, że gazety odwrą się i odsłonią przykrytego, jego marynarkę, głowę, gałki oczne skierowane w czeluść nieba przyłączając miasto i roztrząskane o nią słońce. Byłem coraz dalej, w czasie, który się rozdził, połączony absurdalnie z gościem, który znalazł się pod gazetami. Ale przecież oddalałem się od tamtego miejsca i czasu. Powiadam — oddalałem się w nie wiadomo jakim czasie i dokąd.

Polemiki • Listy • Opinie

„MANEWRY NA TORACH”

Z dużym zainteresowaniem społeczność kolejarska sięgnęła po zamieszczony w nr 17 z dn. 26.IV.1986 r. tygodnika „Odgłosy” artykuł red. Jolanty Wrońskiej pt. „Manewry na torach”. Treść publikacji, a w szczególności zawarte w niej generalne wnioski zmuszają nas do zajęcia stanowiska i powrotu do omawianych w artykule spraw.

Nie twierdzimy, a przykładów dostarcza chociażby lektura prasy, że negatywne zjawiska, którymi zajmuje się autorka nie szerzą się w przedsiębiorstwie PKP. Nie są usprawiedliwieniem tego stanu rzeczy tzw. czynniki obiektywne, które występowały i istnieją nadal w pracy na kolei. PKP nie oferowały nigdy najwyższych zarobków, a warunki pracy szczególnie na stanowiskach związanych z ruchem pociągów są wyjątkowo trudne. Praca odbywa się w dzień i w nocy, często na otwartym powietrzu, niezależnie od warunków atmosferycznych. Na wielu z tych stanowisk istnieje niedobór pracowników i dlatego nie zawsze trafiają na kolej ludzie odpowiedni. Z drugiej strony znaczna ilość takich pracowników rychno rozstaje się z koleją, gdyż są zwalniani z pracy za pijanstwo, kradzieże czy inne przewinienia. Szczególnie w ostatnich latach, zgodnie z ogólną polityką prowadzoną w tym zakresie zjawiska te są energicznie eliminowane.

Prasa podaje wiele przypadków ukarania pracowników PKP za nietrzeźwość czy przywiłaszczenie mienia. Są to niewątpliwie zjawiska wysoce szkodliwe, które powinny być odpowiednio surowoko piętnowane.

Wystąpienie nasze podyktowane jest natomiast sposobem przedstawienia tych spraw w przedmiotowej publikacji. Zjawiska te przedstawia autorka jako generalne, całkowicie panujące na kolei, tolerowane i akceptowane na każdym szczeblu organizacyjnym przedsiębiorstwa. Olbrzymia większość pracowników kolei, to jednak nie tzw. „element”, jak wynika z artykułu, ale ludzie uczciwi i ciężko pracujący, których niektóre stwierdzenia autorki publikacji musiały głęboko urazić i dotknąć.

Podkreślamy raz jeszcze, że list nasz nie jest protestem przeciw rzetelnemu przedstawianiu tego typu zjawisk, ale powracamy do sprawy dlatego, że tego rodzaju sposób przedstawiania tych zagadnień, sugerujący czytelnikowi nie dające się zmienić, totalnie zło panujące w całym parusetycznym przedsiębiorstwie wydaje się nam wysoce niewłaściwy.

Pojedynczy, źli osobnicy w społeczności kolejarskiej nie świadczą, że cała społeczność jest zła, tak samo jak jeden niesolidny dziennikarz nie będzie świadczył, że cała redakcja jest niesolidna.

GRZEGORZ GÓRECKI
(I sekretarz POP PZPR)
MARIAN MISZTAŁ
(przew. ZZ Kolejarzy w Biurze Rejonu Przewozów Kolejowych w Łodzi)

„CORD” BYŁ ŁÓDZIANINEM

Jeżeli ktoś czytał książkę Jerzego Markiewicza „Paprocie zakwitły krwią partyzantów” zafascynowała go na pewno postać por. Jana Steglińskiego ps. „Cord”. Niedawno miałem możliwość otrzymania z 4 Łódzkiej Drużyny Harcerzy im. hetmana Stefana Czarneckiego życiorysu jej założyciela i pierwszego drużynowego — Jana Steglińskiego „Corda”.

Urodził się w roku 1909 w Łodzi w rodzinie drobnych rzemieślników. Rodzice obumarli stosunkowo wcześnie. Wychowywała go ciotka zamieszkała na Kozinach przy ul. Okrzei. W roku 1922 rozpoczął naukę w ówczesnej Szkole Rzemiosł „Towarzystwa Chrześcijańskiej Dobroczywności” prowadzonej przez zakon Selezjanów przy ul. Wodnej. Już od początków nauki włączył się do pracy harcerskiej. W roku 1924 zakłada 4 drużynę Harcerzy im. hetmana Stefana Czarneckiego.

Dążąc do poprawy warunków pracy swojej drużyny, mimo że był głęboko wierzącym postanowił niezależnie się od zakonu Selezjanów i przenieść drużynę do szkoły powszechnej przy ul. Podmiejskiej na Chojnach. Stało się to w roku 1929. Będąc wzorem pracowitości poświęcił się harcerstwu z taką ofiarnością i bezgranicznością, że trudno obecnie pojąć jego zapał i oddanie.

Warunki zdrowotne nie pozwalały mu na podjęcie stałej pracy. Dlatego też założył we własnym mieszkaniu warsztat ślusarski, pozwalający mu na utrzymywanie rodziny i zabezpieczenie jej bytu. Kiedy otrzymał stałą pracę w zakładach Norblina w Osinach k/Główna przekazał drużynę swojemu wychowankowi, utrzymując z nią jednak dalszy stały kontakt.

W wojnie obronnej 1939 roku brał udział jako podporucznik lotnictwa. Po zakończeniu działań wojennych ukrywał się na lubelskiej stronie pod nazwiskiem Zygryd Koman. Jest to nazwisko jego przybocznego z 4 ŁDH. Po pewnym czasie otrzymał nominację na komendanta AK obwodu Biłgoraj. Formuje oddział partyzancki z mieszkańców tego miasta oraz okolicznych wsi. Oddział „Corda” wstąpił się wieloma udanymi akcjami na gestapowców i szpicli hitlerowskich.

W czerwcu 1944 roku Niemcy podejmują zmasowaną akcję na oddziały partyzanckie znajdujące się w lasach łipskich i Puszczy Solskiej. W pierwszym okresie przebijają się przez pierścien obławy oddziały radzieckie i AL. Oddziały AK opanowują dzwiny bezwiad. Kiedy podejmują decyzję jest już za późno. Teraz należałoby przebiegać się przy pomocy siły. Oddział „Corda” walczy jeszcze przez kilka dni podporządkowując się decyzjom miejscowego dowódcy AK mimo że traci połowę ludzi. Z 200-osobowej grupy zginęło około stu. Jest to owoc zwycięskich bitew w lasach biłgorajskich. Wreszcie udaje się oddziałowi przerwać hitlerowskie okrażenie i przedostać do lasów nie zagrożonych akcją pacyfikacyjną wroga. I wtedy „Cord” podejmuje ostatnią w swoim życiu decyzję. Postanawia sam powrócić do „kotła”, aby wydość z niego pozostałych tam rannych, którym groziła śmierć z ręki wroga. Wraca do nich, organizuje transport i przy ponownym przebijaniu się przez pierścien niemieckiej obławy ginie trafiony niemiecką kulą w czoło.

Pochowano go wraz z innymi partyzantami na cmentarzu w Biłgoraju.

MIECZYSLAW KOZAK

GDZIE KOBIECA SOLIDARNOŚĆ

Panna Julka przybiegła do mnie z płomiennym rumieńcem na twarzy. — Oburzenia jak się okazało. Sytuacja, której była świadkiem wstrząsnęła nią do żywego. Kolejka składająca się z samych kobiet wypchnęła ciężarną dziewczynę nie szczedząc jej szyderstw i inwektyw. Siedemnastoletni wosien czyni swoje, toteż panna Julka nie mogła przejść nad tym faktem do porządku dziennego i ujęła się za ciężarną.

— Od razu otoczyła mnie chmara zagniewanych twarzy — kobiety kolo czterdziestu, pięćdziesięciu lat, iskry w oczach, błyskawice, „nie wtrącaj się smarkata”, „ty k...” i tak dalej. Ledwo z życiem uszłam! To strach! — relacjonowała podniecona i zdezorientowana. I ciągnęła — nie mogę tego pojąć! gdyby to męż-

czyźni okazywali takie niezrozumienie dla kobiet w ciąży, ale to kobiety! Nie mogę tego pojąć!

Jako nieciężarna, a kobiety w tym stanie przepuszczając przed sobą, nie przyglądałem się dotychczas jak ta sprawa wygląda, rzekłbym za rzecznikiem rządu — w skali ogólnospołecznej.

A wygląda tak. Facet, nawet jak na tak zwanej „bani”, uśmiechnie się, przepuści kobietę w ciąży, czasami zażartuje. Fakt, że nie zawsze wiadomo czy się śmiać czy nie, bo żart bywa, że przyćki. Często mężczyźni nie zauważają ciąży nawet już zaawansowanej i gdy zwróca dziewczyna uwagę by swoje odstąpiła w koleje, a zorientują się ponieważ, odchodzą jak niepyszni, zawstyżeni. Ot zostało coś w męskiej części narodu z tego dawnego, tylekroć wyśmiewanego, szarmanckiego traktowania pań.

Z kobietami inaczej. Zniknęła gdzieś kobieca solidarność, która pozwalała wczuwać się w stan odmienny. Nie ma sympatii dla ciężarnych, ba jest wrogość. Dziecko, nawet jeżeli nie swoje przestało być radością kolejkowiczek, a stało się obiektem niechęci. Tak jak biała laska, widoczne kalectwo, legitymacja ZBoWiDu i tak dalej, ciąży stała się nie symbolem nowego życia, lecz uprzywilejowania.

Trudne warunki życia, braki w zaopatrzeniu, wystawianie goźdinami w kolejkach, agresja na każdym kroku w stosunkach międzyludzkich, zepchnięty gdzieś daleko, nisko, w jakieś ciemne kąty osobowości fundamentalne zasady postępowania międzyludzkiego. Czyżby tak łatwo człowiek człowiekowi wilkiem się stawał, gdy tylko zabraknie wolowiny bez kości?

ANDRZEJ BETULSKI

KLUB MŁODEGO DZIENNIKARZA ZMW

zaprasza do współpracy wszystkich dziennikarzy amatorów. Przedwidujemy comiesięczne spotkania warsztatowe z udziałem dziennikarzy zawodowych, pomoc w zakresie publikacji tekstów na łamach prasy profesjonalnej oraz w biuletynie redagowanym siliami członków Klubu.

Warunkiem przyjęcia w poczet członków Klubu Młodego Dziennikarza ZMW jest nadesłanie przynajmniej jednego tekstu.

Teksty prosimy kierować pod adresem: Krajowa Rada Akademicka Związku Młodzieży Wiejskiej ul. Nowy Świat 18/20, 00-920 Warszawa z dopiskiem: „KLUB MŁODEGO DZIENNIKARZA ZMW”.

„WAŻNE TO JE, CO JE MOJE...”

Kilka tygodni temu czytałem w prasie łódzkiej podniesioną niemal do rangi afery sprawę zainstalowania w piwnicy jednego z fałowców na Julianowie — magla. Mieszkańcy z tejże klatki schodowej podobno cierpią przez „wyziewy” z tegoż magla, choć nie mogę się wyzbyć wrażenia, że chodzi tu po prostu o zwykłą parę, jak przy prasowaniu. Na pewno okres kucia, wiercenia i walenia w ściany był dla innych lokatorów uciążliwy, ale przecież to się już skończyło. Mogło być gorzej: muszę tu wrócić, że mimo zasiedlenia mojego bloku w 1978 roku — do dziś niektórzy z sąsiadów serwują nam wiercenia udarowym „Boschem” w soboty około 22 lub w niedzielne popołudnia... Wracając do magla: z jednej strony powszechnie (?) oburzenie, jak można było do tego dopuścić, a z drugiej — widzę te listy, skargi i notatki o braku usług na osiedlu.

Nie mam wątpliwości, że lokatorzy tej „nieszczęśliwej” klatki przyzwyczajają się do drobnych niedogodności i sami będą od tego magla nosić bieliznę. Ale nie przynajmniej, że w gruncie rzeczy jest im z tym wygodnie.

Przykład drugi: bardzo lubię chrupiący, świeży chlebuś, który Pan Piekarz dowozi przed 6 rano do sklepiku, usytuowanego w zejściu pod moim fałowcem. I już nawet przyzwyczajam się do szumu silnika jego „Nyski”, regularnie o 5,45 rano, tak samo jak do dzwonów Kłosa Proboszcza z sąsiedniego kościoła o godzinie 6,30, świątek — piątek. Mogłbym nawet nie korzystać z zergarka. Oczywiście — traktując sprawę serio mogłbym, czy powiniem rozpoznać całą kampanię prasową, jak to strudziniejskiej klasie pracujących uniemożliwia się odpoczynek itd. I podpisy bym może zebrał, bo sam mieszkam na drugim piętrze, więc przynajmniej kilku sąsiadów bym nie poparilo. Ale sądzę, że mimo wszystko jest to wygodna (z tym chlebusiem) i dlatego wojować nie mam zamiaru. Sąsiedzi również. Bo po pewnych rozmowach, wyłączeniu drzwi w sklepiku, jakoś to się wszystko ułożyło.

Przykład trzeci: kilka dni temu byłem świadkiem „masówki” lokatorów zbulwersowanych wiadomością, że około 80 metrów od naszego fałowca ma być „dogeżeczenie”, to jest postawiony budynek 11-kondygnacyjny, lecz tylko o dwóch klatkach.

Nie dziwię się inwestorowi. Teren w pełni uzbrojony (a ile kosztuje uzbrojenie terenu — nie każdy wie), zachowane przepisy i normatywy. A poza tym widziałem już kilka gorszych osiedli, gdzie jeden drugiemu zagląda do okna. Jednak pisemny protest sporządzono. Rozumiem, że przyjemnie jest mieć z własnego okna szeroka perspektywę zamiast budynek na horyzoncie... Lecz obiektywnie do sprawy podchodząc, ciekaw jestem, jakie byłoby stanowisko któregokolwiek z sygnatariuszy tego protestu, gdyby w projektowanym budynku miało dostać mieszkanie jego dziecko?

Ostatnio spotkały się na moim biurku dwa pisma. W pierwszym — Pan X kategorycznie żąda, aby jego balkon na I piętrze okratować na koszt właściciela budynku, gdyż czuje się zagrożony. Po daszku nad wejściem do sklepu mogą się dostać do jego mieszkania złodzieje. Pewno może się dostać.

W drugim piśmie Pani Y również kategorycznie żąda, aby nakazać mieszkającemu pod nią na parterze sąsiadowi zdemontowanie założonej kraty przy loggi, gdyż po tej właśnie kratce mogą do niej wejść na I piętro złodzieje.

Kratować więc, czy nie kratować? Do 11 piętra włącznie?

Władza architektoniczno-budowlana na zapytanie, co z tym fantem zrobić odpowiada z łicie olimpijskim spokojem, że jest to sprawa „wewnętrzna” właściciela budynku. Pewno! Latwiej zastrzeżać do swej decyzji sprawy związane z kolorystyką elewacji, ogrodzeniami, śmietnikami i trzepakami, niż ustosunkować się do spraw „ludzkich”, jak te okratowania. Zresztą — brak przepisów! No właśnie: nie czekajmy na paragrafy, gdyż prawo nie obejmuje całej mnogości szczegółów życia. „Władza” nie pomoże. Musimy więc z takimi problemami uporać się sami. Co jednak zrobić, gdy nasze „ja” zmienia się w zależności od sytuacji? Gdy nie mamy nic — gotowi jesteśmy przyjąć wszystko, co nam oferują i bez żadnych zastrzeżeń. Gdy już cokolwiek mamy — stajemy po drugiej stronie barykady, a wymagania i żądania sięgają pułapu nie mającego niekiedy nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem i realiami naszego życia.

WAF.

DZIĘKUJE CI, MARKU

Trudno wyrazić uczucia, jakie towarzyszyły mi, gdy czytałem wypowiedź Barbary Kempy pt. „Odurzenie”, zamieszczoną w „Odgłosach” nr 17 z 27.04.86 r., a która w najogólniejszych zarysach dotyczyła działalności Monaru i problemu narkomanii w Polsce

w ogóle. Trudno też oprzeć się pierwszej refleksji, że takie głosy nie twórczego i pożytecznego nie wnoszą, a jedynie szkodzą pięknej idei i dobrej sprawie. Jakże irytujące, bo z powietrza wzięte, jest stwierdzenie autorki, że „być zarejestrowanym w Monarze — to posiadać glejt na narkomana, na oryginalność, na zainteresowanie”. Jest to oczywiście bzdura, świadcząca o zupełnej nieznanomości problemu. Idąc tokiem rozumowania Barbary Kempy, mam do zaproponowania kilka „rewelacyjnych” pomysłów.

Po pierwsze — proponuję, aby od zaraz zlikwidować wszystkie poradnie antyalkoholowe, bo leczenie tam, to nic innego jak posiadanie glejtu na pijaka i popularyzowanie pijanstwa. I broń Boże, nie wspominać nigdzie ani słowem, że alkoholików mamy aktualnie około 5 milionów, w tym prawie milion uzależnionych, a także i o tym, że prognozy Polskiej Akademii Nauk „krzyczą”, że jeżeli obowiązująca ustawa nie będzie przestrzegana i to rygorystycznie, to po roku 1995 będziemy mieli 17 milionów pijaków!!!

Po drugie — wnoszę, aby w ogóle znieść ustawę o wychowaniu w trzeźwości, bo ta czyni z wód owoc zakazany, a tym samym zamiast zapobiegać, potęguje wzrost zainteresowania gorzalką.

Po trzecie — żądam, aby natychmiast zaprzestać publikacji i przebiegu wszelkich rozpraw sądowych i podawania do ogólnej wiadomości wyroków, gdyż zwiększamy w ten sposób popularność różnej maści bandytów, gwałcicieli, złodziei etc., a także powodujemy, że skala problemu rośnie.

Wracając do meritum pragnę podkreślić, że praktycznie w każdym z poruszonych zagadnień mam odmienne zdanie i myślę, że również i rzeczowe argumenty. Swoje uwagi w sprawie opieram na wielomiesięcznych doświadczeniach w pracy z byłymi narkomanami, wizytach w sokolnickim Monarze. Uwzględniłem również spostrzeżenia swoich uczniów — byłych narkomanów, którym dałem do przeczytania opinię Barbary Kempy z prośbą o komentarz.

O tym, że rola Monaru jest zupełnie różna od tej, którą sugeruje autorka, już wspominałem. Uzupełnię tylko, że jest to placówka, która dysponuje pierwszym systemem opartym na nieprofesjonalistach i do tego skutecznym, gdyż wielu już młodych ludzi dotkniętych nałogiem, przed którym beznadziejnie stawała się medycyna, zostało uleczonych i zaczęło notować pierwsze życiowe sukcesy, a także pomagać innym, skazanym tą samą chorobą. Jest coś niezwykłego i fascynującego w tym, że zwykli amatorzy „biją” profesjonalnych terapeutów i podważają pewien sposób myślenia o człowieku i jego psychice.

W przeciwieństwie do Barbary Kempy, moi uczniowie z Monaru twierdzą, że o narkomanii w Polsce zaczęło się mówić o całe dziesięć lat za późno i dziś temat o uzależnionych młodych ludziach i ich tragedii, należy podejmować z zdwojoną energią, ale też w sposób wyważony i rozsądny, gdyż w tej właśnie materii od skutecznej profilaktyki do poglądowych lekcji zachęcających do wzięcia narkotyku tylko krok. Uważają również, że konieczne jest tzw. rozdmuchiwanie problemu, gdyż to sprawia, że m.in. i o narkotyki coraz trudniej, szczególnie o polską „hercinę”, która jest piekielną trucizną.

W Monarze strzykawka nikogo nie nobilituje, bo tam się nałogowi wydało zdecydowaną walkę i większość zdaje sobie sprawę, że jest to walka o życie. Monar nie jest placówką przymusowego leczenia, do której sprowadza się ludzi siłą. Tam narkomani zgłaszają się dobrowolnie i wtedy muszą się poddać określonym rygorom narzucanym przez społeczność danego ośrodka. Kto nie wytrzyma i ucieka, znajduje tylko śmierć. Ocenia się, że w Polsce z powodu narkotyków, następuje rocznie około 200 zgonów. Monar w Sokolnikach, który jako jedyny w kraju może się poszczycić tym, że 35 proc. byłych pacjentów nie bierze narkotyków, ma odnotowane w swoich kronikach również porażki i to te najbardziej bolesne. W głównej sali ośrodka, przez którą codziennie przewijają się wszyscy monarowcy, na czołowym miejscu wiszą trzy nekrologi, które nie tylko informują o zgonach, ale stanowią najwyższą miarę przestrogi dla pozostałych.

Totalnym nieporozumieniem jest stwierdzenie, że zainteresowanie narkomania rośnie z powodu Monaru, a nieco dalej wykrętnie tłumaczenie, że nie podejrzewa Monaru „o jakakolwiek złą wolę”. Doprawdy, nic z tego nie rozumiem. Odpowiedzi na pytania — dlaczego problem narkomanii pęcznieje?, gdzie tkwi źródło zła? i jak temu znu zaradzić?, wydają się kluczem otwierającym szanse ratunku dla ludzi dotkniętych nałogiem.

I na koniec kilka refleksji z ostatniego pobytu w Sokolnikach i z spotkania z Markiem Kotąńskim, którego bardzo pragnęłam poznać osobiście.

Uroczyście czterolecie funkcjonowania ośrodka w Sokolnikach, która została przygotowana przez monarowców, przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Śmiem twierdzić, że nigdy dotąd w tak wspaniałej imprezie nie uczestniczyłem. Uderzyła mnie przede wszystkim niezwykła naturalność w jej przebiegu, począwszy od powitania swoich kolegów z innych ośrodków z całego kraju, poprzez spotkanie z Markiem Kotąńskim, formę wspólnego poszukiwania, a na imprezach towarzyszących skończywszy. Żadnych sztucznych kanonów, żadnego scenariusza, co po czym i dlaczego, a jednak każda chwila wypełniona, atrakcyjna, budząca zaciekawienie.

Na każdym kroku obserwowałem godną zazdrości otwartość duszy, że jednak żyją, żyć pragną i w co wierze, żyć będą. Bez codziennej, żmudnej pracy nad sobą, bez walki ze słabościami charakteru, bez nadziei i wiary nie ma możliwości uratowania się i większość z nich wie o tym najlepiej.

Spotkanie i rozmowa z Markiem Kotąńskim — to osobny rozdział. Jego podopieczni z całej Polski — a mogłem się o tym naocznie przekonać — są nim zafascynowani. Wielki pasjonat, człowiek „nawiedzony”, Judym końca XX wieku to określenia, którymi najczęściej obdarzony jest przez monarowców. Sam również obserwowałem go bardzo uważnie i nie waham się publicznie stwierdzić, że jest wybitną indywidualnością. Nie zraża się niepowodzeniami i piętrzącymi trudnościami. Jest konsekwentny, pełen twórczego niepokoju, inwencji i głęboko wierzy, że wytknięty cel osiągnie. Szczerzy podziw budzi jego postawa i to w czasach, gdy coraz więcej ludzi uważa, że najlepiej im z etykiety „jacy tacy — przeciętniacy” i żyją dla sprawy wyprawa tylko głupiec.

Zamiast dociekać danych statystycznych (Monar? służba zdrowia, MO) o liczbie narkomanów w Polsce i głoszenia byle jakiego zdania o Monarze, trzeba spróbować przyrzeć się kolejnej inicjatywie Marka Kotąńskiego, który chyłkiem się ku upadkowi — czy używając języka dyplomacji — przeżywającej trudności, szkole polskiej usiłuje dać piękny i co najważniejsze, czytelny program wychowawczy pod zawołaniem „Skoły czystych serc”, gdzie dobroć, szczerść i otwartość, na linii uczeń — nauczyciel — rodzice, to znamiona najwyższej wartości. Nic więcej nie dodam.

STANISŁAW SOWIŃSKI

Dziękuję Ci, Marku! Po spotkaniu z Tobą jeszcze bardziej zrozumiałem sens Twoich słów, które wraz z książką zadeklowałeś mi 26 stycznia 1986 r., że „Monar jest latarnią rozświetlającą mroki ludzkiego życia”.

Jest w Polsce miasto (miasteczko?), którego nazwa stała się czymś więcej, niż tylko szyldem dla zbioru budynków, ulic, trawników, przystanków autobusowych i koszuw na śmieci. Nazwa jego jeszcze grubo przed wojną była pojęciem obyczajowym, kulturowym; zjawiskiem, które nie zniknęło w ludowym kraju, przeciwnie, nabrano innych, nowych jakby walorów, znaczeń, blasków i koszmarnych wynaturzeń. Podobnie jak Coca-Cola, która jawi się jako symbol pewnej epoki i jej obyczajowości (nawet w sferze politycznej), tyle że o zasięgu światowym. Teraz wystawiono jej pomnik o sylwetce charakterystycznej, znanej powszechnie butelki. (Może i u nas stanie kiedyś monument poświęcony narodowej „popite” w kształcie saturatora?)

„DEMONIZM ZAKOPANEGO”

Jest w Polsce kilkadziesiąt tysięcy miejscowości w ogóle, a kilka tysięcy z pewnością tzw. wypoczynkowo-wczasowych. Żadna jednak nie wzbudza takiego wewnętrznego drżenia u wybierających się doń rodaków, jak Zakopane. Gdy słyszy się o sylwetce charakterystycznej, znanej powszechnie butelki. (Może i u nas stanie kiedyś monument poświęcony narodowej „popite” w kształcie saturatora?)

A w ogóle, to do tej miejscowości nie „jedzie się”, a wyrusza lub wybiera. Nie „jest się tam” po prostu, a przebywa. W Zakopanem nie „bawo się”, a gościlo lub bawilo („bawilem onegdaj w Z.”), tam też nie „je się”, a spożywa lub konsumuje. Wszędzie jest chleb, a tam pieczywo. Ten ostatni przykład łni dosłownością. W sezonie brakuje w Zakopanem najwykniejszego chleba powszedniego. Buduje się więc piekarnię, prawdziwą fabrykę chleba. Tyle że w tempie konającego żołwia. Żeby jakoś zatać dziurę, odpowiedzialni za tę inwestycję, a zaroskami o zachowanie szczególnej inności miasta, fundują tubylcom przejściowym bagietkami. Będzie mało zwykłego chleba, za to będą bagietki.

W roku 1918, zakopiańczyk z wyboru, Stanisław Ignacy Witkiewicz ogłosił kapitalne studium nad zakopianą pt. „*Demonizm Zakopanego*”. Autor zajmuje się wpływem narkotyku zwanego przez siebie zakopianą na artystów różnej proweniencji ściąganych pod Giewont, jak za pomocą magnezu przez niezwykłą atmosferę zakopiańską. Zaczynamy w dalszym ciągu kilka fragmentów, jako że brzmią one nad podziw dzisiejszo. Studia, to napisane z szatańską przewrotnością, właściwą autorowi „*Szeteców*”, świadczą o przenikliwości umysłu geniusza, i dowodzą, że mimo różnicy epok, ustrojów i stylów bycia, zawsze znalazł się ludzie o jednakowych skłonnościach, potrzebach i zwyczajach, którzy cniom podobni krążyć będą wokół płomienia świecy barw nie zmieniając i nie ma dla nich znaczenia, czy to świeczka Panu Bogu ofiarowana, czy ogarek diabłu na odczepne poświęcony.

BAWIĆ W ZAKOPANEM

Ma więc Zakopane swych wiernych wyznawców, z których część to prawdziwi miłośnicy gór, turystyki, wspinaczki, narciarstwa, folkloru i umiarkowanego klimatu starego Zakopanego, które kurczy się, zanika i coraz go mniej. Znako-mita (głosowo, nie jakościowo) większość stanowią ci, którzy uważają, że pokazanie się pod Tatrami należy, być wypadła dwa razy w roku (latem i zimą), wydać odpowiednio głośno i ostentacyjnie gruba forszę w najdroższych lokalach, powdychać spalinę i smrodu (go oni w góry nie chodzą, chyba że kolejką na Kaspro-wy), przebrać się kilka razy dziennie, zaprezentować na Krupówkach najnowsze deski, wiązania, buty, kombinizony, gogle (nie wszyscy jeżdżą mimo posiadania supersprzętu, bo można złamać nogę. Niekiedy i to bywa powodem do chwały: złamać nogę w Zakopcu, no, no), popić popułać i wrócić „do interesu”. Jest o czym opowiadać przez kilka miesięcy, a najważniejsze, że Eden został zaliczony, nie wypadła się z obiegu, utrzymana wysoka pozycja na towarzyskim „topie”. Pewna znajoma wróciła stamtąd zachwycona, a największe wrażenie jakie przywoziła, to smak doskonałej kawy w „*Jędrustu*” — autentycznej!

Zakopane jest brudne, szare, zakurzone, zamrozone spalinami i zanieczyszczone. Z pewnością mało kto wie, że zanieczyszczenie atmosfery jest większe niż na Górnym Śląsku. Wydawałoby się, że tamten rekord jest niemożliwy do pobicia. Szarozna czapa okrywała miasto widoczna jest gołym okiem z Gubałówki. Obserwowałem to w kwietniu, czyli według opinii autochtonów, w miesiacu „dziury” międzysezonowej. A co dopiero w szczytce najazdu turystycznego i pomyśleć, że kiedyś atmosfera Zakopanego była zabójcza dla tuberkuleznych bakterii! Dziś może zabić jedynie resztki zdrowych płuc, nadających przez gestę powietrze wielkich i mniejszych miast, w których żyjemy.

Wystarczy jednak wejść trochę wyżej, w las, ponad linę najwyższych dachów miasta. By gwałtownie odczuć odmianę powietrza. Tak jest chociażby już w drodze do Kuźnic, dolnej stacji kolejki na Kasprowy. Gdy przejedzie obok jakiś samochód (mimo zakazu), jeszcze przez pięć minut czuje się zapach spalin w czystym powietrzu. Samochody są istną plagą nie tylko w samym Zakopanem. Np. do Morskiego Oka, gdzie mają prawo wjazdu tylko służby specjalne i zapobieganie, dojeżdża własnymi samochodami gromada różnych uprzywilejowanych i zwyczajnie łamiących przepisy, zakłócając cudowną ciszę gór i „brudząc” kryniczną

atmosferę. Są to ludzie bez mózgu, którzy machniętymi wjechali swoimi autami na Ryw czy Giewont, bo to szybkość i wygodnie. A poza tym, wzięliście warto pokazać, że jest się posiadaczem pojazdu. Dla takich ludzi tworzyć się powinno rezerwy, gdzie mogliby do woli i do śmierci jeździć, jeździć i nie wychodzić ze swych ukochanych limuzyn, różnych trabantów lub syrenek (Gomulkawagen — jak nazywali to sudeńscy polskie myśli techniczne) nasi przyjaciele zza Odry). Mam kolegę, który tylko dlatego nie lubi zbierać grzybów, że nie może czynić tego z samochodu. On też nadawałby się do rezerwy kidiociących samochodziarzy.

NA DRODZE DO KUŹNIC

Skoza już jesteśmy na drodze do Kuźnic, warte przyjrzeć się powojennemu w pobliżu gmachowi. Buduje się, a właściciel rozbudowuje, jakąś przepyszna siedziba, ogromny pałac ze złotym dachem (tak lśni na promieniach słońca płyta miedziana) blachy. Na szczycie zachowano stylową architekturę starego domu, który stanowił bazę rozbudowywanej siedziby. Zapytałem przechodzącego człowieka, dla kogo to, jako że tablica informacyjnej nie mogłam nigdzie wypatrzyć.

— A jak pan myśli?

— Dla wojska, milicji lub rządu — odpalił bez namysłu.

— Jest jeszcze jedna siła w tym kraju, niepokrewna wymienionym przez pana — odpowiedział i poszedł sobie.

MAREK KOPROWSKI

Zakopane w oparach absurdu

W tym momencie, z za stosu cegieł wyloniła się zakonnicza, niosąc pobrudzone wapnem wiaderko. Wszystko jasne.

Parę godzin wcześniej, na terenie należącej do wielkiego kościółka z przepięknym starym emantarzem na Pęskowym Brzyku, widziałem ogrodzony siatką terenik o wymiarach 2x3 metry, na którym bawilo się w nieprawdopodobnej ciasnocie kilkanaścioro dzieci pod opieką zakonnicy. Nieodparcie nasuwało się skojarzenie z klatką. Teraz, podczas oględzin wspaniałego pałacu, komentarz nasuwał mi się zbyt brutalny, by go publicznie wygłosić. W każdym razie, nikt w Polsce, tej dojrzałej, sprawiedliwej, wrażliwej na los dziecka Polsce nie śmiałby postuluować (nie mówiąc o żądaniu) zmiany proporcji lub zastosowania wymienionych dwóch miejsc.

Tak więc, doszliśmy do problemu, który jest dla Zakopanego problemem jeśli nie najważniejszym, to jednym z głównych, mianowicie: budownictwa. Już Witkacy we wspomnianym studium napisał: „...spotworzono i wciąż jeszcze potworzniejają male miasteczka, co u stóp gór, jak pleśń jakas ohydna się rozpęta”. Miasto od lat jest dokładnie i systematycznie szpeczone przez budownictwo tzw. jednorodzinne. Nowy przewodniczący RN m. Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej mgr Kazimierz Moździerz winę upatruje w błędach poprzedniej władzy, gdy często przy wydawaniu zezwoleń budowlanych decydował przypadek, a nawet przywata i komplicja, gwarantując, że popelnione wcześniej błędy nie powtórzą się. Wierzę o tyle, że chętnych do postawienia sobie domu w „stolicy Tatr” jakby mniej, że niezdecydowanym zamieszkanym miasta szukają miejsce zdrowszych, mniej cuchnących. Rozlazła się więc stonka budowlana po okolicy, by teraz Bukowinę, Poronin, Kościelisko i inne bliższe i dalsze miejscowości (na wzór Zakopanego) upiększać siedzibami w kształcie powiększonych do rozmiarów grozy pudełek zapalek. Tyle mają one wspólnego ze starym stylem zakopiańskim, co chery na żółtaczce z Chińczykiem. Architekci, będący we własnym przekonaniu kolegami w pierwszych liniach panów Kenzo Tange, Arne Jacobsena czy Le Corbusiera, „opylają” swoje olśniewające projekty różnej maści parweniuzom o rozdartych przez megalomanię łbach i śpią spokojnie, zacierając przez sen łapki z uciechy. A projektanci bloków mieszkalnych zwiędzać musieli z pewnością Retkinię lub Teofilów, bo to w Zakopanem, wypisł, wymaluj... Tyle że łódzkie nie zastąpią widoku gór. Gdy ogląda się pod Tatrami efekty pracy koncepcyjnej architektów i planów dumą oczy właścicieli domostw o kompozycji spraczy wielkich, tyle że ciut większych, miękkość iakaś nogi w kolanach ogarnia, mgła dziwna spojrze-nie stępla a z ust otwartych plana ściekać zaczyna z zachwytu Ci, którzy tak budować pozwalają, dziwią się później, że górale ostro piją. Ja się nie dziwię.

BO W GÓRALU TAKA DUSZA

— Górale piją, piją i pić będą — powiedział pewien niższy znawca problemów górskich. Każdy z nas, w zależności od środowiska w którym się obraca lub żyje, mógłby górali zamienić na: szewców, kelnerów, ślusarzy, Kaszubów, malarzy (także artystów), marynarzy, milicjantów, poetów, pietwonurków, cieśli. Ślązaków i setki innych atrakcyjnych zawodów i przynależności regionalnych.

To wszystko prawda, ale prawdą jest również, że paskudnie traktuje się górali na ich własnym terenie. Dlaczego, np. zabroniono im pod groźbą ukarania przez kolegium, śpiewania

po godz. 22.00? Przecież śpiewanie należy do starej tradycji i obyczajowości tego barwnego ludu. Góral musi od czasu do czasu zaśpiewać. by wywalił z siebie jakąś emocję, radość czy frasunek. A że „najdziej” go taki stan po 22.00, to już nie wolno wrzasnąć po swojemu, na góralską nutę? Zakaz ten obejmuje teren całej Gminy Tatrzańskiej, nie tylko Zakopanego. W czym gorzy jest miejscowy gazda od przyjeźdnego szpera, który o drugiej w nocy, pijany drze mordę tak, że zimą lawiny śniegu, a latem kamieni schodzą w doliny ze zgrozy. I to nie raz! Wrażliwość uszu likwidatorów góralskich śpiewów. Gdy nie słychać w ciszy nocnej, so jakiś czas, charakterystycznego zawodzenia górali, to jakby czegoś brak. Pamiętam, że daw-niej, kiedy wolno im było śpiewać, nocne koncerty w Poroniu jakoś nikomu z przyjeźdnymi nie przeszkadzały, przeciwnie, podobaly się. O so więc tutaj chodzi?

Równie niezrozumiała (może mająca jakieś uzasadnienie racjonalne, lecz nie znam takiego) jest ciągająca się od lat sprawa hal i wypasu owiec na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego. Spór pomiędzy góralami a Parkiem nie znalazł rozstrzygnięcia do dziś. Górale, powołując się na akty nadania im tych ziem przez hr. Zamoyskiego, nie chcą przyjąć materialnych odszkodowań, a władze nie pozwalają im korzystać z własnych, prawnie do nich jeszcze należących, łąk. Tymczasem, że Park Narodowy, to Park Narodowy (niezwykle szlachetne to z punktu widzenia logiki), że wypas owiec zachwiała równowagę ekosystemu łąk tatrzańskich, jakoś nie przekonuje. Chyba odwrotnie. Dzięki owcom hale nie dzicząły, a jeśli należałyby zrobić jakieś przerwy w wypasach, to

miasta się znajdują. Ot, przykład wpływu narkotyku, który mać w głowach i rozum mieszczą nieodpornym. Ludzie ci rzadko schodzą z głównego traktu, chyba że do uznanych kawiarni i restauracji, bądź na Gubałówkę — przedłużenie eleganckiego deptaku — zadowoleni, że wzięli się widoczni tam, gdzie (ich zdaniem) trzeba.

Nie zawędrują (chyba że przypadkiem) na stary cmentarz zakopiański, który każdy porządny Polak obejrzeć powinien, bo zbyt dla nich daleko od centrum, a poza tym, ich to nie interesuje. Wielu z nich, to tzw. „*grachamy*” (gra-cham pięci obojga), czyli nieostających się z radlem, rozwrzeszczanym na pełny głos. Również po 22.00. To ich powinno karać się w kolegium, jeśli już.

Wyżej opisany całokształt już 60 lat temu drańnić musiał Witkacemu, skoro w wywiadzie pt. „*Tatry a współczesna twórczość literacka*” (1928), powiedział:

„*Zakopane plugawieje według mnie z roku na rok i wobec stanu ogólnego upadku umysłowego, nie widzę żadnej na to rady. Damską, rekordowy sport, kino, radio, nadużywane przez ludzi, których stosunek do muzyki jest stosunkiem „wynajętego psa”, wytrzebają z ludzi wszelkie głębsze zainteresowania*”.

Gdyby dąsając wymienić na dyskoteke, kino na video i dodać telewizję, wypowiedź ta doskonale przylegać będzie do „stanu na dzień dzisiejszy”.

Jeszcze jeden cytat z autora „*Nienasyceńca*”, przystający jak obszyty do Polski lat 80-tych, w którym przedstawia on Tytanom Duchu tzw. ludzi zwyczajnych:

„*Nie mówimy tu oczywiście o tak zwanych ludzich zwykłych. Ci zawsze są jednacy, czy w Zakopanem, czy w tropikach, czy w Laponii. Oni przystosowują się do każdego warunku, wszędzie znajdują odpowiedni „business” i wszędzie mogą wypompować mniejszą lub większą ilość pieniędzy*”.

Ze tak jest, każdy widzi.

CIĘKAWOSTKI

Ma Zakopane pewną ciekawostkę, o której warto wspomnieć. Jest nią stara oczyszczalnia ścieków. Ponieważ nowa rozlażuje się jeszcze przed zakończeniem budowy, pozostanie ta stara. A więc, wbrew zdrowemu rozsądkowi będzie się pompować pod górę piynne nieczystości, zużywając olbrzymie ilości energii. Z jednej strony hasła typu: gwałt zębna żarówka — a z drugiej takie właśnie pociągnięcia. Ciekawostką tę, ba, rewelacją, podaje Artur Górski w periodyku zakopiańskim „*Podtatrza*”, r. 1985. Autor szlachetnie postuluje, „aby te wszystkie urządzenia, w końcu wyjątkowe w skali światowej, pokazywać wycieczkom. Niech ludzie wiedzą, że niekoniecznie g... musi z przedem płynąć; może i pod prad, a nawet pod górę”. Z tego samego zeszytu „*Podtatrza*” dowiedzieć się można, że nieczystości z Białego Dunajca i Bukowiny Tatrzańskiej wozł się samochodem do Zakopanego, aby wlać je do tej oczyszczalni, która nie może oczyścić ścieków miejskich i potem mówi się, że Zakopane zatrzuwa wodą sąsiadom. Po co więc wozić ścieki w beczkowozach do Zakopanego, aby nie oczyszczone wlewać do rzeki? — słusznie pyta dziennikarz.

I jeszcze jeden kwiatek z łącki dziwności zakopiańskich, choć taki akurat spotkać można i gdzie indziej; skłonność bowiem do dętego narzewnictwa, w naszym kraju odbiega daleko od zdrowego rozsądku. Przy ul. Chałubińskiego stoi budynek, zwany „*katownią Podhala*”. Nazwa ta odnosi się do ponurych lat ostatniej wojny. Po wyzwoleniu znalazł tu swoją siedzibę ZBoWiD. Jeszcze później w budynku urządziło żłobek, który jest tam do dziś i do-brze. Tyle że ktoś, widocznie czuły na ciągłość tradycji wymyślił, by żłobkowi nadać imię Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, co dumnie obwieszcza pokazanych rozmiarów tablicą. Według mnie, żłobek powinien nosić imię Koziółka Małochka lub Kubusia Puchatka, a nie tak dostojnej organizacji. Nie dajmy się paranoi, panowie. A gdyby ktoś nadgorliwy, szalenie jakiś wpływowo uparł się, by Koło ZBoWiD nr 17, dajmy na to, przybrało imię Żłobka Tygodniowego w Zakopanem? He? Znaj proporcją, motcum panie.

Wymieniony już Artur Górski szuka wyjścia z zakopiańskiej matni absurdu i proponuje:

„*Skoro już wszystko musi być w Zakopanem na opak, niech będzie! Ale niech obok tych nieszbawionych działań pojawiają się i zwykłe, normalne rozwiązania, służące normalnym, przeciwnym ludziom. W końcu nie na wszystkich halach wiatry aż tak bardzo działają, aby bezkrytycznie musieli przyjmować za dobrą monetę najbardziej nawet groteskowe koncepcje i postąpienia. Może by więc umówić się w ten sposób: niech Zakopane rozwija się (skoro już musi się rozwijać) dwutorowo, niech, pewne sprawy będą załatwiane zwyczajnie, po ludzku, a inne — dla tych, którzy osiągnęli wyższy stopień wtajemniczenia — groteskowo, sztucznie, inaczej niż wszędzie*”.

Pierwszy to chyba przypadek na świecie, by schizofrenia zagroziła miastu. Do wielu nazw Zakopanego jako stolicy proponuje dorzucić jeszcze jedną: „*stolica polskiego absurdu*”.

A Stanisław Ignacy Witkiewicz tak kończy swój „*Demonizm Zakopanego*”:

„...możemy tylko błogosławić sily, które polski organizm obdarzył takim wyrostkiem robotniczym (któśki ślepe), jakim jest Zakopane. A można mieć nadzieję, że (...) nam nie grozi żaden apendicitis i mimo całej dozornej nieużyteczności Zakopane trwać będzie dalej i wytwarzać coraz to nowe formy psychopatologii polskiej”.

Co dał Boże, amen.

Syn Władysława Łokietka — Kazimierz był trzecim polskim królem o tym imieniu. Ojcowską spuściznę przejął w nie najlepszym stanie. Polska była zniszczona i splądrowana przez sąsiadów. Śląsk, Pomorze, Kujawy były w ich rękach. Spadkobierca Królestwa Polskiego zachował jedynie niespójne, rządzące się różnymi prawami i na dodatek sklęcone prowincje: Wielkopolską i Mazowsze. Swoją polityką potrafił nie tylko scalić kraj, ale dobić dla siebie i Polski wysoką międzynarodową pozycję. Mówi się o nim, że „został Polskę drewnianą, a zostawił murowaną”. Nazywano go też „Królem chłopów”. Przeciwnicy nazywali go na początku „Królikiem krakowskim” — co brzmiało wiele pogardliwie — ale później szanowali jako władcę, który miał mir u zagranicznych potentatów, którzy chętnie słuchali jego rad. W historii Polski pozostał więc jako Kazimierz Wielki.

A co znaczy... Wesoly?

Tak się już utarło, że wizerunki królów przekazują się potomnym jako ludzi bez skazy. Kazimierz III — wiadomo Wielki jest i koniec, bowiem „został Polskę drewnianą, a zostawił murowaną”, stawił zamki, aby broniły granic, powiększył terytorium państwa, odebrał od sąsiadów ziemie polskie, a i sąsiadom coś tam zabrał, napełnił skarby, prawa wprowadził, z Krzyżakami się wadził, wszechnicę w Krakowie założył, kościoły budował i gdy zmarł — zostawił pełny skarby, co w Polsce nie zdarzało się często. Ale jednocześnie Kazimierz Wielki

BYŁ RAPTUS I BAWIDAMEK

czego świadectwo dał z oburzeniem wewnętrznym Jan Długosz. Donosił potomnym, że Kazimierz Wielki „w celu zaspokojenia żądz trzymał w wielu miejscowościach i w wielu dworach mnóstwo kobiet lekkich obyczajów zebranych z różnych miejscowości. Odrzucił że węgrodą własną żonę, królową Adelajdę, kobietą bogobojną i pobożną”.

Żonę swoją — drugą zresztą, którą pojął był w 1341 roku — Adelajdę, córkę landgrafa heskiego Henryka II, zamknął w pięknym zamku postawionym w wypalanej cegły w Żarnowcu. Niczego jej tam nie brakowało z wyjątkiem małżonka, którego przez 15 lat oglądała raczej więcej niż rzadko. Sierpień ona nie mogła — jak pisze Jan Długosz — „że jest w pogardzie, a jednocześnie są zdecydowanie przedkładane nad jej czyste, uczciwe łóż”. Napisała więc do ojca, aby ją zabrał. Tak się też i stało. Rozwód nastąpił około 1356 roku, a Adelajda zmarła w Hesji w 1371 roku.

Kazimierz nie krepował się obecnością żony w Żarnowcu, „jawnie i pokatnie żył z nabożnicami, których tłumy jak jakieś siedliska sromoty — oburza się Jan Długosz — porozmieszczała w Opocznie, Czochowie, Krzczonowie i wielu innych miejscowościach”. Wesoly był to król, nie ma co dużo mówić.

A że był raptus świadczą sprawa wlkarego kościoła krakowskiego Marcina Baryczki. Było to w 1349 roku, gdy Kazimierz III wrócił z wyprawy na Rus, gdzie zdobył Luck, Włodzimierz Wołyński, Brześć i Chełm. Wrócił do Krakowa syty chwały i dumny ze swych czynów. Zgotowano mu też wspaniałe powitanie.

„A kiedy wkraczał do Krakowa — zapisał Jan Długosz — po odniesieniu tytu zwycięstwa i zdobyciu łupów na różnych wrogach, usłyszy mu naprzeciw wszystkie procesje wszystkich kościołów i wszystkie stany. A król poprzeczany zastępami rycerstwa, wiodąc ze sobą jeńców, wchodził do Krakowa z wielką pompą i paradą, na oczach wszystkich, godzin podziwu i pełen chwały”.

Kazimierz — posadza go o to Jan Długosz — dumny z tego, że sprawy w państwie pomyślny biorą obrót, odrzucił prawość i skromność, „którymi się dawniej odznaczał, popada w złą rozpustę i popędlivość”. Nie słuchał napomnień i przestroż biskupów. Nie posłuchał wezwania papieża Klemensa VI, aby nabożnie odsunął i żył zgodnie ze swą prawowytą małżonką. Mało tego, że nie słuchał biskupów, to na dodatek targnął się na majątki kościelne.

Nakazuje wojewodzie sandomierskiemu Ottonowi z Pilczy z rodu Toporzyców, aby ścigał powinności z wsi biskupich, jakie należały do dzierżawy zlockiej, a położone były w pobliżu Sandomierza. Na taką zachwałność króla biskup krakowski Bodzanta nakłada kary kościelne na Ottona z Pilczy. Jako tego, który wykonuje rozkazy królewskie i jest bezpośrednim winowajcą naruszenia majątku kościelnego. Gdy to nie pomaga, nakłada kary kościelne na Kazimierza III. Biskup krakowski Bodzanta wysłał do króla wikarego Marcina Baryczkę. Ten bez strachu staje przed monarchą i wzywa go do wykonania poleceń biskupa krakowskiego.

Kazimierz III, zwany później Wielkim, popada w gniew ogromny, ale powstrzymuje się przed rękoczynem, jedynie obraża wikarego Marcina Baryczkę słowami obraźliwymi, jak dziś powiedzielibyśmy słowem publicznym. Marcin Baryczka odchodzi wolny i cały, ale rycerze nie mogą tego przebaczyć ani zachwałnemu wikaremu, ani królowi, że na taką zachwałność pozwolił. Król jest wsiekły, ale powstrzymuje swój gniew. Rycerze i studzy namawiają go jednak, aby zgładził zachwałca. W końcu ulega namowom i rozkazuje, aby w dniu św. Lucji schwymano Marcina Baryczkę i w Wiśle utopiono. Tak się też stało, a Jan Długosz komentuje, że tym samym powtórzył czyn Bolesława II, który zabił biskupa Stanisława Szczepanowskiego i w pewnym sensie swego ojca, Władysława Łokietka, który spoliczkował biskupa wrocławskiego Nankera.

Nim został królem Kazimierz

BYŁ SPRAWCĄ TRAGEDII PIĘKNEJ KLARY ZACH

Siostra Kazimierza — Elżbieta była trzecią żoną króla węgierskiego Karola Roberta Ande-

gańskiego. Ich synem był późniejszy król węgierski i polski Ludwik Węgierski. Na dwór Karola Roberta często przyjeżdżał Kazimierz — brat Elżbiety. „która go kochała więcej niż brata” i gotowa była dla niego wiele uczylić. Tak też i stało się.

Na dworze króla Karola Roberta i Elżbiety Łokietkowej był szlachcic imieniem Felcjan zwany. Ów był niegdyś ubożego stanu, ale poszedł był na służbę do wojewody transylwańskiego Mateusza z Trenczyna, gdzie dorobił się wysokich godności oraz dużego majątku. Sądzić można było, iż ubogi szlachcic tak wysoko wyniesiony służyć będzie wiernie. Pozór to wielki. Na ogół — jak mawiają Chińczycy, a ówczesni Polacy nie mogli znać przecież tej chińskiej mądrości — apetyt rośnie w miarę jedzenia. Kto ma dużo, chce mieć jeszcze więcej. Tak więc Felcjan, gdy tylko zrozumiał, że może dalszą karierę robić na dworze Karola Roberta, skorzystał z takiej możliwości, porzucając służbę u wojewody transylwańskiego Mateusza z Trenczyna.

Na dworze Karola Roberta ów szlachcic Felcjan wszedł pomiędzy najwyższych rangą panów, poznał wszelkie tajemnice dworu i był szanowanym sługą króla. Aż do 17 maja 1330 roku.

WITOLD BOROWY

Kazik Trzeci, wielki i wesoly

Wśród dworów królowej Elżbiety była panna przedudnej urody, inne panny dworski urodą wyraźnie przewyższająca. Była to Klara Zach, córka Felcjana. Gdy Kazimierz ją ujrzał zapalał tak silną żądzą, że nie zważał się zwrócić do Elżbiety, aby mu ją do łóżka przyprowadziła. Elżbieta — jako się już rzekło — tak kochała Kazimierza, że nie była w stanie mu odmówić. Kazimierz legł więc w łóżu i markował chorobę. Elżbieta przysłała z Klarą pod pozorem, że chce w cztery oczy z bratem o czymś ważnym porozmawiać, odprawiła resztę służby, zatrzymując przy sobie jedynie Klarę. Poszeptala chwilę z bratem i wysłała zostawiając Klarę na pastwę braterskich żądz. A on sobie do woli pofolgował.

Elżbieta uważała takie zhańbienie Klary „za male, zupełnie bez znaczenia przewinienie” i była przekonana, że „nie wyjdzie ono na światło dzienne i nie spowoduje żadnego nieszczęścia”. Stało się zupełnie inaczej. Zgwałcona Klara i „do syta wykorzystana” przez Kazimierza, poszła jednak do Felcjana, ojca swego, i w tajemnicy powierzyła mu swój sekret, iż została zgwałcona przez polskiego królewicza. Ale ów królewicz — Kazimierz Wesoly — był już w drodze do Polski, gdzie w niedługim czasie czekała go korona królewska. Królem Polski został bowiem w 1333 roku.

Felcjan „uniestony wielką butą i ślepą żądzą zagarnięcia królestwa” postanowił zemścić się okrutnie. Był może gwałt na jego córce Klarze przyspieszył decyzję. 17 maja 1330 roku, gdy król Karol Robert i jego żona wraz z dziećmi jedli obiad, wtargnął Felcjan z synem i służbą i usiłował zamordować parę królewską i ich potomków. Czynił to jednak taknieudolnie, że króla ranił lekko w rękę, Elżbięcie uciął cztery palce u ręki. Widząc nieudany zamach na życie pary królewskiej rzucił się Felcjan mordować synów, ale tych zastanili ich opiekunowie. Opamiętała się wówczas zaskoczona straż i rozniosła ciało Felcjana na ostrzach mieczy.

ZEMSTA BYŁA KRWAWA

Takich spraw wówczas nie darowywano. Schwymano syna Felcjana, który chciał trwać przy

ojcu do końca, jak i sługi jego, które poucielekały w popiochu widząc kłęką swego pana. Przywiązano ich wszystkich do ogonów końskich i wleczono po polach tak długo aż pozostały tylko gołe kości.

Głowę Felcjana przesłano do Budy, ręce i nogi oraz inne części jego ciała znakomitszym miastom, aby przybito je do bram miejskich na wieczne pohanie i przestrożę dla innych.

Panowały wtedy okrutne zwyczaje i jeśli ktoś naraził się królowi i nawet poniósł karę, to wina jego spadała na całą rodzinę bliższą i dalszą. Klarę wyciągnięto spośród dworów, okrutnie oszpecono. Obcięto jej nos, wargi i palce obu rąk. Tak okaleczoną wleczono po wsiach i miastach na ludzkie pośmiewisko. Zmuszano ją, aby publicznie przekonywała gapów, iż jest szlachcicem oszpeconą, gdyż była współwinną zbrodni ojca. Gdy ją wreszcie zamęczone, odszukano drugą córkę Felcjana — Zebę, którą zgładzono wraz z mężem Kopayem. Rodzinę Kopaya wygnano z Węgier. Również wielu krewnych Felcjana zbiegło z Węgier i o dziwo — schroniło się w Polsce. Zamieszkał oni tutaj i żyli zupełnie bezpiecznie. Zwano ich Amadejami i niekiedy twierdzą, że nazwisko Madej od Amadejów pochodzi. Czy Zbój Ma-

dej był też z tego rodu — trudno to powiedzieć.

Kazimierz Wielki

BYŁ CZŁOWIEKIEM WIELCE ZŁOŻONYM

Nie pasował do wzorów królów średniowiecznych — jak pisze Henryk Samsonowicz — „władców-rycerzy”, „trubadurów”. Zapowiadał już raczej typ nowego władcy. Charakterem, sposobem życia, bycia, złożonością swojej natury zbliżał się do sylwetki późniejszego władcy, jakim był choćby francuski Henryk IV, czy angielski — dobrze nam znany z serialu telewizyjnego — Henryk VIII. „Był bohaterem czasów nowożytnych” — pisze Henryk Samsonowicz — „zaplątanym w średniowiecze, a posiadającym jeszcze wiele cech charakteru właściwych dla swojej epoki”.

Sam czasem nie przestrzegał prawa, potrafił być niekiedy niesprawiedliwy, ale od innych wymagał posłuszeństwa. Po zamordowaniu wikarego Marcina Baryczki, dla przybliżenia Boga za grzechy, posłał kanclerza do brzyńskiego i plebana bocheńskiego Alberyka do papieża Klemensa VI, aby ten darował mu grzechy i wyznaczył pokutę. Przy okazji wszakże — i to dobrze o nim świadczy jako o władcy — polecił Alberykowi, aby sprzeciwił się żądaniom arcybiskupa praskiego przyłączenia doń katedry wrocławskiej. Alberyk miał udowodnić Klemensowi VI, że „katedra wrocławska pozostała przy arcybiskupstwie gnieźnieńskim, a Kazimierz otrzymał pokutę, dokładnie ją wykonał. Zwrócił wolność wszystkim wsiom katedry krakowskiej, a „następnie wybudował nakładem wielkich kosztów z kwadratowych, ciasnanych głazów kościół wiślicki”.

Chciwość ludzka nie ma granic. Pycha również. Ale czasem chciwość i pycha idą razem z głupotą, zarozumiałstwem. Coś takiego około 1358 roku przydarzyło się Maćkowi Borkowicowi, któremu Kazimierz Wielki nadał godność wojewody poznańskiego. Był to „szlachcic staw-

ny z bogactw i rodu”. Kazimierz dał mu godność wojewody w przekonaniu, że kraj będzie miał z tego korzyści. Ale Maciek Borkowie krajowi wyrządził wielkie szkody. Dawał on bowiem schronienie złodziejom i rabusiom, choć powołany był do ich zwalczania. Podsuwał im nawet pomysły, kogo i gdzie obrabować, czyli — jak byśmy dziś powiedzieli — nadawał robotę. Wieści o tym dotarły do króla, a ten wymógł na Maćku Borkowicu przyrzeczenie, że więcej tego czynić nie będzie. Alścił czynił nadal, nic sobie nie robiąc z królewskich zakazów.

Doszła króla też plotka, że mości wojewoda poznański romansował z królową, czemu się dziwić nie należałoby, jako że król małżonkę srodze zaniedbywał. W każdym razie Kazimierz wezwał Maćka Borkowica do Kalisza, uwięził go i zesłał do Olsztyna (miejscowości koło Czeszochowy), gdzie w lochu zamknął kazał skazując go jednocześnie na śmierć głodową. Dawano mu na przykład wiązki siana i kubek wody, a wsieklność skazańca była tak wielka, że sobie własne ciało wygryzał z rąk i innych miejsc.

Brat Maćka Borkowica — Jan miał zamiar podnieść rokosz w zemście za Maćka, ale król uderzył pierwszy i zgładził go. Syn Maćka natomiast uciekł do Saksonii, przebywał też w Marchii Brandenburskiej, skąd robił wypadki do Królestwa Polskiego napadając na szlachtę i kupców, pałac majątki i czyniąc wiele szkód.

Kazimierz po śmierci Maćka Borkowica, który umierał przez 40 dni z głodu i przyjmując ostatnie namaszczenia przyznał, że ponosi śmierć zasłużoną, zabrał wszystkie majątki rodu Borkowiców i włączył je do swoich dóbr.

Nadal też interesował się kobietami. W Pradze

POZNAŁ CZESKĄ SZLACHCIANKĘ KRYSZYNĘ ROKICZANĘ

Była to ponoć kobieta niespotykanej urody. Spotykał się z nią lekko jeździł do Pragi. W końcu naklonił ją do przeniesienia się do Polski. Zawiózł do opata tynieckiego, który przebrawszy się w szaty biskupie dał im ślub. Król — jak utrzymuje Jan Długosz — gorąco kochał Kryszynę Rokiczaną. Musiał ją jednak w końcu przegnać. Oto doszły go plotki, że jest ona... „fysa i ma świerzb”. Najpierw nie uwierzył. Potem postanowił się przekonać o tym osobiście.

W tym miejscu ogarniają mnie wątpliwości. Toż Kazimierz nie przywoził do Polski Kryszynę Rokiczaną tylko po to, aby grać z nią w szachy. Któż zatem lepiej mógł wiedzieć od niego, czy Kryszyna Rokiczana jest fysa i czy ma świerzb? Czyż musiał dowiadywać się tego od pokojówki? Ale Jan Długosz — z powodów zupełnie zrozumiałych — nie lubił kobiet, z którymi żyli królowie, a które nie były ich legalnymi małżonkami. Píše więc, że Kazimierz zaprzegnał sam przekonany, że Kryszyna R. jest fysa i ma świerzb. A gdy to stwierdził, „natychmiast ją usunął i wziął sobie za nabożnicę kobietę żydowskiego pochodzenia Estere”, która też była piękna. Widać dobry gust miał ten Kazimierz Wesoly.

Jan Długosz pisze dalej, że Kazimierz miał z Estera dwóch synów: Niemierzę i Pełkę. choć właściwie miał ich z Cudką żoną Niemierzy z Golezyna. Obaj zresztą dość wcześnie zeszli z tego świata. Pełka zmarł przedwcześnie śmiercią naturalną, a Niemierzę zabili mieszczanie z Koprzywicy. Kiedy po śmierci Kazimierza był na służbie u Władysława księcia litewskiego, znanego później jako Władysława Jagiełły, króla polskiego.

Jan Długosz miał za złe Kazimierzowi Wielkiemu, że pozwolił córce Estery wychowywać w religii mojżeszowej. Ale król polski znany był z tolerancji.

Na koniec przedstawimy za Janem Długoszem

WIZERUNEK KAZIMIERZA III

„Był to mężczyzna wysoki, tępi. Jego twarz budziła szacunek. Włos miał obfity i kręty. Broda opadała mu na piersi. Jąkał się trochę, ale głos miał donośny. Okazywał skłonność do ucztowania, miłostek i innych rozkoszy (...) Był człowiekiem lubieżnym i niepanowanym w stosunku do kobiet”.

Był też człowiekiem łatwym w kontaktach z ludźmi. Dostęp do niego był łatwy dla ludzi różnych stanów. Był łagodny i sprawiedliwy, „nie dopuszczał, by panowie i dziedzice wyrządzali krzywdę i niesprawiedliwość własnym chłopom i strzegł ich jak jakiegoś szczególnego skarbu”.

„Otyły, postawny, o pełnej twarzy, lakomy, z natury pałał tak miłością do ojczyzny że o nie bardziej nie zabiegał, jak o to, by jej pomóc i zapewnić jej jak najwięcej zaszczytów. Miłość jego do ojczyzny była tak wielka: tak bezgraniczna hojność i troskliwość o jej usuietnienie, że miłością przewyższał wszystkich królów polskich, swych poprzedników oraz następców, aż do naszych czasów”. Czyli do czasów Jana Długosza.



Intejał Kazimierza Wielkiego na wrotach katedry krakowskiej.

Byla wiadnie duża przerwa. Kazik zapukał do drzwi sekretariatu. Nie usłyszał słowa „proszę”.
 — Pan w jakiej sprawie? — Starsza kobieta podniosła głowę z kłosa maszyn do pisania.
 — Chciałem rozmawiać z panią dyrektorką.
 — Pani dyrektor jest zajęta. Pan był umówiony?
 — Nie. Nie wiedziałem zresztą, że trzeba się umawiać.
 — A o co chodzi?
 — To sprawa osobista.
 — Jeśli osobista... Niech pan zaczeka.
 Zniknęła za drzwiami obitymi skórą. Wróciła po minutce.
 — Może pan wejść. Ale pani dyrektor nasprawę ma bardzo niewiele czasu.

Za biurkiem siedziała pani w wieku bliżej nieokreślonym. Kazik zwrócił uwagę na duże okulary i na odznakę „Solidarności” przypiętą do swetra. Nie wstała, nie podziękowała, co go trochę speszyło, ale tylko na chwilę.

— Pan ma do mnie jakąś osobistą sprawę podobno. Słucham pana. Proszę, niech pan spocznie — wskazała ręką na krzesło.
 — Przyszedłem, bo chciałem pomówić o przyszłości, o przyszłej nauce — poprawił się — Marii Piszczoly.
 — Pan jest jej bratem? Wolalabym rozmawiać z ojcem. Znam go zresztą z pracy związkowej. Ale właściwie o czym tu gadać? Uczy się dobrze, nie mamy z nią żadnych kłopotów wychowawczych.

Kazik poczuł, że czoło lekko mu zwilgotniało. Najwyraźniej zaczynał się pocić, podobnie jak niekiedy przy egzaminie.
 — Widzi pani dyrektor, to i tak długo nie może pozostać tajemnicą. Chciałem więc szczerze z panią dyrektorką porozmawiać. Spojrzała na niego z wyraźnym zaciekawieniem.

— No więc słucham pana.
 — Widzi pani dyrektor — zląkał się na tym, że po raz drugi powtarza „widzi pani dyrektor”...
 — Proszę, proszę do rzeczy!
 — Jestem mężem Marii Piszczoly...
 — Co? Co? Mężem? Cóż za żarty się pana trzymają?
 — Żadne żarty. Majka i ja jesteśmy pełnoletni, nasz ślub odbył się przed kilkoma dniami.

— Zachowaliście to wszystko w takiej tajemnicy?
 — Nie mogliśmy inaczej.
 — Jak to nie mogli? Pan chyba zdaje sobie sprawę, że nie mamy w szkole uczennic-mężatek. To nie jest szkoła wieczorowa, ale normalna. Nie dopuścimy...

— Doskonale wiem, pani dyrektor. I jeśli mam mówić do końca, to pragnę panią dyrektorkę poinformować, że Majka spodziewa się dziecka.

Rabnął tak prosto z mostu, ale nie mógł już tego słyszeć w sobie. Nie spuścił oczu, cały czas śmiało spoglądał na dyrektorkę. Ciągłe nie wiedział, jaka będzie jej reakcja. Nie chodziło mu o siebie, mogła go nawet wyrzucić z gabinetu, ale o Majkę, która przeleżała tak czy inaczej musiała kształcić się nadal. Postanowił sobie wziąć za punkt honoru, aby nie zmarnowała roku i przygotowała się do zdania matury.

Dyrektorka milczała. Ta chwila przeciągała się. Musiał zaskoczyć ją zupełnie. Może zbierała myśli, zastanawiała się, jak zareagować. Kazik nie wiedział, że nigdy jeszcze nie znalazła się w takiej sytuacji i żadnych doświadczeń pedagogicznych nie mogła wykorzystać.

— Tak... — wzięła słowa. — Pan pracuje?
 Takiego pytania z kolei Kazik się nie spodziewał, toteż speszył się lekko.

— Studiuję prawo, pani dyrektor.
 — I z czego myśli pan utrzymać żonę?
 — Czy to ma jakikolwiek znaczenie?
 — Jest pan niegrzeszny, młody człowieku!

Kazik bardzo nie lubił, jeżeli ktokolwiek zwracał się do niego per „młody człowieku”.

— Nie przyszedłem do pani dyrektor prosić o jakąkolwiek pomoc materialną.
 — Domyślam się. Oczekuje pan innej pomocy, ale ja tu jestem raczej bezradna. Wy, młodzi, jesteście bardzo lekkomyślni. Sami potrzebujecie jeszcze wychowawców, więc jak możecie wychowywać innych? Pan wie, co znaczy dziecko? Jak to obowiązk?

— Nie przyszedłem do pani dyrektor na egzamin...
 Teraz ona się zdenerwowała i lekko uniosła z fotela.

— Dostać! Właściwie nie mamy o czym rozmawiać. Proszę powiedzieć żonie — ostatni wyraz szczególnie zaakcentowała — żeby od jutra nie przychodziła do szkoły. Ja mam to uczynić?

Kazik nie chciał takiego finału, a może zorientował się, że przez moment był niegrzeszny.

— Przepaszam — zmitygował się. — Naprawdę chciałem panią prosić o pomoc, ale o pomoc nieco innego rodzaju.

— A mianowicie? — Usiadła i jakby lekko się opanowała. — No, słucham pana.

— Wydawało mi się, że Majka mogłaby zdawać maturę przygotowując się do niej indywidualnie.

— Sądzi pan, że to się uda?
 — Pomogę jej. Moja matka też jest nauczycielką.

— Tak? — Coś jakby cień uśmiechu przemknął po jej twarzy. — Może ja znam?

— Dolińska się nazywa.
 — Ach, pani Barbaro! Słyszałam, słyszałam... Zaraz, to pan jest synem redaktora Dolińskiego? Nowego naczelnego Gazety?

— Jestem, ale to nie ma nic do rzeczy.
 — Oczywiście, że nie ma, ale jeśli pana matka gotowa pomoże synowej, to cały problem przedstawia się zupełnie inaczej. Trzeba było od tego zacząć!

— Za biurkiem siedziała teraz zupełnie inna kobieta. Zmienił się ton jej głosu.

— Właśnie — kontynuowała — podziwiam pana, że pan tak bez żadnej protekcji...

— Staram się liczyć przede wszystkim na siebie.
 — Słusznie, słusznie. Do was, młodych, cały świat należy. Wyście zrobili Sierpień. Wyście otworzyli przed Polską nową epokę! „Truje” — pomyślał Kazik. Nigdy nie lubił wielkich słów, niezależnie od tego z jakich pozycji by je wypowiadano. Nie dał jednak poznać tego po sobie.

— Proszę powiedzieć ojcu, że czytuje jego Gazetę. No, nie ze wszystkim się zgadzam, ale nabrała ona trochę rumieńców. Ja też proszę pana, należę do partii. Prawie wszyscy nauczyciele, członkowie partii, z naszej szkoły wstąpili do „Solidarności”.

To w tej chwili Kazika wcale nie interesowało. Liczyła się tylko Majka i dlatego cieszył się, jakby słońce przedarło się przez chmurę.

Dyrektorka zorientowała się, że za bardzo zбочzyła z tematu.
 — Będzie musiała postawić te sprawy na posiedzeniu rady pedagogicznej. Może jeszcze zajdzie potrzeba porozumienia się z kuratorem, ale sądzę, że wszystko da się jakoś załatwić.

— A Majka? Może jeszcze chodzić do szkoły?
 — Hmm... Sama się zastanawiam. Przecież w takiej sytuacji małżeństwa nie da się utrzymać w tajemnicy. Ja znam dziewczęta, dobrze znam. Na razie zróbmy tak: niech pan Piszczola napisze jej usprawiedliwienie. Ze chorej. Ze ma grype, albo coś takiego, a my się zastanowimy, co robić dalej.

— Obawiam się, że mój teść nie podpisze takiego papierka. Jest na to za uczciwy.

— Dobrze. Ma pan rację. Ja od siebie coś powiem wychowawczyni, albo od razu ja wtajemniczę. Niech pan do mnie wpadnie za kilka dni.

Wstała i podała mu rękę. Ucałował ją szarmancko. Miał powód do zadowolenia. Niedźwiedźca nie okazała się tak straszna, jak początkowo miał prawo przypuszczać.

Na korytarzu spojrzął na zegarek. Majka mówiła, że dziś ma tylko cztery godziny lekcyj. Postanowił na nią zaczekać na dworze.

Czekał dość długo, chociaż kolejna przerwa już się kończyła. Trochę się zaniepokoił, ale przecież wcale się z nią nie umawiał, nie wiedział zresztą rano, kiedy dyrektorka go przyjmie.

Ale w końcu ją zobaczył. Wybiegła w gronie kilku koleżanek. Cała czwórka podeszła do niego.

— To mój chłopak. Kazik się nazywa. Moje kumpelki — Irka, Ania i Iwona — powiedziały.

— Przystojniaczka sobie znalazła! Ale, ale — zawołała nagle jedna z nich — ładnie to tak z żonatym flirtować? Ona ma obrączkę na palcu!

Majka zaczerwieniła się, a Kazikowi przez moment inowę odebrało.

— Majka, nie przejmuj się — oświadczyła ta, którą przedstawiono mu jako Iwonę. — Zonaty, czy niezonaty, ale fajny. Podobno mi się. Masz dobry gust. Ale pana żona nas tu nie pobije?

Dalej minęła niepewna, ale Majka przejęła inicjatywę.

— Jakie wy jesteście głupie, dziewczyny! Obrączka ma świadczyć o małżeństwie? Każdy może ją sobie nałożyć. Tylko szpanu dodaje. Chłopak z obrączką staje się bardziej interesujący. Chodźcie, wstąpimy na kawę. Ja funduję! — Powiedziała to, ale po chwili już była zła na siebie, bo jak najszybciej chciała roznać rezultat rozmowy Kazika z dyrektorką. Przy nich nie mógł przecież zdawać relacji. Ale słówko się rzekło, a one z ochotą przyjęły zaproszenie.

— Zgodzi! — Kazik zdążył się już opanować. — Pójdziemy, ale pod warunkiem, że ja zapłacę. Nie pozwolę, żeby mi dziewczyna stawiała!

MAREK ADAM JAWORSKI

Taniec w tunelu

(6)

— Jeżeli już tak bardzo chcesz, to możesz sam zapłacić za siebie, ale koleżanki to ja proszę. Zresztą to moje koleżanki, a nie twoje. Jeszcze trochę i zechcą ci się rewantować. Ja jestem zazdrośna! — Majka uśmiechnęła się i pociągnęła go za rękaw. — Idziemy!

Kawiarnia znajdowała się bardzo blisko szkoły, ale żadna z dziewcząt nie chciała do niej wstąpić, chociaż Kazik bardzo namawiał. Majka wyjaśniła, dlaczego stronią od tego właśnie lokalu:

— Tutaj można spotkać ciabło pedagogiczne!

— Boicie się? Wkrótce maturę, a zachowujecie się, jakbyście dopiero zaczynali szkołę średnią.

— Nie w tym rzecz. Nikt nam nic nie powie, bo przecież żaden regulamin nie zabrania pójścia na kawę, ale potem mogą nam w budzie dokucać.

— A tak! — podchwyciła ta, którą Kazikowi przedstawiono jako Iwonę. Zwrócił uwagę na jej duże oczy i gęste brwi nad nimi, a także na wysmukłe nogi. Ta dziewczyna mogła się podobać i zapewne musiała mieć powodzenie. — Widzisz, widzi pan — poprawiła się — będą się do nas przychrzaniać. Którąś zle odpowie i zaraz usłyszy: „No pewnie, jak się chodzi po lokalach, to się nie ma czasu na naukę!” Ty nie wiesz, jakie wredne potrafią być nasze beferki!

— Nie przesadzaj! Nie każda zaraz się czepia. Ale kto ci pozwolił mówić do mojego chłopaka per ty? Ja się nie zgadzam! — Brzmiało to bardziej żartobliwie, niż poważnie, chociaż Majka starała się zachować kamienny wyraz twarzy.

Przejeżdżała właśnie wolna taksówka. Kazik unosił rękę do góry. O dziwo, zatrzymała się.

— Ciejki plątki to ja nie wezmę. A gdzie chcecie jechać?

— Do „Kaprysu”. Jakos się pomieścimy, ja panu dopłać.

— Pan dopłaci, a milicjant wasunie mi mandat. Wsiadajcie zresztą, ja drogówki od dwóch miesięcy nie widziałem.

Nie wiadomo, czy to zapowiedź dopłaty zrobiła na nim wrażenie, czy też uległ urokowi młodości. Kazik zajął miejsce z przodu, a dziewczęta wsiadły się na tylnie siedzenie.

— Niech jedna z was schyli głowę, aby nie rzuciła się w oczy — dyrgnęła kierowca.

— Ja tam swojej córki nie puszczam do kawiarni — powiedział, gdy ruszyli. — A gdybym ja zobaczył w „Kaprysie”, to bym jej dobrze wygarbował skórę.

— Pan bije swoją córkę? — Majka i Iwona wypowiedziały te słowa równocześnie.

— Jak trzeba, to się i uderzy. Musi znać mores. Do „Kaprysu” różne typy przychodzi. Wiem co o tym. I pełno Arabów, którzy tylko się oglądają i myślą, co o by tu upolować. Mają zielone to i szaleja, ale że nasze dziewczyny lecą do nich jak ćmy do lampy? Rozpuszta. Jedna wielka rozpusta. I co rok to gorzej.

[...] Dojechali na miejsce. Kazik dopłacił do kursu 50 złotych. Kierowca chuchał na banknot. „Zagram w totka. Może polski zielony przyniesie mi szczęście?”

W kawiarni z trudem znaleźli wolny stolik. Jacyś goście właśnie uiszczał rachunek.

Jak zwykle, długo musieli czekać na kelnerkę. Ale im i tak się nie spieszyło.

Na stoliku pod szkiem zauważyli kartkę zadrukowaną jakimś tekstem.

„Pamiętaj! — przeczytał Kazik na głos — że w najbliższą sobotę nie idziemy do pracy. W ten sposób dajemy wyraz protestu przeciwko bezprawnym poczynom rządu. Wszystkie soboty mają być dniami wolnymi od pracy. „Solidarność” walczy o interesy wszystkich ludzi pracy!”

— Do szkoły też nie powinniśmy iść — wtrąciła się Iwona.

— Rzymianie mawiali: nulla dies sine linea — rzucił Kazik.

— Co to znaczy? Tylko nie bujaj i nie strugaj takiego madrała! — Iwona naburmuszyła się, bo ona zawsze chciała być najważniejsza.

— Ani jeden dzień bez kreski, gdyby przetłumaczyć dosłownie. Tak Pliniusz Starszy powiedział o greckim malarzu Apellecie.

— Bez kreski, to znaczy?

— Boże, jakie wy jesteście ciemne! Ani jeden dzień bez owocnej pracy! Tak można to rozumieć.

— Kazik, ty nas nie obrażaj! My się w szkole łaciny nie uczymy. — Majka też uważała, że Kazik zaczyna już pokazywać, kto to on!

— A ja niby się uczyłem? Każdy człowiek powinien choć trochę orientować się w sprawach przeszłych. Od Rzymian można się wiele nauczyć.

— Ale Rzym diabli wzięli. Oni byli niby tacy genialni, a dali się pokonać barbarzyńcom. Czy ty myślisz, że my takie ciemne i historii nie znamy?

— Co podać? — Głos kelnerki nie brzmiał sympatycznie.

— Cztery kawy i po ciastku — zadysponował Kazik.

— Duże kawy czy małe?

— Oczywiście, że duże.

— A ciastka?

— Też duże!

— Niech pan nie żartuje!

— Wcale nie żartuję. Zdziwiony jestem, że jest jakikolwiek wybór. Wie pani zdajemy się zupełnie na panią. I daję słowo, że nie będziemy wcale reklamować. No i może da nam pani po lampce wina. Prawdziwego wina, nie chcemy „czaru PGR-u”.

zmużonym, że Majka nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

— Co z tobą? — zapytał Kazik, ale i on uśmiechnął się od ucha do ucha. Czuł się zupełnie odprężony. Ta rozmowa z dyrektorką uspokoiła go, wiedział już, że wszystko jakoś się ułoży. Szedł jednak do szkoły jak na ścieśle. Nie miał żadnego planu, był skazany na improwizację. Najchętniej zrzucałby tę „misję” na ojca, ale i tak dobrze zdawał sobie sprawę, że zarówno ociec, jak i matka zachowali się niezwykle fair, bo kiedy zaczęło się TO, co skończyło się w USC, mógł oczekiwać wszystkiego. Wszystkiego najgorszego. Jego kolega niedawno znalazł się w podobnej sytuacji. Rodzice najwyraźniej wyrzucili go z domu. Oświadczyli, że nie chcą być bękartami. Kazik bardzo dobrze pamiętał, jak ów kolega, syn wielkiego działacza spółdzielczości wiejskiej, wynajął sobie pokój sublokatorski. A żeby opłacić komorne, zatrudnił się jako roznosiciel mleka do mieszkań. Wstawał o trzeciej, ganiał po piętrach, pot mu ściekał z czoła i tak czas mijał do siódmej. Później zjadał śniadanie i biegł na wykłady. Ponieważ pieniędzy ciągle było za mało, zgłosił się do spółdzielni studenckiej i malował mieszkania. Jak w takich warunkach mógł jeszcze znajdować czas na studia, ba — w czasie egzaminów okazywał się, że każda trójkę przeżywał boleśnie, tego już Kazik w żaden sposób nie rozumiał.

[...] — Co taka cisza? — spytała Iwona. — Majka, twój chłopak jest straszny milczek. Może ja się za niego wezmę?

— W jaki sposób? — Majka spojrzała na Kazika z rozbawieniem.

— Normalny. Po prostu zacznę go uwodzić.

— Niestety, moja droga, jestem już zajęty.

— I to podwójnie! Szanowna małżonko, o czym świadczy obrączka, i moja koleżanka. Majka, czy naprawdę nie masz na widoku żadnego kawalera?

— Może i mam, ale ja go kocham!

— I sądzisz, że on się rozwiedzie dla ciebie? Myślisz, że ja wierzę, iż on tę obrączkę nałożył dla szpanu? Podpalałaś żonatego. Twoja sprawa, co mnie to właściwie obchodzi...

Kelnerka przyniosła kawy, wino i ciastka. A były to napoleonki, które Kazik lubił szczególnie.

— Teraz trzeba — powiedziała jedna z dziewcząt, chyba Ania, chociaż Kazik nie odróżniał Ani od Irki — aby twoja żona tutaj wdepnęła.

Iwona puściła oko.

— Wypijmy to wino, jeśli Kazik już postawił.

Opróżnili kieliszki do połowy.

— Dobre wino! — Majka uśmiechnęła się. — Stanowczo wolę wino od wódki. Nie wiem, co ludzie widzą w mocnych trunkach. Kiedyś się, Kaziku, pobierzemy, będziemy spijali tylko i wyłącznie wino.

— Tylko i wyłącznie? Powiedzieć, do licha, jak to z wami jest? On się rozwodzi? — Iwona nie mogła zaspokoić ciekawości.

— Jak się może rozwodzić, kiedy jest kawalerem? Mówilam wam, że to mój chłopak.

— A ta obrączka? Rzeczywiście nosi ją tylko dla szpanu?

Kazik nie mógł już wytrzymać. Po rozmowie z panią dyrektorką było mu już właściwie wszystko jedno. I tak sprawa musiała się wydać. I to wydać bardzo szybko.

— Dziewczyny, trzymajcie się krzesel! Ale przedtem musimy opróżnić kieliszki do końca!

— Jakaś rewelacja! — Iwona traciła kolaniem Kazika. Niby przypadkowo, ale on wiedział, że tak nie było. Tym bardziej sam się bawił z góry tym, co miało za chwilę nastąpić.

[...] — Dziewczyny... dziewczyny... — powtórzył Kazik: — Słuchajcie i patrzcie.

Spoglądały na niego ze zdziwieniem. A Kazik sięgnął do lewej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej portfel.

— Będzie nam imponował forsa! Może jeszcze zielonymi? Kaziczku drogi, my nie takie... — Iwona nagle zmieniła ton.

— Spokojnie, spokojnie! W portfelu są nie tylko pieniądze, jest i dowód osobisty.

— Wszystko jasne! Chcesz nam pokazać, że nie jesteś żonaty, że nie masz żadnego stempelka. Znamy takich! Stempelka można wywabić. Ktoś mi opowiadał, jak to się robi! — Iwona podniosła głos. — Strasznie nie lubię kancelarzy! Ty sobie, Kazik, możesz bujać Majkę, ale nie mnie. Ja na to jestem za cwana.

[...] — Daj mi wreszcie dojść do słowa! To jest mój dowód osobisty, Iwona. Popatrz na tę stronę. Sądzisz, że ona jest czysta? Nie, popatrz dokładnie: jestem żonaty.

— Od początku ci podejrzewałam.

— A gówno! — Kazik nie mógł ukryć zdenerwowania. — Przeczytał sobie, idiotko!

— Tylko nie „idiotko”!

— Poczytaj, kto jest moją żoną! Masz oczy otwarte? Maria Piszczola!

[...] Najpierw zapanowało milczenie, dziewczętom jakby dech zaparło. Spoglądały to na Kazika, to na Majkę ze zdumieniem i niedowierzaniem zarazem. Dowód osobisty krajał z ręk do rąk, obmacywany na wszystkie strony.

— Majka, pokaż teraz swój! Muszę twój dowód zobaczyć, koniecznie muszę! — Iwona chciała być pewna w stu procentach.

— Jeszcze wam mało? Ale myślałam, że Kazik bardziej potrafi zachować tajemnicę. — Sięgnęła do torebki: — Wybaluszajcie gąs!

Historia się powtórzyła, teraz jej dowód stał się obiektem powszechnego zainteresowania.

— Majka, jak mogłaś? Jak mogłaś! Nawet nam, swoim najmilszym przyjaciółkom, o tym nie powiedziałaś? Wszystko utrzymałaś w tak wielkiej tajemnicy? Trzymalibyśmy język za zębami!

— Z pewnością bym w to uwierzyła! Wy i język za zębami! Wy, największe gaduły w całej szkole!

— No wiesz, jak możesz? — Ania wstała i objęła Majkę za szyję. — Życzę ci wszystkiego, wszystkiego najlepszego!

Ruch się zrobił przy stoliku, bo dziewczęta na zmianę ścisnęły Majkę i Kazika. Były żywe i pocałunki.

— Ale co was tak przypiliło? — Iwona zdążyła już wrócić do siebie. — Może, Majka, jesteś w ciąży?

— Dlaczegoś tak niedelikatna? — Ania uniosła głowę. — Potrafisz tak wejść butami w samą duszę, w samo serce!

Iwona speszyła się na moment.

— A dlaczego niby mam nie zapytać? Jesteśmy tak blisko siebie. I to od lat...

— Dobrze już, dobrze, należą do dziewcząt nowoczesnych, więc niczego nie będę ukrywać. Będziemy mieli dziecko. Zazdrościcie?

— Majka spojrziała na koleżanki z wyższością.

— Nie bujaj! Kazik, powiedz coś wreszcie!

— Mało mówię? Wszystko jasne. Ale nie myślcie, żeśmy się z tego tylko oowdu pobrali! To, owszem, przyspieszyło decyzję, ale i tak już między nami nic by się nie zmieniło.

— Co z maturą Majki? Przecież ten brzuszek będzie wkrótce widać!

— Nie wiem... To już Kazik... Był dzisiaj u pani dyrektor. Sama jestem ciekawa, co tam wspólnie ustalili.

To, co miał powiedzieć Majce, zakomunikował teraz wszystkim. Słuchaly podgorączkowane.

— Czarno widzę — odezwała się Iwona. — Będziesz musiała chyba pójść do szkoły dla dorosłych...

KONIEC

1.

Na odwrocie ostatniej karty „Szpetnych czterdziestoletnich” Agnieszki Osieckiej widnieje data pierwszego wydania: 1985 r. — lecz dopiero teraz chwyciłem do dziełka nieco wariackie.

2.

Agnieszka Osiecka w swoich „Czterdziestoletnich” jest bezbiedna. W prznikliwy wręcz sposób potrafi naciskać takie klawisze, które wywołują u ludzi mego pokolenia natychmiastową reminiscencję. Mam tu do czynienia ze zjawiskiem, które określam jako artystę pamięć. Gdy pisze o latach przyległych do Października, to wspomina wyznaczniki „stuprocentowe”. Jeśli więc dramaturg — to Anouilh. Jeśli film — to „Cena strachu”. Cluzota. Jeśli intymne zauroczenie — to „Kubuś Puchatek”. Nawet czytelnicy z innych pokoleń i z innych kręgów, nie

Kwiaty dla Agnieszki

znający wielu kluczy czyniących lekturę oczywistą, poczuć się ciepło wtajemniczeni, czytając:

„Ale Szatan nie popuszcza i Hienna, jako na ostateczność zdecydowała się na szafę. Tam, między swojskimi zapachami naftaliny, bezpiecznie przytwierdzonej do wieszaka Opętany usnął, a Hienna, jak to Hienna, wymknęła się na miasto i zdążyła jeszcze schwytac ostatnią osiemnastkę”.

Urokliwa ballada Agnieszki Osieckiej o latach przyległych do Października ma strukturę zapożyczoną z Malej Encyklopedii PWN, a wiec ułożona jest hasłami od A do Z — co samo w sobie nie jest żadną nowością, lecz w swoim dowcipie i luzie pozostawia ogrom miejsca na ewentualne uzupełnienia. Natychmiast proszę się uzupełnienia dwa, których jednak autorka nie jest w stanie obiektywnie wykonać. Jedno pod literą P — „Po prostu”. Drugie pod literą O — „Osiecka”.

Niesłychane, jak każdy mimowolny dowcip: wspomniała Agnieszka relację w pewnym miejscu, że studentki pomiędzy warszawskim Studenckim Teatrem Satyry a redakcją „Po prostu” były w pewnym sensie napięte, co wynikało z jednostronnej nietolerancji. Tam właśnie wspomina Osiecka, że poszła w imieniu teatru do słynnej redakcji na ulicę... Mokotowska.

Jak wiadomo, różnica między „czerwonym” a „zielonym” „Po prostu” nie polegała jedynie na kolorze winiety tytułowej. Różnicę znajdowało się w podtytułach, no i w innych poważniejszych sprawach, o których tu mówić nie sposób, bo stanowią one najmniej temat pracy habilitacyjnej. Ale wśród różnic oczywistych były także i adresy. Jedno „Po prostu” zmarło, aby mogło urodzić się drugie, a to drugie zamieszkało na ulicy Wiejskiej. Na Wiejskiej po stronie nieparzystej, na piętrze niewysokiej, odra-panej kamienicy, w pobliżu knajpy o nazwie „Bar Sejmowy”, którą to knajpę po pewnym czasie odczołowały czynniki przemianowały na „Bar pod Janosikiem”, ponieważ rejonowa speluna była co najmniej nieparlamentarna.

Jak łatwo się domyślić, redakcja koczowała w pomieszczeniach, które ongiś były zwykłym mieszkaniem. W pierwszym pokoju mieszkał sekretariat i wieszak zapracowaną Świdorską, broniącą nieskutecznie dostępu wpraw do Lasoty, potem do Bratkowskiej. A Bratkowska siedziała pod wielkim kolorowym aktem malowanym w maniere kubistycznej. Korytarzem się szło między innymi do działu krajowego — ówczesnego królstwa Urbana, Olszewskiego, Namiołkiewicza... A w samym końcu, gdzie ongiś kuchnia i szpiarnia, mieszkała się dziupla działu kulturalnego. Tam — do Hołdy, Wirpszy i Cwiertni — zapuszczali się tylko najodważniejsi oraz Jerzy Waleńczyk, poeta namiętnie drukowany przez „tygodnik młodej inteligencji i studentów”. Tak więc tylko tam — na Wiejską — mogła przychodzić Osiecka w czasie bezpośrednio do Października przyległym, z prośbą, aby niechętnie w stosunku do STS pismo zaszczyliło premierę obecnością swego przedstawiciela.

4. Uzupełnienie pod O — jak Osiecka. Bo sympatia do autorki była na pewno tym, co pokolenie łączyło.

Pamiętam, że w 1952 roku przyjechałem do Warszawy i uległem ośmieszeniu, podobnie jak setki tysięcy podobnych do mnie: Marszałkowska Dzelnica Mieszkaniowa jawiła się — niczym spełnienie legendy — pełną blasku zapowiedzią nowej stolicy. Zasiadłem wtedy przed siebie z oczami podejrzanie zasklonymi i nikt nie wybrzydzał na kandelabry ani na neorealistyczne kariatydy za ich niewątpliwą toponomię. Wszystkie lukania i ciemkania przyszły później — właśnie w latach przyległych do Października i należały do dobrego tonu, podobnie jak zachwyt nad „Arsenalem” (nieświadomy tego co zacz „Arsenal” — odsyłam do Osieckiej pod P, hasło „Plastyka” być strona 149).

Ktoregoś roku — w czasie dawno przeszłym — w jesieni — szedłem przez MDM w niewielkim deszczu lub zaraz po nim i spostrzegłem w miejscu gdzie plac się rozszerza maksymalnie, tę parę niedobrą i równocześnie aż bolesnie piękną. Szli zapatrzeni w siebie, a nad głowami trzymali wspólną peletynę przeciwszczepową. Miałem wtedy jeden jedyny raz w życiu taki odruch: wpadłem do bliźniaczej kwiaciarni, a potem już z bukiem zastąpiłem drogę tej parze. Ofiarowałem im kwiaty i usmiech — co przyjęli ze zrozumieniem i bez komentarzy. To właśnie była Agnieszka Osiecka z Witoldem Dąbrowskim.

Chyba rok albo dwa lata później, w jednej ze zmieniających się sal łódzkiej „Pstrąga” szło przy kłopotliwych widzach przedstawienie „Kraj na ziemi”, które dopiero co otrzymało nagrodę na festiwalu w Gliwicach. Stałem w lewym rogu balkonu, prowadząc lewy reflektor, a w prawym rogu stał Wiesław Machajko też przy reflektorze (w tych teatrzykach wszyscy robili wszystko). I nagle usłyszeliśmy donośny głos Janka Skotnickiego: „Przepraszamy za niespodziewaną przerwę, ale teatr ma gości”. Skierowaliśmy reflektory na widownię, rozległy się brawa. Światła i oklaski prowadziły zaprzyjaźnioną osobę na miejsce w pierwszym rzędzie. Była to oczywiście Agnieszka Osiecka.

Piszę o tym na dowód, że nie byłem w swych sympatiach odosobniony.

5. Jakże często w „Szpetnych czterdziestoletnich” ów motyw powraca: przemijanie czasu.

Nasze pokolenie nosi w sobie obsesję melancholijną i nawet wtedy, gdy Agnieszka Osiecka nie ma takiego wyraźnego zamiaru, pisze: to się skończyło. tamto minęło, rozeszliśmy się do domów i jesteśmy inni. Niewątpliwie właśnie naszemu pokoleniu podzielono czas na etapy z wyrazami „definitywnymi końcami i odnową permanentną — tak, że ów czas miniony taszczym się jawni o ogromnej ilości członów, chociaż w rzeczywistości krótki, że aż żal.”

A wszystko przecież zależy od długości geograficznej! Trzymam w ręku pudełko „szarej herbaty hrabiowskiej” (a może herbaty hrabiego Greya?) produkowanej przez firmę R. Twining and Co LTD. Obracam to w dłoń i z buku czytam, że w 1706 roku pan Thomas Twining założył swój handel w Londynie. Od tamtego czasu firma nie zmieniła adresu na londyńskim Strandzie i utrzymała wysoką jakość sprzedawanej herbaty. Niewątpliwie importowała, przewoziła, może aromatyzowała, paczkowała i sprzedawała owa firma znakomicie, skoro zapewnia — jak twierdzi — „przyjemność i satysfakcję światu, taką samą jak w 1706 roku”.

Świetność świata nie przemija, bynajmniej. Zależy gdzie ucho przyłożyć.

ROBERT GLUTH

1 Spojrzenie znad szachownicy

O co gramy?

Obliczając poruszyć i nawiązać rozmaite aspekty szachów (słowo się rzekło, Jerzy P. u plotki) przemilczeliśmy jeden, bodaj czy nie najważniejszy — ekonomiczny. Wszystko dziś ekonomią stoi i ekonomią pogania, sukces — z braku lepszych kryteriów — najłatwiej mierzyć jest forszą, więc choć nieźle byłoby wiedzieć, w co właściwie gramy, odłożył ten złożony temat na potem, a porozmawiamy o przyziemnych pieniądzach. Nie ma czytelnika, który na tym akurat wyrozumieć by się nie potrafił, spytajcie bowiem pierwszego lepszego badawcę co to „obrona z nadmiarem”, albo „mat z baterii”, a wybaluszy na was siepia, natomiast zagadnięty o aktualny kurs bonów dolarowych natychmiast wyjasni, co, jak, gdzie i dlaczego tak drogo.

Wprawdzie nie o bony, a nawet nie o dolary — wedle mojej wiedzy w takim na przykład XVI wieku ani jednego, ani drugich jeszcze bowiem nie było — ale o dobra materialne wielki mistrzowie grali „od zawsze” i nie ma tak starego przekazu, który by przynajmniej nie napomknął o jakiejś tam nagrodzie za zwycięstwo. Mniejsza już o rękę księżniczki z przyległościami, bo są to historyjki baśnowe, faktem jest jednak, że wielki mistrz włoski Paolo Boi „od kilku kolejnych papieży — Piusa V, Urbana VII i Pawła III — właśnie za swe szachowe umiejętności otrzymywał stałą pensję, zaś zwycięzca madryckiego turnieju międzynarodowego w 1575 roku Leonardo da Cutro obdarowany został przez Filipa II wysoką nagrodą w gotówiznie, kiejnotami i futrami.

Bywały i okresy chude, gdy szachom brakowało możnych protektorów, gdybym więc chciał czytelnika komicznie dosmucić, mógłbym wymienić wielu równie sławnych graczy, którzy umierali w zapomnieniu i nędzy. Darujmy to sobie jednak i przeskakując stulecia wpadniemy prosto w nasz piękny wiek XX.

2.

Dokonały się w nim dwie rzeczy wiele dla późniejszego rozwoju szachów znaczące.

Po pierwsze — już we wcześniejszych latach dwudziestych został definitywnie zlikwidowany podział na zawodowców i amatorów, co w konsekwencji sprawiło, że olimpiady szachowe rozgrywane są w innym czasie i miejscu aniżeli letnie czy zimowe igrzyska olimpijskie, które tak chętnie oglądamy w telewizji. Najbliższa olimpiada szachowa odbędzie się na przykład jesienią tego roku w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i choć jest tam duszno, gorąco oraz nieprzyjemnie ciepło wprost bogato, byłym się chyba poświęcił, gdybym został przez „Odgłosy” delegowany... Honor nie pozwala jednak pielgrzymować po tę delegację na kłęczkach hen na XIII piętro, jeżeli się namyślić — przyslijcie mi takąową przez gońca.

To była wszelako dygresja, wracamy do tematu.

Otóż druga przemiana polegała na tym mniej więcej, że mistrzowie świata przestali udawać iż walczą o czystą satysfakcję, a głośno i wyraźnie zażądali pieniędzy. Pokonawszy Laskera — Lasker bez względu na wynik meczu miał zagwarantowane 11 tysięcy dolarów, co w roku 1921 stanowiło ponoc sumę dość sporą — Jose Raoul Capablanca'y Gruypera otoczył się nawet sławnym „złotym wałem”, stawiając warunek, iż pretendent do tytułu musi wnieść na fundusz meczowy okragie 10.000 dolarów. Dziś taką forszę wyłożyłby bez większego trudu był szachowy pętał, ale wielokrotnego reprezentanta Polski Akiba Rubinsteina czy też twórcę hypermodernizmu w szachach, Arona Nimzowitscha nie było na to stać — o tytuł mistrza świata nie zagrał nigdy..

Znów przeskokowi marnych lat pięćdziesiąt — gdy w 1972 roku zbliżał się termin wielkiego meczu Fischera ze Spaszkim w przetrągu z udziałem kilkunastu miast zwyciężył ostatecznie Reykjavik oferując na fundusz meczowy 125 tys. dolarów. Fischer uznał jednak tę sumę za zbyt skromną i grymasił tak długo, aż angielski bankier Slater niemal ją podwoił, co zaszokowało świat, wszakże nie na długo, gdyż wkrótce w grę zaczęły wchodzić miliony.

Oto — o ile mi przynajmniej wiadomo — rekordowa oferta: aby zachęcić tego Fischera do rozegrania meczu z Karpowem, Manila (mówiąc inaczej: Marcos) zaofiarowała 5 milionów dolarów, co zresztą nie przyniosło efektu, gdyż „Bobby” cierpiał już na manię przesłodowa, nie był zdolny do gry i oddał tytuł bez walki.

4. Wierzę, iż Ty, Drogą Czytelniku, który na żadne stany lekowe nie narzekasz, nigdy byś tego nie uczynił, nawet mając w perspektywie porażkę o zera, gdyż pokonany także z funduszu meczowego czerpie. Przedtem trzeba jednak zostać mistrzem świata, lub przynajmniej otrzeć się o ten tytuł, na przeciwnym biegunie jest bowiem jedynie szansa zagrania na soppokim molu albo w łódzki „parku śledzia” paru partyjek po sto złotych, kładąc je uprzednio — jak obyczaj każe — pod szachownicę.

Ekonomicznie bardziej opłacalne jest tedy przegranie z Fischerem, niż wygranie z fu- szermem, ambiciozalnie — wręcz odwrotnie. Kto zaś cení wyżej honor, kto pieniądze, w to nie będziemy wnikać, nawet po rozpisanii ściśle anoninowej ankiety wyczytamy w niej bowiem koniec końców same bałamuctwa. Porachujcie to w swoim sumieniu i nie powtarzajcie nikomu. Amen.

JERZY P.

2

Zarówka w kieszeni

Uwielbiam oglądać dowcipy rysunkowe. Jedne bywają śmieszne, inne mniej, a niektóre wręcz głupie. Taki głupi dowcip udało mi się niedawno zobaczyć. Na rysunku mężczyzna trzyma w ręku żarówkę, a drugą ma w kieszeni. I mówi do zdziwionej kobiety: — żarówkę noszę w kieszeni, a przez to oszczędzam energię elektryczną! Oszczędzanie stało się wręcz koniecznością. Ale oszczędzanie nie może polegać na tym, żeby czegoś nie robić. To znaczy oszczędzanie energii elektrycznej nie polega na tym, że nie będe w ogóle jej używał. Przeciwnie — trzeba używać a jednocześnie oszczędzać. Jak to zrobić?

Od dawna w gazetach można znaleźć sżasne ze wszch miar hasła: „Zgasz zbędną żarówkę!”. W niektórych biurach udało mi się widzieć napisy koło kontaktów: „Wychodzisz z pokoju, zgasz lampę!”. Sżasznie, ale przecież rzecz nie tylko w tym. Gaszenie zbędnych żarówek jest ze wszch miar pożyteczne, ale jednocześnie trzeba zmienić konstrukcję wielu nazbyt energochłonnych urządzeń. Myślę — i chyba słusznie — że te urządzenia pożerają znacznie więcej energii niż zbędnie palące się żarówki. Ale wiem też, że znacznie łatwiej jest zgasić zbędną żarówkę, albo je wręcz schować do kieszeni i nie używać, niż zmienić konstrukcję energochłonnych urządzeń. Czyli te silnie pobierające energię elektryczną zastąpić mniej jej pobierającymi. A to jest możliwe. Na całym świecie tak się robi, co więcej — to jest konieczne! O zbędnych żarówkach piszę się zresztą i mówię już od lat z niebyswale miernym skutkiem. Znam na przykład pewnego młodego poe, który gotów byłby napisać kilka wierszy pro-

pagujących oszczędzanie, a który jednocześnie, jak przyjdzie do domu, to zapala wszystkie światła naraz we wszystkich pomieszczeniach i pali je tak długo, jak długo nie pókoży się spać. A spać chodzi późno. Iż u niego pali się zbędnych żarówek. Człowiek ten — młody zresztą — bardzo pilnie czyta gazety. I jakoś nie trafia do niego hasło o gaszeniu zbędnych żarówek. Niestety! Ale czy tylko do niego jednego?

Oszczędzanie traktuje się u nas ciągle jako sposób, a nie jako metodę, jako zasadę, styl. Jest to nieustannie działanie pozorne i często tak silnie doradzone, że skutki jego przynoszą dużo większe straty niż wyniosła wartość tej doraźnej oszczędności. Na przykład opowiadano mi, że kiedyś dla doraźnej oszczędności zrezygnowano z budowy dodatkowego urządzenia, które umożliwiłoby oczyszczenie szamba w powstającym osiedlu. Oszczędność była, ale po zapewnieniu się szamba trzeba było z niego w ogóle zrezygnować i budować drugie. Co zniwelowało doraźne oszczędności i przyniosło nieoczekiwane i nieprzewidziane straty. Nie jest to przykład odosobniony. Iż to urządzeń i maszyn stanęło bezczynnie tylko dlatego, że ktoś zaoszczędził parę groszy na kupieniu części zamiennych. Czas więc skończyć z pozorowaną oszczędnością, z mentalnością drobnego ciułacza. Czas myśleć o oszczędzaniu globalnym, jako metodzie postępowania, sposobie myślenia, podejścia do rzeczywistości, widzeniu świata.

Z uporem mania będą twierdził, że nasze niepowodzenia w odzyskiwaniu surowców wtórnych biorą się właśnie z mentalności drobnego ciułacza. Potwierdza to nawet fakt, że ilość odzyskanej makulatury w Łodzi jest dwa razy wyższa od średniej krajowej przypadającej na jednego mieszkańca. Nie da się bowiem ukryć, że tak dobre rezultaty daje wiązany skup makulatury. Do punktów skupu biega bowiem ludzie, którzy nie mają innego sposobu, aby kupić takie czy inne książki, czy też po prostu papier toaletowy. Iż ludzi jednak nie biega do punktów skupu? Iż surowców wtórnych w ogóle się marnuje. W naszym myśleniu o sposobie odzyskiwania tych surowców ciągle panuje przekonanie, że ludzie — w poczuciu obowiązku lub z powodu materialnego zainteresowania — pójda do tych punktów, aby odnieść surowce wtórne. Jest to postawienie wszystkich na głowie. To punkty skupu powinny pójda do ludzi. Zmusić ich do tego na pawlacz, do piwnicy, do komórki, na strych. Iż tam leży różnego rodzaju dobra! Ale specje od surowców wtórnych zadowalają się dobrą statystyką. W Łodzi lepiej jest niż gdzie indziej, można przestać myśleć. Nic biedniejszego. Trzeba dopiero zacząć myśleć...

Można też wykreć żarówkę i siedzieć po ciemku, jak w tym głupim dowcipie. Ale to nie ma nic wspólnego z rozumnym oszczędzaniem.

ZENON
POROWATY

3

Sport

Nie ma powodu do żaloby

Kłeska albo jak kto woli brak sukcesów naszych kolarzy w zakończonym właśnie kolejnym Wyścigu Pokoju, nie stanowi jeszcze powodu do ogłoszenia żaloby narodowej. Co prawda złośliwi podejrzewają, że skoro Ryszard Szurkowski został posiem i dostąpił wszystkich możliwych zaszczytów, to już przestał go interesować sport, a przede wszystkim kolarstwo, ale ja złośliwym podejrzewaniom nie wierzę. W końcu kolarskie talenty nie rodzą się na kamieniu, a jeśli nawet są, to wy- magają dużego wkładu pracy. Być może zbyt szybko sprzedaliśmy Lecha Piaseckiego. My nie mamy lidera, a Włosi większego pożytku z tego kolarza. Ale

ściganie się z zawodowcami też wymaga pracy, więc nie narzekajmy i nie rozpaczajmy. Za rok może być lepiej. Ci sami chłopcy, którzy teraz zajęli piątą miejscę, w przyszłym roku mogą być dużo lepsi i zająć w najgorszym wypadku — drugie. W sporcie może się zdarzyć wszystko.

Zresztą maluczkę, a zapomniemy o smrotnej porażce naszych kolarzy i będzimy się srodcie martwić o powodzenie naszych piłkarzy, którzy już szczęśliwie wyładowali w Meksyku. Ich odlot powoli a stałby się świętem narodowym, gdyby tak do tego odlotu dłużej się szykowali. Właściwie wiem wszystko o polskiej ekipie mundialowej. Do pełnej informacji o piłkarzach i osobach towarzyszących brakuje mi jedynie wiadomości, w jakich skarpetkach odlatywali do tego dalekiego Meksyku.

Co naszą drużynę tam czeka? To już niedługo zobaczymy. Teraz nad Polską jak długa i szeroka rozlegają się śpiewacze pień- nia narodowe. Pieje kto może i kto nie może o tym, że „Polska goła”. Boję się, że może to się błzydko skończyć, bo nie tyle Polska bije goła, co jej wbi- ją i placz się rozlegnie nad naszym biednym krajem. I wtedy już będzie powód do ogłoszenia żaloby narodowej.

Antoni Piechniczek jest w każdym razie dobrej myśli. W wywiadzie dla „Sztandaru Młodych” ogłosił, że mecz z Danią „pokazał, że jesteśmy na dobrej drodze, by Mundial rozpocząć w dobrej formie”. Wolalibym wprawdzie, żeby nasza kochana drużyna zakończyła go w dobrej formie pokonując po drodze przeciwników, ale i na te okoliczności Antoni Piechniczek jest dobrej myśli. Na pytanie Ryszarda Starzyńskiego: — „Czy żony piłkarzy poleca odwieźć piłkarzy?” — trener spokojnie odpowiedział: — „Niewykluczone, że na finałowy mecz — tak!”. To się nazywa mieć zimną krew. Życzę Antoniemu Piechniczkiowi, aby zachował ją przez cały czas pobytu w gorącym meksykańskim kraju i klimacie. A piłkarzom, aby żony miały też coś z tej całej zabawy i jednak poleciały do Meksyku. O!..!!

Uwaga nasza skierowana jest teraz na daleki Meksyk, a tu dzieją się rzeczy straszne. Nie ma jeszcze powodu, aby ogłaszać stan klęski, ale alert można już ogłosić. Oto w Uście doszło do chuligańskich wybrków na meczu klasy wojewódzkiej. A było tak.

W Uście jest klub Jantar, a w Przechlewie Brda. Oba kluby mają drużyny piłkarskie. O- bie te drużyny musiały rozegrać mecz piłki nożnej. Mecz ten należało rozegrać w Uście, co też się stało. Piłkarzom Brdy fakt ten bardzo się nie podobał, a jeszcze bardziej sędziowie. Prowadził więc z nimi dyskusję przy pomocy kilku słów uważanych powszechnie za nieprzyzwoite, a przez niektórych nawet za wulgarnie. Sędziemu też się nie podobała postawa piłkarzy Brdy więc trzech zawodników tej drużyny ukarał żółtymi kartkami.

W 76 minucie, kiedy Jantar prowadził 4:1 sędzia podkrywił gościom rzut karny. Decyzja ta wywołała takie oburzenie piłkarzy Brdy, że czterech z nich trzeba było usunąć z boiska. Jeden z piłkarzy Brdy opił sędzię bocznym i rzucił w niego rękawicę, co wskazuje, że piłkarzem tym musiał być bramkarz Brdy, gdyż na ogół bramkarze noszą na boisku rękawice. Sędzia postanowił za naruszenie jego godności i oplucie skierować sprawę do sądu, mam nadzieję, że przy tym postanowieniu wytrwa.

Wydział Gier i Dyscypliny Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Słupsku ukarał piłkarzy Brdy dużymi dyskwalifikacjami. Wymienił tylko Marka Króla — kapitana zespołu Brdy — który otrzymał roczną dyskwalifikację i pozbawienie prawa bycia kapitanem przez dwa lata tylko za to, że jako kapitan drużyny nie potrafił nad nią zapanaować, co jest — a raczej było — jego obowiązkiem. Ale żeby było ciekawiej, tenże Wydział Gier i Dyscypliny OZPN wyróżnił trenera Brdy Zenona Boguckiego do „sportowa” postawę i obiektywną ocenę zaistniałej na boisku sytuacji”. Co może wydawać się dziwne i budzić różne skojarzenia, gdyż bowiem nie kto inny, a właśnie trener powinien być odpowiedzialny za postawę piłkarzy nie tylko w tym jednym meczu. Ale u nas zdarzają się ciągle różne cuda i paradoksy.

Nie ma jednak jeszcze powodu, żeby ogłaszać żalobę. Co najwyżej zaniepokojenie. Oby tylko się na tym skończyło!

BOGDA MADEJ

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

Poprzez gwar rozmów dolatujący z tyłu, spod cienia restauracyjnej werandy, przebił się wysoki sopran zabarwiony śmiechem. Te dwie dziewczyny w jednakowych kostiumach i w słomkowych kapeluszach okrążyły basen i skierowały się ku tarasowi przed barem o szcianach ze szkła fotochromowego. Przeszły tak blisko, że Adam zobaczył złociste, delikatne włoski na ich opalonych tyłkach. Nie znał tych dziewczyn, były to nowe twarze w tym klubie. Ale to dobrze — pomyślał — że „Enklawa przyrody” zapewniła stały dopływ świeżej krwi, w przeciwnieństwie do wielu innych klubów, niezadko bardziej konserwatywnych, hermetycznych i nieufnych wobec obcych niż Agencja Bezpieczeństwa Narodowego.

Obie spoczęły na wyplatanych i wilklnych krzesłach o siedzeniach z płótna w zielone wodrosty na piaskowym tle, przy wolnym stoliku i paląc papierosy „Virginia Slim” czekając na swoje porcje lodów. Ich wygląd i sposób bycia świadczył, że odebrały staranne wychowanie w którymś z ekskluzywnych kalifornijskich burzeli.

No — myślał Adam — mimo wszystko to dziewczyny z klasą, czegoś im nie brakuje, mają nawet więcej towaru do zaoferowania i wyższej jakości od Lindy Tossey. Tyle, że żadna z nich nie jest jednak Lindą. Ale, do diaska, co Linda ma takiego, czego one by nie miały? Na czym polega ta różnica? Kosztum z materiału podobnego do bładoniebieskiej maty, jej włosy rozsypane na ramionach, kiedy opierają się na łokciach, wystawia twarz do słońca i opowiada coś swoim koleżankom... jej zamknięte oczy, leśny uśmiech, wypięte piersi i rozchyłone nogi... I całe to przedstawienie dla tego „wymoczek”, który pijała tak, jakby ubijał pianę.

Zauważył, że ona rzucając jakieś słowa koleżankom i wskazując bar ustaje, więc odwrócił głowę i obojętnie przesunął wzrok wzdłuż barierki przy schodach wiodących na trampolinę i jeszcze wyżej, gdzie górował podest wycieczki w kierunku dziesięciu metrów nad lustro wody. Nie chciał, by ona wiedziała, że on się w nią wpatruje, bo to ona powinna wpatrywać się w niego. No właśnie — pomyślał — można by to osiągnąć za pomocą wypróbowanej metody; po prostu wejść na tę wieżę, zbliżyć się do jej skraju i udając koncentrację przed skończonym poczekaniem, aż ci ludzie tutaj jedni po drugich ciskawie skierują spojrzenia ku temu wspaniałemu mężczyźnie stojącemu tam wysoko, w gęstym nieruchomym powietrzu i w blasku słońca, niczym młody bóg na Olimpie, i wtedy również Linda Tossey nie oprze się pokusie i zatrzyma w połowie drogi do baru, żeby zobaczyć, jak ten wysportowany mężczyzna wykonuje swój popisowy numer — podwójne salto z póltrubą. I może ona wreszcie zrozumie, kogo traci.

MURZYN W KARMAZYNOWYCH MAJTKACH

Władze lokalne ogłosiły komunikat informujący, że tereny położone na zachód od trójkąta, który wyznacza miasto Hialeah, Miami i Homestead i sięgające aż do Parku Narodowego Everglades stanu Floryda, zostają zamknięte ze względu na powstające tam zagrożenie dla życia i komunikat ten spowodował masowy odpływ ludności z południowej części półwyspu. Pewna grupa osób jednak, ignorując komunikat władz, usiłowała przedostać się na zamknięte tereny za wszelką cenę. Byli to na ogół dziennikarze, reporterzy oraz członkowie ekip telewizyjnych — gotowi sfinansować wszelkie i stoczyć bój z oddziałami wojsk lądowych strzegącymi dostępu do „Trójkąta Florydzkiego”.

Od natarcia powstrzymywało cywilów tylko rozpoznanie, że ich liczebność, uzbrojenie i zdolność bojowa tragicznie ustępuje liczebności, uzbrojeniu i zdolności bojowej ludzi w mundurach. Ale na Florydzie odnotowano znaczny wzrost popytu na nożyce do cięcia drutu.

Obie walczące ze sobą strony okopały się naprzeciwko siebie, jakby z zamiarem toczenia wojny pozycyjnej, a tymczasem z głębi kraju nadchodziły posiłki: następni dziennikarze, którzy ufali, że będą mieć więcej szczęścia niż ich nieudolni poprzednicy z konkurencyjnych pism i stacji radiowych.

Pośród dziennikarzy tych znajdowało się dwoje wyśnawców „Dutson Telegraph” — Doreen Thornhill i Jeremey Brown. Oni także jechali tu południem, z tym że celem ich podróży nie był „Trójkąt Florydzki”, były nim okolice miasteczka Griffin w stanie Georgia. Półkowy Chevrolet Accord Leila wiozł ich z prędkością w zasadzie nie spadając poniżej czterdziestu mil na godzinę, ale też niewiele większą, przy czym oboje byli zgodni co do tego, że po drodze należy robić postoje możliwości często, a już konieczności zaniechać jazdy nocnej. Tą o pieszałością chcieli Danowi Martinowi wykazać, jak niewłaściwie on z nimi postępuje, wysyłając ich wpraw na Zachodnie Wybrzeże i oczekując, że przystąpią do „Aukcji Ubiorów Znanych Gwiazd”, a później — kiedy jakos pogodził się z tym upokorzeniem, kiedy przelamał wewnętrzne opory, kiedy przybył na miejsce i nawet zaczęli się wstępnie do tej roboty — każąc im nagłe rzucić to wszystko, natychmiast wyruszyć do Griffin, gdzie przebywa obecnie ten stuknięty Elias, i opracować reportaż o jego działalności — jakby nie dość było o tym w telewizji i w całej prasie, tak teraz z miejscową, o ile to, co wydaje się w Dutson, rzucając na miano prasy.

— Na sali — dyktował Jeremey — rośnie napięcie, bo oto pod miłok idą majtki Artusa Torrensa. Cena wywoławcza osiemset dolarów.

— To fałszerstwo! — z drugiego rzędu nagle podrywa się starsza dama. Rozpoznajemy w niej zastaloną artystkę rewiową, ostatnią zonę... Jeremey wyjął magnetofon — Słuchaj — powiedział do Doreen — czy ta ropucha, jakże jej tam, Miriam Cowley, zdaje się, co? Czy ona jeszcze żyje?

— Żyje. Jeździ w wózku inwalidzkim z dziurą w siedzeniu i z workiem plastikowym pod tyłkiem.

— W porządku, jeżeli może się poruszać, na pewno tam będzie. Nie przepuści takiej okazji.

Jeremey odchrząknął i podjął dyktando: — Rozpoznajemy w niej... Nie, nie tak.

— To fałszerstwo! — zarzut ten pada z wózka inwalidzkiego, który obsługa ustawiła przy pierwszym rzędzie miejsc dla publiczności. W starszej damie siedzącej w wózku rozpoznajemy zastaloną artystkę rewiową Miriam Cowley, była piękność, ostatnią zonę Artusa Torrensa. — „Arty nigdy nie nosił kolorowej bielizny. Nigdy, przynigdy nie włożyłby na siebie czegoś tak skądrynego”.

Licytator przystaje mówić i zaskoczony obrzuca wzrokiem damę w wózku inwalidzkim. Rękę z miłkiem trzyma uniesioną pięć cali nad białem. Robi głęboki wdech, jakby zamierzał ponownie zabrać głos, przyszywa mu jednak piskliwy dyszący z drugiego końca sali: — A co ona tam wie, ta stara!

— kobieta, która to wykrzykuje, jest prawie w tym samym wieku co Miriam Cowley. Ale tak, to Cora Horsky, budoząca powszechny zachwyt gwiazda wodewilu „Przeplątana Rzeką Wschodnią” granego niedługo przez dwadzieścia lat z niesłabnącym powodzeniem, bliska przyjaciółka Artusa Torrensa.

— „Już ja najlepiej wiem, co on nosił pod spodniami!” — wykrzykuje w dalszym ciągu Cora Horsky. — „Rano pewnie wkładał białą bieliznę, ale wieczorami przychodził do mnie w karmazynowych majtkach. Co ona może o tym wiedzieć, jak on ani razu nie wskoczył do jej łóżka?”

— „To oburzające!” — wrzeszczy Miriam Cowley. Zdaje się, że plastikowy worek pod jej inwalidzkim wózkiem przechodzi trudną próbę wytrzymałości.

— „Nie ma w tym nic oburzającego, to stuletnia wielorybica” — ripostuje Cora Horsky. — „Jak miałam czterdzieści lat, zgwałcił mnie Murzyn w karmazynowych majtkach i potem żaden mężczyzna nie potrafił mi tak dogodzić. Psychoanalitik powiedział, że mój problem związany jest właśnie z karmazynowymi majtkami. I Arty robił to dla mnie. To znaczy wkładał karmazynowe majtki. Był wtedy boski!”

— „Ja protestuję!” — Miriam Cowley jest roztrzęsiona i biała jak płaszcz. — „Ona szarga i mię wielkiego aktora, człowieka o niezachwianych zasadach moralnych i wysokich wymaganach estetycznych! Takich... takich okropnych gaci Arty nie włożyłby na siebie, nawet gdyby musiał przez to zrezygnować z głównej roli w filmie”.

Licytator traci cierpliwość i walcąc miłkiem w stół wzorem sędziego przywraca porządek na sali.

— „Przedmiot licytacji” — mówi — „zaopatrzone w atest wystawiony przez rzeczoznawców, którzy na podstawie wielokrotnych laboratoryjnych badań ustalił z całkowitą pewnością,

że tę część bielizny Artus Torrens miał na sobie co najmniej jeden raz”.

Przeciskamy się przez rozochoczoną publiczność. Moja koleżanka z redakcji holuje mnie w stronę trzeciego rzędu. Wypatrzyła tam dwóch bardzo męskich młodzieńców towarzyszących pięćdziesięcioletniej kobiecie... Och, już rozumiem, kobietą tą jest pani... no, w każdym razie jest to ogólnie szanowana osoba, ktoś z wyższych sfer, ktoś, kto potrafił dbać o swoją opinię, czego jej adwokat dotkliwie dowiedził redakcjom kilku czasopism.

Przeciskamy się jeszcze trochę do przodu i stajemy niemal za plecami Ogólnie Szanowanej Osoby. Słyszymy jej szepty, kiedy nieszczęście przechyla głowę ku siedzącemu obok niej młodzieńcowi.

— „Chcę mieć tę rzecz, Kirk. Koniecznie”.

Młodzieniec wyciąga szyję i mówi niedbale: — „Tysiąc”.

— „Tysiąc po raz pierwszy” — podchwytuje licytator.

Jest mało prawdopodobne, by Ogólnie Szanowana Osoba także została zgwałcona przez Murzyna w karmazynowych majtkach. Wypada raczej przypuszczać, że pragnienie zdobycia tych majtek wznieca w jej wrażliwej duszy sentymentalna historia potajemnego romansu Artusa Torrensa i Cory Horsky. Bo historia ta jest niewątpliwie sentymentalna. Oto mamy budzącą powszechny zachwyt gwiazdę wodewilu, która z rozdzierającą serce nadszatką szuka miłości wśród chmary otaczających ją adoratorów i której piólistemu uczniu nie jest w stanie sprostać żaden mężczyzna, chociaż Cora Horsky nielotnie daje za wygraną i podejmuje próby wielokrotne. Nawet częste spotkania z uwielbianym przez nią Artusem, spędzane w jego boku tournée nie przyniosły jej ukojenia. Oboje nie wiedzą, że ich szczęście leży w zasięgu ręki.

— W każdym magazynie z bielizną męską — wtrąca znad kierownicy Doreen.

— Czekaj, nie przerywaj mi teraz.

— Ale, Jerry, może daloby się wycisnąć z tego jakieś grosiwo. Mógłbyś z nią relacją pójść do Saksy albo do Gaylorda i spytać, czy ci coś odpala czy też wola, żebyś wstawił do niej nazwę innej firmy.

— Tak, tylko wpraw trzeba tę strudkę upieć, a ty mi przerywasz. Gdzie są papierosy?

— Tam, gdzie zawsze. W skrytce.

— W porządku. No to lecę z tym koksem... mmm... Oto mamy wielkiego aktora, człowieka o wysokich wymaganiach estetycznych, który został wychowany w rodzinie holdującej surowej obyczajowości i który nosił bieliznę wyłącznie w kolorze białym, nie dopuszczając do siebie pokus, by włożyć barwną, bo godziłoby to we wpałanie mu od dziecka zasady moralne. I człowiek ten, Artus Torrens, staje wobec dramatycznego wyboru: albo frywolnie karmazynowe majtki i spełnienie gorącej miłości do Cory Horsky, albo estetyczna i etyczna biel spodnek wraz ze smutną pustką życia.

Trudno się dziwić Ogólnie Szanowanej Osobie, jej pragnieniu zdobycia przedmiotu licytacji. Każdą wrażliwą duszą ogarnia wzruszenie, kiedy słyszy historię tego przepojonego liryzmem romansu, i każda chciałaby mieć w swoim domu taki dowód na to, że miłość zawsze pokona wszelkie przeszkody i ostatecznie zwycięży.

— Tysiąc siedemset po raz drugi! — powtarzał licytator rozglądając się po sali. Jest to suma podana przez bardzo męskiego towarzysza Ogólnie Szanowanej Osoby. — Tysiąc siedemset po raz trzeci!”

Uderzenie miłoka w blat stołu kończy licytację karmazynową.

wych majtek Artusa Torrensa. Ogólnie Szanowana Osoba szepcze uradowana:

— „Świetnie, Kirk. Ta rzecz powinna na ciebie pasować. To twój rozmiar”.

— Co za drań! — powiedziała Doreen. — Jesteś prawdziwym szwiniestycznym knurem, Jerry.

Z „EWANGELIARZA ELIASA”

Ostatnie minuty przed godziną „G”.

— „Pa, pa, Ronnie. Zostań zdrow ze swoją Connie”.

— Po prostu żartobliwy liścik pożegnawny. Dwa zdania, ani słowa więcej i bez podpisu. Liścik wetknięty ropem w szparę między furyną a drzwiami do jej domu. Bo to jest jej dom, Ronnie ma do niego tylko zapasowe klucze. Nie, już ich nie ma. Kiedy zdecydowała się z nim zerwać, poleciła wymienić wszystkie zamki. Nawet te w salonach mody, ale to poddyktowały inne względy: przebudowa i reorganizacja dwóch z czterech salonów, których jest właścicielką. Nie, nie czterech — pięciu, ponieważ za tydzień nastąpi oficjalna, uroczyste otwarcie „Od Edith — czarteram z Paryża”.

— „Od Edith — czarteram z Paryża”, ładna nazwa dla salonu mody. Jedyny wkład Ronniego do jej interesu.

Wkład Ronniego do jego interesu — wymamrotala Lucy, stojąc sama w motelowym pokoju i śmiejąc się cicho. — Prawdę powiedziawszy chodziło tylko o ten wkład.

Jakie to zabawne. Kiedy wczoraj po południu potępiła decyzję o zerwaniu i postanowiła spakować jego manatki, żeby mu je odstąpić, okazało się, że nie ma czego pakować, nawet tych rekwizytów występujących w powieściach, w których on ją niezmieście porzucił lub ona zwyczajnie każe mu iść do diabła — nawet tej szczoneczki i wyciśniętej tubki po puszcie do zębów. Wszystko, czego Ronnie używał, z czego korzystał, a co nosił na sobie, wszystko należało do niej. Nie znaczy to wcale, że kiedykolwiek robiła mu jakieś uwagi na ten temat. Nie. Ale nie robiła mu też żadnych prezentów. Skonczyła z prezentami, odkąd skończyła z Hermanem, teraz jest na to za cwała.

Ronnie był zupełnie goły, kiedy przysiadła go w którymś z tych lokali mających reputację ogólną. Poszła tam, bo potrzebowała mężczyzny. Nikt z jej znajomych nie wchodził w rachubę o tej porze, a ona nie mogła czekać do wieczora i potem znieść męki kolacji i banalnego ble ble przy stole. Potrzebowała mężczyzny natychmiast.

Na dobytek Ronniego składały się dwadzieścia cztery lata, jasne włosy, niebieskie oczy, łagodny uśmiech na milię twarzy, białe zęby, proporcjonalna, wysportowana sylwetka i uspaniala opalenizna — pomijając kozułek, dżinsy, slipy, skarpetki, tenisówki, prawo jazdy, kilkanaście dolarów, srebrny łańcuszek na szyi oraz tandetny zegarek na ręce. Na pierwszy rzut oka dawało się zauważyć, że to nowicjusz w tej branży.

— Ile? — spytała go. — Wzruszył ramionami.

— Normalnie — odpisał — Pięć dych.

Zrobiłaby to lepiej sama zwykłym, tanim aparatem do masażu.

— To już koniec spektaklu? Wyczerpałeś cały repertuar? — Usiadła w pościeli i patrzyła, jak on leży na znak z czołem śniętym od potu i ze wzrokiem utkwiwionym w suficie.

— Dziecino, w tym zawodzie wymagany jest talent. A ty nie masz nawet przeciętnych zdolności.

C.D.N. Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia”.



Rys. Janusz Szymanski-Glanc